

Przekroczyłam punkt, z którego nie ma powrotu.
To cena mojego nowego życia.

GUILLAUME MUSSO



GDZIE JEST
ANGÉLIQUE?

ALBATROS

GUILLAUME MUSSO

GDZIE JEST ANGÉLIQUE?

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

NAJPOPULARNIEJSZY PISARZ FRANCJI POWRACA Z HIPNOTYZUJĄCYM
KRYMINAŁEM.

**W tej historii niczego nie można być pewnym. I nawet aniołowie mają tu
swoje demony...**

Paryż, Boże Narodzenie 2021 roku. Przebywający w szpitalu Mathias Taillefer budzi się ze snu z melodią Schuberta w głowie. Przy jego łóżku siedzi młoda, nieznana mu dziewczyna. To Louise Collange, studentka, która odwiedza pacjentów i w ramach terapii gra dla nich na wiolonczeli.

Kiedy przebojowa dziewczyna dowiaduje się, że Taillefer był policjantem, prosi go o zajęcie się szczególną sprawą. Chodzi o śmierć jej matki, Stelli Petrenko, znanej, lecz niespełnionej primabaleriny, która wypadła ze swojego balkonu. I zdaniem Louise nie był to nieszczęśliwy wypadek.

Były gliniarz zgadza się jej pomóc, a śledztwo wkrótce zaprowadzi ich do tajemniczej pielęgniarki, Angélique Charvet. Czy miała coś wspólnego ze śmiercią Stelli i jej sąsiada, malarza z bogatej włoskiej rodziny? Dlaczego zniknęła bez śladu, a w jej domu znaleziono fotografie ukazujące ją w różnych wcieleniach? I czy ktoś będzie miał odwagę odkryć, które jest prawdziwe?

**Rozpoczyna się mroczny pościg, w którym rozwiązanie jednej zagadki pociąga
za sobą lawinę kolejnych. Także na temat tych, którzy ścigają.**

GUILLAUME MUSSO

Autor siedemnastu bestsellerów, od dziesięciu lat nieprzerwanie utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy. Debiutował w 2001 r. thrillerem **Skidamarink**, doskonale przyjętym przez krytykę. Druga powieść, **Potem...**, zainspirowana wypadkiem samochodowym, z którego cudem uszedł z życiem, rozpoczęła jego spektakularną międzynarodową karierę. Łączny nakład jego powieści – przełożonych na 42 języki – przekroczył 35 milionów egzemplarzy. Kluczem do sukcesu Musso jest łączenie wątków miłosnych, kryminalnych i – czasami – fantastycznych, w doskonałym i niemożliwym do naśladowania stylu.

guillaumemusso.com

Tego autora

POTEM...

URATUJ MNIE

BĘDZIESZ TAM?

PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM

WRÓCĘ PO CIEBIE

KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE?

PAPIEROWA DZIEWCZYNA

TELEFON OD ANIOŁA

7 LAT PÓŹNIEJ...

JUTRO

CENTRAL PARK

TA CHWILA

DZIEWCZYNA Z BROOKLYNU

APARTAMENT W PARYŻU

ZJAZD ABSOLWENTÓW

SEKRETNE ŻYCIE PISARZY

ZABAWA W CHOWANEGO

NIEZNAJOMA Z SEKWANY

GDZIE JEST ANGÉLIQUE?

Tytuł oryginału:
ANGÉLIQUE

Copyright © Calmann-Lévy 2022

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2023

Redakcja: Katarzyna Maciejak

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Clayton Bastiani/Arcangel

ISBN 978-83-6775-917-5



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści:

I. LOUISE COLLANGE

1. Dziewczyna z wiolonczelą
2. Upadek Stelli Petrenko
3. Niemożliwe śledztwo
4. Dziwny czas

II. ANGÉLIQUE CHARVET

5. Z drugiej strony lustra
6. Jestem szalona
7. Zająć jej miejsce
8. Przekroczyć próg
9. Jesteś naszą córką

III. MATHIAS TAILLEFER

10. Zniknąć bez śladu
11. Hikikomori
12. Place de l'Étoile
13. Porządek i nieporządek
14. Syndrom złamanego serca
15. Mężczyzna w czerwonym płaszczu
16. Ciemna noc duszy

17. Lena Khalil

18. Dwóch morderców w domu

IV. FRAGMENTY

Bibliografia

Dla Nathana i Flory

Interesuje mnie sfrustrowana część naszej istoty – ta, która chciałaby być kimś innym, niekoniecznie lepszym, po prostu innym.

Patricia Highsmith

Szukam stylu, który rozwijałby się razem z moim bohaterem.

Georges Simenon

I

LOUISE COLLANGE

1

Dziewczyna z wiolonczelą

Spotykamy się, tylko wpadając na siebie.

Gustave Flaubert

1

Paryż

Szpital Pompidou

Poniedziałek, 27 grudnia

Przebłysk światła na pochmurnym niebie... To ujrzał, słysząc muzykę. Długa fraza wiolonczeli oderwała go od rzeczywistości, odpłynął. W stanie nieważkości oddychał w rytm muzyki, uniesiony dźwiękiem w przestworza. Dawno nie czuł takiego spokoju. Wracały cudowne momenty z przeszłości, błękit Morza Śródziemnego, piasek, rozleniwione ciało, słone wargi, pocałunki.

Ale nie czuł się pewnie. Z jednej strony chwile beztroski, z drugiej – problemy, których nie umiał rozwiązać. Nadchodziła burza. Harmonia znikła, smyczek ześlizgnął się ze struny, odbierając wszelką nadzieję na muzyczny orgazm.

Mathias Taillefer otworzył oczy.

Leżał na łóżku szpitalnym, miał na sobie tę okropną wiązaną na plecach koszulę z wypłowiałego lnu, która nie zasłania pośladków. Z przedramienia wystawały dwie rurki, po lewej stał aparat EKG, na monitorze Mathias widział nerwowe bicie swojego serca. Na łóżku obok leżał stale nieprzytomny starszy

facet, przez którego czuł się, jakby to nie był oddział kardiologii, tylko opieki paliatywnej. Ciepły wibrujący dźwięk wiolonczeli zastąpiło przygnębiające staccato deszczu. Zamiast Morza Śródziemnego ujrzał ciemnoszary Paryż. Muzyka ze snu uwiozła go w dal, niestety na krótko.

Cholerny świat!

Niezdarnie poprawił poduszkę, chcąc się unieść. Wtedy ją zobaczył. Dziewczyna, częściowo ukryta w cieniu, siedziała prosto na krześle, obejmując nogami wiolonczelę. A więc to nie był sen.

– Kim ty jesteś? – wymamrotał z trudem.

– Nazywam się Louise. Louise Collange.

Młodzieńczy głos zdradzał, że nie była całkiem dorosła, nie wyglądała jednak na onieśmieloną.

– Co tu robisz, Louise Collange? Myślisz, że to dobre miejsce na odrabianie lekcji?

– Jestem wolontariuszką ze stowarzyszenia Muzyka dla Szpitali – odpowiedziała i podeszła do niego.

Mathias zmrużył oczy. Owalna twarz, blondynka, długie proste włosy, dołek w brodzie, sweter z białym okrągłym kołnierzykiem, rozszerzana sztruksowa spódnica, skórzane botki.

– Nie podobało się panu?

– Co? Ten Schubert? Nie, aż mnie rozboleła głowa jak od kaca.

– Przesadza pan.

– I obudziłaś mnie.

Urażona Louise wzruszyła ramionami.

– Innym się podoba.

– Pacjentom się podoba, że ktoś wchodzi nieproszony do pokoju i ich denerwuje?

– To się nazywa kontrstymulacja sensoryczna – wyjaśniła dziewczyna, podsuwając sobie krzesło obite czerwonym skajem, które stało obok łóżka. –

Muzyka odwraca uwagę, mniej się czuje ból.

– Głupoty! – Westchnął, kręcąc głową. – Wydaje ci się, że jesteś lekarzem?

Gdzie to przeczytałaś?

– W podręcznikach. Jestem na drugim roku medycyny.

– To ile masz lat?

– Siedemnaście. Przeskoczyłam dwie klasy.

Jeśli myślała, że to mu zaimponuje... Przybrał kamienny wyraz twarzy. W chromowanych poręczach łóżka odbijały się jego rozczochrane włosy, siwiejące skronie, tygodniowy zarost, wreszcie znużone spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

– Widzę, że to koniec recitalu, możesz już iść, Louise. Zresztą nie sądzę, żebyś tym graniem zdołała wyciągnąć dziadka z formaliny. – Ruchem brody wskazał pacjenta obok.

– Jak pan chce – powiedziała dziewczyna, chowając wiolonczelę do futerału.

Taillefer przetarł oczy. Był zmęczony. Do szpitala trafił wczoraj, bo poczuł się słabo, coś z sercem, podobno nic poważnego, ale biorąc pod uwagę jego stan zdrowia i fakt, że jest po transplantacji, trzeba było zrobić wszystkie badania. Jeśli wyniki okażą się zadowalające, może jutro zostanie wypuszczony. Na razie jeszcze przez kilka godzin musi leżeć w pokoju, w którym czuć przedsmak śmierci.

Cały czas myślał o swoim psie, który siedzi sam w domu, o obrzydliwej paryskiej pogodzie pod koniec roku: tygodnie deszczu, nisko wiszących chmur, ciemnego horyzontu. Żadnej nadziei na wiosnę. I ta smarkata, która nie chce sobie pójść...

– Jeszcze tu jesteś? – warknął.

– Sekunda! Zbieram nuty.

– Nie masz nic innego do roboty, tylko biegać po szpitalach i bawić się w Jacqueline du Pré?

Louise wzruszyła ramionami.

– Kto to jest Jacqueline du Pré?

– Wyszukaj sobie. Serio, uciekaj z tego straszego miejsca i zajmij się czymś, co się robi w twoim wieku.

– A według pana co się robi w moim wieku?

– Nie mam pojęcia... Spotkania z przyjaciółkami, flirtowanie z kolegami, upijanie się...

– Fantastycznie.

– Dobrze, znikaj wreszcie! – Podniósł głos. – Jeśli nie masz przyjaciół, wracaj do domu.

– Jest pan naprawdę niesympatyczny.

– To ty wchodzisz tu nieproszona i zawracasz mi głowę! – powiedział zdenerwowanym tonem.

Zaburczało mu w brzuchu. Skrzywił się i przycisnął go dłonią.

– I do tego jestem głodny. Jeśli chcesz się na coś przydać, przynieś mi coś do jedzenia.

– Poproszę pielęgniarkę.

– Nie, absolutnie nie! Nie chcę tego ich straszego kompotu! Na dole jest kafejka, Relais H, weź mi kanapkę z masłem i szynką albo szwedzki chlebek z łososiem.

– Może jeszcze piwo? Sól jest niezdrowa na serce.

– Zrób, o co proszę, to mi sprawi większą przyjemność niż twój Schubert.

Louise zawahała się, po czym zapytała:

– Rzuci pan okiem na wiolonczelę, dobrze?

Kiwnął głową.

– Pewnie, nie bój się.

Został sam z Dziadkiem. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze czwartej, a już zapadły ciemności. Dotknął wielkiej blizny, która przedzielała mu na pół klatkę piersiową. Już pięć i pół roku żył z cudzym sercem. Przez ten czas blizna stopniowo się zmniejszała, za to rósł lęk, że któregoś dnia to cudze serce nawali. Zamknął oczy. Wczoraj przy ulach w parku Montsouris bał się, że to koniec. Pałący ucisk w piersiach, wrażenie, jakby imadło zgniatało mu serce. Ból promieniował aż do szczęki. Taillefer zachwiał się i dostał mdłości. Nie mógł złapać oddechu, jak po biegu na średni dystans.

Oprzytomniał dopiero w karetce wiozącej go do szpitala Pompidou. Wyniki pierwszych badań i analiz okazały się niezłe, ale wciąż się bał. Paraliżowały go szpitalny stres, ponura atmosfera, obrzydliwe jedzenie, zwracanie się do chorych jak do dzieci, plastikowa kaczka, do której musiał sikać, ryzyko złapania jakiegoś zakażenia. Poza tym z dzieciństwa pamiętał powiedzenie: „Poszedł do szpitala, bo się zadrapał, a wynieśli go nogami do przodu”.

– Podwieczorek!

Taillefer otrząsnął się z odrętwienia. Louise Collange machała mu przed nosem papierową torebką.

– Wzięłam dla pana sałatkę jarzynową, to zdrowe – powiedziała, wyjmując plastikowy pojemniczek.

– Żartujesz?! – ryknął. – Dlaczego to zrobiłaś? Przecież chciałem łososa albo...

– Spokojnie, sałatka jest dla mnie, pan ma swojego łososa.

Spojrzał na nią ponuro. To wcale nie było śmieszne. Rozwinął kanapkę, marudząc.

– Nie musisz mi towarzyszyć – uprzedził, gdy sadowiła się na krześle.

– To prawda, że pan jest gliniarzem?

Zmarszczył brwi. Wygląda na to, że dzień będzie długi.

– Kto ci powiedział?

– Słyszałam rozmowę pielęgniarek. Mówiły, że pracował pan w kryminalnym.

Taillefer pokręcił głową.

– To było w innym życiu. Rzuciłem policję pięć lat temu.

– Ile pan ma lat?

– Czterdzieści siedem.

– Za wcześnie na emeryturę.

– Takie życie. – Wgryzł się w kanapkę z łososiem.

– Co się stało? Z powodu serca? – Młoda okazała się uparta.

– W ogóle nie powinno cię to obchodzić.

– A teraz co pan robi?

– Słucham twojej paplaniny – odparł i westchnął. – Znoszę to wypytywanie, chociaż nie wiem, za jakie grzechy...

– Nie jest pan łatwy...

– Nie jestem.

Skończył kanapkę w milczeniu. Postanowił być twardszy.

– Louise, posłuchaj, z pewnością jesteś genialna, ale nie znoszę, jak ktoś zawraca mi głowę. Twoja misja na pewno zainteresuje wiele osób w dalszej części korytarza. Mnie naprawdę głównie obchodzi twoje życie, twoje problemy i wszystko, co mogłabyś mi opowiedzieć. Wbrew pozorom nie jestem miłym facetem. Więc grzecznie cię proszę, żebyś opuściła mój pokój, bo...

– Bo co? – przerwała mu. – Zawoła pan pielęgniarkę?

– Bo wstanę i użyję siły, jasne? – odpowiedział spokojnie.

– Jeśli pan nie pracuje, mam propozycję – oznajmiła.

– Nie szukam pracy! – podniósł głos. – Zamierzam odpoczywać.

– Mogłabym zapłacić. Mam pieniądze.

Zdumiony jej tupetem, stracił pewność siebie. Uparta, niezrażona, była jak żeńska wersja François Pignona. Prawdziwy wrzód na dupie. Czuł, że będzie musiał ją ewakuować *manu militari*.

– Chciałabym, żeby pan zbadał śmierć mojej matki. – Westchnął, a ona dodała:

– Zmarła trzy miesiące temu.

– Przykro mi.

Skinęła głową. Musiał coś odpowiedzieć.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Według policji to był wypadek.

– A według ciebie?

– Według mnie została zamordowana.

Do pokoju weszła dyżurna pielęgniarka. Sprawdziła parametry, saturację na pulsoksymetrze, powiedziała cicho parę słów. Taillefer zawahał się; mógł skorzystać z okazji i poprosić ją, żeby wyprosiła młodą z pokoju, ale tego nie zrobił. Gdy tylko pielęgniarka wyszła, Louise powiedziała:

– Chciałabym, żeby pan chociaż rzucił okiem na akta sprawy, może zadzwonił tu i tam, żeby...

– O jakich aktach mówisz?

– Najpierw niech pan przeczyta artykuły w prasie na temat jej śmierci, wystarczy wpisać nazwisko w internecie.

– Nie ma mowy.

– Zabierze to panu ze dwie godziny. W zamian może mnie pan poprosić, o co pan chce.

W oczach dziewczyny zobaczył błysk inteligencji. Jasne, niepokojące światło.

– O co chcę? Naprawdę?

Przyszło mu do głowy coś, czym się zamartwiał, odkąd trafił do szpitala.

– Mogłabyś pójść do mnie do domu i nakarmić psa?

– A zajmie się pan sprawą mojej mamy?

– Nie, nie! Ale dobra, poświęcę dwie godziny na przeczytanie dokumentacji dotyczącej jej śmierci.

– Zgoda! Co to za pies?

– Owczarek niemiecki. Ma na imię Tytus.

– Jest przyjazny?

– Nie, a przede wszystkim nie lubi upierdliwych osób, więc uważaj.

Dał jej klucze, podyktował adres, skwer Montsouris, i kod do alarmu.

– Umawiamy się, że wchodzisz, dajesz mu jeść i wychodzisz. Nie wolno ci niczego dotykać.

– Zgoda. Co dalej?

– Daj mi swój numer, zadzwonię. Jak się nazywała mama?

– Petrenko. Primabalerina Stella Petrenko.

2

Upadek Stelli Petrenko

*Gdy rozpaczliwie czegoś szukamy, nie możemy tego znaleźć.
A gdy staramy się czegoś uniknąć, możemy być pewni, że
zaraz się o to potkniemy.*

Haruki Murakami

1

19.00

Leżąc na szpitalnym łóżku, Mathias Taillefer podłączył laptopa do telefonu. Internet nie był najszybszy, ale lepsze to niż nic. W słuchawkach znajome dźwięki gitary Pata Metheny’ego. Za oknem paryska noc: czarno i deszczowo, czyli beznadziejnie. Postukał w klawisze w poszukiwaniu informacji o matce Louise. Nazwisko Stelli Petrenko coś tam mu mówiło, ale jej twarzy w ogóle nie kojarzył. Że umarła – pierwsze słyszał.

Ściągnął kilkanaście artykułów z najpopularniejszych dzienników i przeczytał je według dat. Powoli stawała mu przed oczami postać primabaleriny.

Metr siedemdziesiąt dwa, długie szczupłe nogi, smukła szyja. W latach 1990–2000 Stella Petrenko była jedną z gwiazd francuskiego baletu. Urodziła się w Marsylii w 1969 roku, w skromnie żyjącej ukraińskiej rodzinie ze Lwowa. Do stolicy Francji przyjechała w wieku dwunastu lat, żeby zapisać się do szkoły tańca przy operze Garnier. Niezwykle utalentowana, z determinacją pięła się w górę. Jako siedemnastolatka dostała się do zespołu opery i stopniowo awansowała: była

koryfeuszką, potem solistką. Kiedy miała dwadzieścia dwa lata, została pierwszą tancerką i wystąpiła w podwójnej roli Odetty i Odylii w *Jeziorko łabędzim*. Ale w tym samym roku została potrącona przez motocykl w centrum Paryża. Odniosła obrażenia, które wymagały operacji i długiej rehabilitacji. Musiała przerwać karierę. Potem stale miała problemy z plecami i kolanem, mimo to walczyła. Dzięki sile i uporowi udało jej się wrócić na scenę. Ostatecznie status gwiazdy osiągnęła dość późno, w wieku trzydziestu lat.

Petrenko współpracowała z największymi choreografami naszych czasów – Maurice’em Béjartem, Williamem Forsythe’em, Piną Bausch – oraz wykonała kilka niezapomnianych interpretacji *Święta wiosny* Strawińskiego i *Boléra* Ravela. Wystąpiła w eleganckich reklamach Repetto, Hermès, AcquaAlty, ale ciągłe kontuzje zniszczyły ostatnie lata jej kariery, wracały problemy z plecami i z kolanem. Obowiązkowa emerytura tancerek w wieku czterdziestu dwóch lat zmusiła ją do zejścia ze sceny, co uczyniła z żalem.

W 2004 roku urodziła córkę; ojcem był Laurent Collange, ówczesny partner Petrenko, pierwszy skrzypek w orkiestrze symfonicznej Radia France.

Taillefer zdjął słuchawki i otworzył puszkę coli zero, którą jakiś mniej przestrzegający przepisów pielęgniarz kupił mu w zamian za dziesięć euro. Włączył na YouTube fragment z baletu *Romeo i Julia* Prokofiewa ze Stellą w roli głównej. To go wyjątkowo poruszyło.

Stella Petrenko nie miała nic z typowej drobnej, zgrabnej baletnicy o porcelanowej buzi. Nie rzucały się również w oczy jej ukraińskie korzenie. Właściwie nie miała w sobie wielkiego wdzięku. Bardzo umięśniona, zbyt długie nogi, wyrzeźbione codziennym ośmiogodzinnym treningiem, kościste ramiona. I dziwna kanciasta twarz. Zapadnięte policzki, niespokojne wielkie oczy, kruczoczarne włosy, których kosmyk często wymykał się z ciasno spiętego koczka.

Ale gdy zaczynała się ruszać, następowała czarodziejska przemiana. Jakaś magia powodowała, że na scenie Petrenko była samą gracją i kobiecością. Jej wyjątkowy wdzięk, fascynująca aura zupełnie wytrąciły Taillefera z równowagi. Dotyk anioła, jak łyk starego armaniaku.

Zakończył przeglądanie pokazu slajdów ze strony poświęconej karierze tancerki. Każdy przeczytany artykuł wzbogacał jego wiedzę o niej i chociaż nigdy jej nie poznał, zaczynał ją coraz bardziej lubić. Kolejne zdjęcia uświadamiały mu, jak ciężkie miała życie. Wyjątkowo utalentowana, już jako mała dziewczynka ciałem i duszą poświęciła się tańcowi. Dorastała w atmosferze bezwzględnej rywalizacji, w środowisku, w którym mogli przetrwać tylko najsilniejsi. Kariera pełna walki i wyrzeczeń, na dodatek przerwana poważnym wypadkiem, po którym musiała pracować jeszcze więcej, żeby wrócić na scenę. Życie wymagające żelaznej dyscypliny, wysoki poziom adrenaliny, sceniczny zawrót głowy; życie złożone ze wzlotów i upadków, pozostawione z posmakami czegoś niedokończonego. Mało znana szerszej publiczności, spóźniona gwiazda, a nawet wtedy, w tym najpiękniejszym dniu życia, który był ukoronowaniem tysięcy godzin ciężkiej pracy, los się jej przeciwstawił i z powodu strajku pracowników zespół musiał wystąpić bez dekoracji i kostiumów.

W wywiadzie dla pisma „JDD” z okazji pożegnania ze sceną mówiła, że ma mnóstwo planów: kino, teatr, moda... Niewiele z nich zrealizowała, choć od tamtej chwili minęło dziesięć lat. Tancerka zniknęła z mediów i pojawiła się w nich dopiero z powodu tragicznej śmierci.

2

Taillefer wypił ostatni łyk gazowanego napoju i przetarł oczy, zmęczone wpatrywaniem się w ekran. Założył okulary.

Śmierć Stelli Petrenko pod koniec zeszłego lata nie okazała się sensacją zasługującą na pierwsze strony gazet. Jedyne minister kultury opublikowała banalny tweet: *Z prawdziwym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Stelli Petrenko, jednej z największych primabalerin ostatniego dwudziestolecia. Była kobietą wolną, całkowicie oddaną sztuce, broniącą własnych przekonań, w swoich interpretacjach z pasją łączyła wirtuozerię z wrażliwością.*

Trzeba powiedzieć, że Stella Petrenko źle wybrała moment śmierci. Tego dnia, 6 września 2021 roku, odszedł bowiem również Jean-Paul Belmondo. Pech do końca, pomyślał Taillefer, krzywiąc się. Pamiętał audycję radiową, w której Jean d'Ormesson z humorem mówił o ryzyku, na jakie naraża się artysta, umierając w tym samym czasie co inny, bardziej popularny w mediach. Pisarz sypał przykładami: Jean Cocteau, który zmarł w tym samym dniu co Édith Piaf, czy Aldous Huxley, który zmarł w dniu zabójstwa JFK. A Farrah Fawcett z *Aniołków Charliego*, w której Taillefer kochał się jako dwunastolatek, miała pecha, umierając tego samego dnia co Michael Jackson.

Krótko mówiąc, odejście Szalonego Piotrusia okazało się dla dziennika telewizyjnego i pierwszych stron gazet wiadomością ważniejszą niż śmierć tancerki. Dopiero następnego dnia po południu AFP poinformowała o tym w depeszy, która przeszła bez echa:

Śmierć Stelli Petrenko

AFP

Tancerka wypadła z okna piątego piętra.

Była primabalerina wypadła z balkonu swojego mieszkania przy rue de Bellechasse. Miała 52 lata.

Wczoraj wieczorem około godziny 23.30 była primabalerina wypadła z balkonu na przedostatnim piętrze budynku przy rue de Bellechasse 31 w siódmej dzielnicy Paryża.

Sąsiedzi wezwali pogotowie, które przybyło na miejsce kilka chwil po wypadku. Tancerka, ciężko ranna w głowę, z poważnymi obrażeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi, jeszcze żyła. Mimo reanimacji zmarła dwadzieścia minut później.

Okoliczności zdarzenia są nieznane. Wszczęto śledztwo, które ma ustalić, czy był to tragiczny wypadek, czy samobójczy skok. Policja kryminalna wyklucza zabójstwo. Prokurator oznajmił, że sekcja zwłok powinna dokładniej wyjaśnić przyczyny śmierci.

Taillefer przeczytał artykuł jeszcze raz, żeby upewnić się, że nic mu nie umknęło. Po tej lekturze nasuwało się więcej pytań niż odpowiedzi. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, musiał odezwać się do dawnych kolegów.

Ale do kogo dobijać się dwudziestego siódmego grudnia wieczorem? Podrapał się w brodę. Nie był pewien, gdzie wylądowała ta sprawa. Na pewno nie w słynnej brygadzie kryminalnej, to wynikało z artykułu. Raczej w Trzecim Wydziale Policji Śledczej, na lewym brzegu Sekwany. Ostatnio szefem był tam Serge Cabrera. Kapitan Cabrera... Krępy, szyja jak u byka, koszula ledwo dopinająca się na brzuchu, fryzura na czeskiego piłkarza z lat osiemdziesiątych. Miał przezwisko Nicejczyk, był znany z chamstwa, seksizmu i wulgarnych odzywek, które to zachowania coraz mniej pasowały do obecnych czasów. Można było nawet zaryzykować stwierdzenie, że wskutek ruchu #MeToo i różnych policyjnych wpadek jego postawa zdecydowanie wyszła z mody. Taillefer sprawdził, czy wciąż ma jego numer, i wysłał mu esemesa. Chciał zbadać teren, właściwie na nic nie liczył. Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem nikt nie kiwnie palcem, żeby mu pomóc.

I co teraz?

Zgasił lampkę przy łóżku i włączył *Bolero* Ravela w wersji Maurice'a Bédjarta – jedną z choreografii, które rozślawiły Stellę Petrenko.

3

Czternasta dzielnica

W siąpiącym deszczu mały samochód, który można było prowadzić bez prawa jazdy, wyglądał jak słoiczek na kółkach. Karmelowy deser Danette w rzędzie normalnych aut. Louise żałowała, że wjechała na Boulevards des Maréchaux. Wcisnęła gaz, ale silnik miał limit czterdzieści pięć kilometrów na godzinę i właśnie go osiągnął. Upchnięta na obite skajem siedzenie wiolonczela zajmowała

pół samochodu, a przez wszechobecną wilgoć Louise zaczęła się czuć, jakby miała klaustrofobię. Kichnęła. Nie włączyła ogrzewania, chciała oszczędzać akumulator, ale z zimna szczękała zębami.

Zjechała z bulwarów na Porte de Vanves i wjechała w pstrokate uliczki Petit-Montrouge. Zapadała noc, szara i lodowata. Nad chodnikiem wisiała mgła, co w Paryżu zdarzało się rzadko.

Zatrzymawszy się na czerwonym świetle, Louise wprowadziła do GPS-u adres podany przez Taillefera. Przyczepiła telefon do przedniej szyby i ruszyła według wskazówek pokazujących się na ekranie. Minęła kamiennego lwa na place Denfert-Rochereau, znieruchomiałego pośród nieistniejącej sawanny. Koło miasteczka uniwersyteckiego ujrzała czworoboczną twierdzę zbiornika Montsouris stojącego na trzech hektarach niewidocznego z ulicy trawnika. Zbiornik ten zaopatrywał w wodę pitną dużą część Paryża. Przez dłuższy czas mijała znajome tereny, ale wszystko zmieniło się, gdy nawigacja doprowadziła ją na skwer Montsouris.

Nagle samochodzik wjechał na śliski bruk stromej prywatnej uliczki emanującej niezwykłym urokiem. Mimo ciemności przez żelazne ogrodzenia prześwitywały fasady obrośnięte bluszczem i glicynią. Śliczne secesyjne domki, pracownie artystów, wszystko tonęło w zieleni.

Louise zaparkowała samochodzik przed numerem, który podał jej Taillefer. Na furtce ujrzała tabliczkę z napisem: *Uwaga, zły pies!* Tabliczka była czerwona, narysowano na niej sylwetkę wilczura. Z obawą przekręciła klucz w zamku i pchnęła skrzydło żelaznej bramy. Zainstalowany czujnik wykrył ruch i zapaliło się światło. Budynek wyglądał jak wiejski dom w środku Paryża: ryglowe ściany, wykusze, fasada w ciepłej żółci. Louise odważyła się otworzyć drzwi. Natychmiast usłyszała dźwięk alarmu. Wpisała kod na klawiaturze i nagle ujrzała pędzącego na nią niewielkiego biało-brązowego psa z opadającymi uszami. Fałszywy alarm, pomyślała.

Gliniarz nieźle sobie z niej zadrwił. Zamiast owczarka niemieckiego stał przed nią poczciwy beagle, wysoki na może czterdzieści centymetrów.

– Cześć, Tytus! – przywitała go.

Pies, zadowolony z odzyskanej wolności, rzucił się do ogrodu i zaczął biegać jak oszalały. Louise weszła do środka. Inaczej wyobrażała sobie wnętrze. Spodziewała się typowego mieszkania gliny, zapachu tytoniu, brudnych naczyń w zlewie. Tymczasem – niespodzianka! Najwyraźniej dom był niedawno odnawiany. Wyburzono wszystkie ściany, a uzyskaną przestrzeń udekorowano z umiarem. Przeważało naturalne drewno. Jasny olejowany parkiet, duże i małe lampy Jieldé, kanciasty fotel Barcelona. Doskonale dopasowane elementy tworzyły monochromatyczne kremowe wnętrze.

Pies biegał wokół Louise, poszczekując. Poszła za nim do kuchni, gdzie znalazła ustawione na półce sterty puszek z psią karmą. Napełniła jedną miskę mięsnymi krokietami, a w drugiej zmieniła wodę. Wróciła do salonu.

Odczuwała coraz większe zmęczenie. Wciąż było jej zimno, może coś złapała? Zobaczyła w kominku gazetę zwiniętą w kulkę, trochę chrustu i trzy ładne kłody ustawione w stożek. Trudno było oprzeć się pokusie. Zapaliła długą zapalną i przyłożyła ją do papierowej kuli. Gdy ogień powoli się rozpałał, wbrew obietnicy, którą dała Tailleferowi, zaczęła myszkować po pokoju. Najpierw biblioteka. Gliniarz najwyraźniej był entuzjastą literatury obcej, sztuki i filozofii. Na ścianach wisiały wielkie płótna z chińską kaligrafią i litografia Fabienne Verdier, na niskim stoliku stała rzeźba z brązu Bernara Veneta przedstawiająca dwie splątane metalowe spirale. Na bloku ze skamieniałego drewna stała inna rzeźba, postać wykonana z siatki białych liter: Pan Alfabet. W koronkowym garniturze zdawał się stać na warcie.

W mieszkaniu było czysto, urządzono je ze smakiem, nigdzie nie walały się zbędne przedmioty. Ktokolwiek zajmował się domem, musiał być maniakiem porządku. Był to jeden z powodów, dla którego Louise tak się tu spodobało. Nienawidziła bałaganu. Miała obsesję na punkcie dokładności i symetrii. Każda rzecz musi mieć swoje miejsce.

Zauważyła, że nie ma tu żadnych zdjęć. Żadnego śladu obecności kobiety czy dzieci w życiu policjanta. Nie ośmieliła się wejść na górę. Taillefer mógł

zainstalować kamery.

Stała przy kominku, aż skóra zaczerwieniła jej się od gorąca. Lubiła to uczucie, wrażenie, że zaraz sama stanie w płomieniach.

Potarła powieki i na chwilę wyciągnęła się na sofie. Podobny mebel widziała w gabinecie psychoterapeuty. Od razu przybiegł Tytus i zwinął jej się u nóg. Wzięła do ręki komórkę i wystukała nazwisko Taillefera. Pojawiło się w prasie dwukrotnie: najpierw w roku 2000, bijatyka na Gare du Nord, która źle się skończyła, potem w lecie 2016 w lokalnej gazecie z Sud-Est, w reportażu promującym dawstwo narządów. Nie znalazła żadnej innej wzmianki o Mathiasie Tailleferze. Zamknęła oczy. Kim tak naprawdę był? Dlaczego mu zaufała, mimo jego ponurego wyglądu i zniechęcającego zachowania? Czy to był dobry pomysł powiedzieć mu o mamie? Ale kogo innego mogłaby poprosić o pomoc? Od kiedy zamieszkała w akademiku na Maubert, rzadko widywała się z ojcem. Zresztą Laurent Collange już wiele lat temu postanowił zapomnieć o Stelli Petrenko.

4

Spirala. Kalejdoskop. Karuzela nut wirowała w jego umyśle. I znów muzyka wyrwała go ze snu, ale tym razem był to dźwięk komórki, a nie uderzenia smyczkiem po strunach w wykonaniu Louise Collange.

Nieznany numer. Przełknął ślinę i usiadł w ciemnościach na łóżku. Już po północy. Zasnął przed ekranem, oglądając Stellę tańczącą *Bolero* Ravela. Szyja mu zdrętwiała, rozboleła go głowa, miał sucho w gardle i chciało mu się sikać.

– Słucham?

– Kapitan Taillefer? – usłyszał kobiecy głos.

– Przy telefonie. To znaczy były kapitan.

– Dzień dobry, mówi komisarz Fatoumata Diop z Trzeciego Wydziału Policji Śledczej. Komisarz Cabrera prosił, żeby do pana zadzwoniła.

Przyjemnie zaskoczony Taillefer włączył lampkę przy łóżku. A więc Nicejczyk raczył się z nim skontaktować, i to dość szybko.

– Dziękuję za telefon. Jak powiedziałem Cabrerze, chciałbym poznać szczegóły dotyczące śmierci Stelli Petrenko.

– Jakiego rodzaju szczegóły?

– Czy to wy byliście pierwsi na miejscu?

– Tak, przyjechaliśmy kilka minut po pogotowiu. Jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś konkretnego, proszę pytać. Mam raport przed oczami.

– Mogłaby mi go pani wysłać? Zaoszczędzilibyśmy czas.

– Żartuje pan... – Fatoumata Diop westchnęła. – Niech pan posłucha, nie lubię takich gier, więc...

– Pani zdaniem jaka była przyczyna śmierci Stelli Petrenko? – zapytał Taillefer, żeby nadać rozmowie właściwy kierunek.

– Niewątpliwie nieszczęśliwy wypadek. Albo samobójstwo, choć to jest mniej prawdopodobne.

– Jeśli wypadek, to jak do niego doszło?

– Babka weszła na drabinkę, żeby podlać kwiaty powieszony wysoko na balkonie. Na chodniku w pobliżu ciała znaleźliśmy konewkę.

– Czytałem, że wypadek miał miejsce trochę przed północą, zgadza się?

– Tak, i co z tego?

– Podlewa pani kwiaty o tej porze?

– To nic nie znaczy, wtedy w Paryżu było bardzo ciepło, początek września, wciąż lato. Słońce zaszło późno, ludzie siedzieli na zewnątrz...

– Taaa...

– Poza tym widziałam tę metalową barierkę, była zardzewiała i niezbyt wysoka – dorzuciła Fatoumata. – Nie spełniała żadnych norm. Dziecko mogłoby łatwo wypaść. Kobieta weszła na drabinkę podlać wiszące rośliny, może coś piła, straciła równowagę i wypadła. Koniec tematu.

Mathias podrapał się w szyję.

- A co wykazała sekcja?
- Niewiele. Dwa promile alkoholu we krwi... Wieczorem otworzyła butelkę burgunda, wypła prawie trzy czwarte. Wypaliła też trochę trawki.
- Ślady pobicia?
- Nie, nic.
- Nic za paznokciami? Kawałki naskórka? Jakiejś tkaniny?
- Nic.
- To wystarczyło, żeby wykluczyć morderstwo?
- Żeby mówić o morderstwie, potrzebny jest motyw. – Fatoumata Diop powoli traciła cierpliwość. – Nic takiego nie znaleziono.
- Z mieszkania nic nie zginęło?
- Na wierzchu leżała biżuteria o dużej wartości, portfel ze sporą ilością gotówki. Niczego nie tknięto.
- Samobójstwo?
- Nie za bardzo w to wierzę, ale wzięliśmy to pod uwagę. Od kiedy przestała występować, nie radziła sobie zbyt dobrze... Wieczorami ubierała się jak na scenę... spódniczka, trykoty i tak dalej.
- W dniu śmierci też?
- Tak, tak ją znaleźliśmy. Leżała na chodniku jak martwy łabędź. Taillefer zadrżał. Zdziwiło go, że ta informacja nie trafiła do prasy.
- Miała w domu dużo marihuany?
- Uprawiała.
- Handlowała?
- Nie, miała kilka sadzonek na balkonie, tyle co dla siebie... No dobra, Taillefer, chciałabym pójść do domu, więc...
- Jeszcze sekunda... Mówiła pani, że pierwsze na miejscu zjawilo się pogotowie, a czytałem, że Petrenko nie od razu zmarła.
- No i?

– Nie zdążyła im nic powiedzieć?

– I może napisać jeszcze krwią na chodniku *To Omar mnie zabił?* Nie, nie zdążyła nic powiedzieć, bo była w takim stanie, że trzeba ją było zbierać łyżeczką do herbaty. Rozumie pan?

– Ostatnia rzecz: jest pani pewna, że nikt nie mógł wejść do mieszkania?

– Jakim cudem? Drzwi były zamknięte od środka.

Taillefer otworzył usta, chcąc jeszcze coś dodać, ale właściwie już nie wiedział co.

– Ja też chciałabym rozwiązać jakąś skomplikowaną sprawę, ale proszę mi wierzyć, zbadaliśmy wszystko, sprawdziliśmy wszystko, nic nie znaleźliśmy. To nie było morderstwo! – zakończyła rozmowę Fatoumata Diop.

3

Niemożliwe śledztwo

Kto wie, ile pasji i ile wrogich myśli mieszka w człowieku?

André Gide

1

28 grudnia

– Obudź się! Hej, obudź się!

Louise otworzyła oczy. Był jasny dzień. Pies lizał jej twarz, a wielka dłoń Taillefera szarpała ją brutalnie za ramię. Zdawało jej się, że wychodzi z tunelu, czuła się, jakby przez wiele dni była nieprzytomna. Dlaczego spała tak długo i tak głęboko? Zmęczenie ciągłą nauką, ponura zima czy konsekwencje śmierci matki?

– Niech pan przestanie, to boli! Wyrwie mi pan ramię!

– Co tu robisz? – spytał groźnie Taillefer. Stał nad nią wściekły, ze zmarszczonymi brwiami.

– Jak pan widzi, spałam!

Wyrwała się z uścisku. Zaświeciło słońce. Perspektywa jasnego, pięknego dnia dodała jej animuszu. Wstała i zrobiła kilka kroków. W dziennym świetle dom wyglądał jeszcze bardziej gościnnie. Francuskie okno w salonie wychodziło na taras otoczony ogrodem.

– Jak pan tu dotarł ze szpitala?

– Wziąłem taksówkę.

– Trzeba było mnie uprzedzić, przyjechałabym po pana.

– Tą puszką po sardynkach? Dziękuję bardzo.

Wskazał wzrokiem leżącą na fotelu wiolonczelę.

– Wiesz, że została w samochodzie razem z kluczami? Bardzo inteligentnie, naprawdę. Żyjesz w świecie z bajki?

– Pańska dzielnica wygląda na spokojną.

– Pamiętaj, że pozory mylą! I odpowiedz na pytanie: dlaczego tu spałaś?!

– Bo chciało mi się spać! – Wzruszyła ramionami.

– Ale dlaczego tutaj? W MOIM MIESZKANIU!

– Nie musi pan wrzeszczeć! Przyszłam nakarmić psa, sam mnie pan poprosił, no i przysnęłam. Nie róbmy z tego afery.

– Mieszkasz z ojcem? Powinnaś do niego zadzwonić, na pewno się niepokoi.

Louise pokręciła głową, tłumiąc ziewnięcie.

– Wynajmuję pokój przy rue des Carmes. Ojciec jest w Val-d'Isère z żoną i dwojgiem dzieci. Później do niego napiszę. – Przeciągnęła się. – Nie zauważyłam, że już południe! Nie ma pan czegoś do przegryzienia?

Taillefer westchnął, opanowując złość. Sam też był głodny, no i chciał zapytać Louise o kilka rzeczy.

Dziewczyna poszła za nim do kuchni. Na środku znajdowała się wyspa kuchenna Corian, pomieszczenie utrzymane było w tej samej tonacji kremowej bieli co salon, zdobiły je jeszcze eleganckie stołki barowe z patynowanego dębu.

– Na co masz ochotę? – spytał.

– Może makaron? – odpowiedziała, sadowiąc się na wysokim stołku.

– Carbonara?

– Super!

– Więc przeprowadził pan śledztwo w sprawie śmierci mojej matki? – spytała po chwili.

Taillefer nastawił wodę w dużym garnku, a obok płyty indukcyjnej ułożył składniki do gotowania.

– Śledztwo... To za dużo powiedziane. Tak jak obiecałem, przeczytałem wszystko, co znalazłem, starałem się przeanalizować zdobyte informacje, no i rozmawiałem z policjantką, która kierowała zespołem wysłanym na miejsce zdarzenia.

– I co to dało?

Taillefer wziął salaterkę, rozbił trzy jajka i wrzucił do niej same żółtka, po czym wymieszał je z parmezanem.

– Dlaczego myślisz, że twoja matka została zamordowana? – spytał.

Zbita z tropu Louise zorientowała się, że właściwie nie ma żadnych argumentów.

– Intuicja... – odparła po chwili.

Taillefer wzniosł oczy do nieba.

– Intuicja? Chyba żartujesz!

– Jeśli to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia...

– Powiem ci, czego się dowiedziałem. Twoja mama miała we krwi ponad dwa promile alkoholu i uprawiała na balkonie marihuanę na własny użytek.

– No to co?

– To, że nie była wzorem spokojnego obywatela.

– No to co? – powtórzyła zirytowana Louise.

– Zastanów się, kto mógł skorzystać na jej śmierci?

Louise wzruszyła ramionami i bezradnie rozłożyła ręce.

– Sprawdziałaś jej konta bankowe?

– Były prawie puste. U szczytu kariery primabalerina zarabia siedem tysięcy euro, ale mama nie była specjalnie oszczędna. Nawet nie skończyła spłacać mieszkania.

– Kto po niej dziedziczy? Ty?

– Tak, pod warunkiem że ojciec pomoże mi spłacić kredyt matki.

– Ach, twój ojciec... Jakie były między nimi stosunki?

– Nie istniały. Rodzice rozstali się pięć lat po moich narodzinach. Niełatwo było żyć ze Stellą Petrenko.

– Dlaczego? – zapytał Taillefer, energicznie ubijając widelcem przygotowaną miksturę.

– Ojciec mówi, że primabalerina to osoba, która słucha tylko wtedy, kiedy mówi się o niej. To pewnie przesada, ale jeśli chodzi o matkę, raczej się nie mylił.

Taillefer sypnął do garnka z wrzącą wodą garść grubej soli i wrzucił makaron wstążki.

– Kochałam matkę – ciągnęła Louise – ale była egoistką. Wiecznie niezadowolona, wszystkich się czepiała. Miała temperament wojowniczkę, ale chyba przyjęła zbyt dużo ciosów... Nie umiała już żyć w spokoju.

– Czy kiedy zdarzył się wypadek, miała jakiegoś narzeczonego?

– Niejednego, zakochiwała się co tydzień.

– Nie przesadzasz, moja droga?

– Nie, to był jeden z objawów jej niestabilności emocjonalnej, głód miłości – powiedziała Louise. A tak naprawdę kompulsywna potrzeba seksu, dodała w myślach.

Taillefer nalał na patelnię kroplę oliwy i zaczął podsmażać pokrojone w paseczki *guanciale*.

– Czy w ogóle brałaś pod uwagę możliwość, że popełniła samobójstwo?

– Mama była zbyt narcystyczna, żeby się zabić... – Louise wzruszyła ramionami.

– Jednak ta policjantka powiedziała, że twoja matka była ubrana w strój na scenę: trykoty, baletki, spódniczkę. To wygląda trochę jak pożegnalny spektakl, nie uważasz?

– Nie, ona miała taki zwyczaj, nadal codziennie trenowała i wkładała swoje stare tiulowe tutu.

– Dobra, więc jaką masz teorię?

– Teorię?

– Dlaczego myślisz, że matka została zamordowana? Przecież mieszkanie było zamknięte od środka.

– Dach. – Louise powiedziała to jak coś oczywistego. – Ktoś przeszedł dachem i zeskoczył na balkon. W lecie mama wystawiała tam leżak i spędzała na dworze cały dzień, czytała albo oglądała coś na telefonie.

– Dobrze... nawet jeśli tak było, to nadal nie wiemy, dlaczego ktoś miałby chcieć ją zamordować.

– Myślałam, że pan zrozumiał...

– Co?

– Że właśnie pan może pomóc mi to odkryć!

3

Makaron zniknął z talerza Louise w niecałe trzy minuty. Na dworze było pięknie, Taillefer nakrył do stołu w ogrodzie i włączył koksownik, taki, jakich używa się na tarasach kafejek.

– Widzę, że doceniasz moje zdolności kulinarne – powiedział.

Jedli w milczeniu. Dziewczyna wciąż myślała o matce.

– Niech pan przynajmniej obejrzy mieszkanie mamy... Sam się pan przekona. Zawiozę pana, jak skończymy jeść! – zaproponowała.

– Trzy miesiące po wypadku... To niewiele da. A po południu mam ważne spotkanie.

– No to jutro!

– Ani jutro, ani nigdy.

– Pojutrze?

– Masz problemy ze słuchem?

Sprzątnął ze stołu, poszedł do kuchni i wrócił z dwoma espresso.

– Dam ci radę... – powiedział, siadając. – Zostaw to za sobą i zacznij nowy rozdział. Twoja mama nie żyje, to smutne, ale spróbuj się z tym pogodzić. I uwierz mi, to pseudośledztwo ci jej nie zwróci.

Louise zerwała się z krzesła i zaczęła nerwowo chodzić po tarasie.

– Nie zamierzam się poddawać! – oznajmiła wyniośle. – Zajmę się tym z panem albo bez pana. Są prywatni detektywi, którzy...

– Tak, tak, marnuj swój niewielki spadek na detektywów... Doskonały pomysł... Myślałem, że jesteś mądrzejsza.

– No to niech mi pan pomoże, do diabła!

Taillefer westchnął. Siedział twarzą do słońca, więc założył okulary przeciwsłoneczne i oparłszy nogi na stole, zapalił papierosa.

– Jest pan naprawdę lekkomyślny! Palić z pana sercem... Tytoń podnosi ciśnienie i zatyka tętnice. Powoli się pan zabija, to obrzydliwe.

Taillefer milczał. Chwytał resztki ciepłych promieni, z wyraźną przyjemnością drażniąc płuca dymem papierosowym. Miał to wszystko gdzieś. Od dłuższego czasu czuł się słabo fizycznie i psychicznie. Dno. Znał powód. Był dwudziesty ósmy grudnia. Ta data, wspomnienie szczęścia, bliskości i nadziei, teraz stała się udręką. Dzień zapowiadał się długi. O szesnastej pójdzie na umówione spotkanie, po którym będzie opóźnił powrót do domu, a gdy w końcu do niego dotrze, opróżni butelkę i połknie coś na sen, żeby jak najprędzej odpłynąć w nicość. Tak samo będzie jutro. I pojutrze. Uciec w cokolwiek, śnić, marzyć, odurzyć się. Gorzej, jeśli serce nie wytrzyma. A może nawet lepiej...

– No, Mathias, jedziemy? Zabieram pana na miejsce zbrodni.

Stała przed nim i nie odpuszczała. Z jednego tylko powodu jeszcze nie wyrzucił jej za drzwi. W pewien sposób go bawiła. Stymulowała intelektualnie, nie pozwalała mu zatonać.

– Zrezygnowałaś z detektywa?

– Mówiłam sto razy, że chcę pana.

– Przecież mnie w ogóle nie znasz! Mówiłem ci, nie jestem fajnym facetem.

Masz siedemnaście lat, wychowałaś się w bezpiecznym kokonie. Nie możesz ufać ludziom tylko dlatego, że wydają ci się sympatyczni.

– Ale ja nie uważam, że pan jest sympatyczny.

– Wyglądasz na rozgarniętą, więc pozwól, że powtórzę jeszcze raz: przy mnie narażasz się na niebezpieczeństwo.

Spojrzała na niego powątpiewająco. W ogóle mu nie wierzyła. Ten człowiek nie wzbudzał nieufności ani obawy przed jakimiś nieczystymi zagraniem. Wręcz przeciwnie, wydawał się tarczą, która zatrzyma strzały i odeprze uderzenia, jeśli ktoś będzie chciał zrobić Louise krzywdę.

– Nie ufaj intuicji... – powiedział, jakby czytał jej w myślach.

– Głupie gadanie... – prychnęła, wyłączając grzejnik.

– Włącz z powrotem!

– Nie ma mowy, to najbardziej nieekologiczna rzecz...

– Przynajmniej nie zamarzamy z zimna.

– Nie zamarzamy z zimna, ale niszczymy planetę.

– Co najwyżej niszczymy ludzkość.

– I nie martwi to pana?

– Sprawia mi przyjemność, jeśli chcesz wiedzieć. Planeta sobie doskonale poradzi bez nas.

– Żałosne. No dobra, pomoże mi pan czy nie? Bo kręcimy się w kółko.

Taillefer zawahał się po raz ostatni. A jeśli ta dziewczyna była znakiem od losu? Albo jego narzędziem?

– Obejrzę mieszkanie twojej mamy, ale w zamian coś dla mnie zrobisz.

– Znowu? Co takiego?

– I zrobisz to bez zadawania pytań.

– Okej, mamy deal.

Siódma dzielnica. Kościół Saint-Thomas-d'Aquin. Louise zaparkowała samochód między sklepem z włoskimi meblami a nową siedzibą firmy Yves-Saint-Laurent, w samym sercu opactwa cystersów Penthémont. Mieszkanie Stelli Petrenko znajdowało się w eleganckim domu w stylu Haussmanna na rogu rue de Bellechasse i rue des Las-Cases. Taillefer przyjrzał się budynkowi z żółtawego kamienia pochodzącego ze słynnych kamieniołomów w Saint-Maximin, który od XVIII wieku zdobił fasady najpiękniejszych budynków w stolicy. Powoli, bo słabe serce dawało mu się we znaki, Taillefer wszedł za Louise do ogromnego holu ze złoceniami, podłogą z wielkich kwarcowych płyt i gigantycznym żyrandolem w formie latarni. Minęli stróżówkę, która wbrew wywieszonej informacji o godzinach urzędowania była zamknięta. Wjechali windą na piąte piętro.

– Niczego nie dotykałam, wszystko jest tak, jak było – uprzedziła Louise, otwierając drzwi.

Schronieniem Stelli Petrenko było małe narożne mieszkanko na planie kwadratu, utrzymane w pastelowych barwach. Umieszczone za drążkiem baletowym wielkie lustro sprawiało, że wewnątrz wydawało się bardziej przestronne. Romantyzmu dodawał wspaniały widok na dachy Paryża.

Miejsce wyglądało tak, jak wyobrażał sobie Taillefer. Domyślał się, że tancerka chciała odtworzyć atmosferę baletowej garderoby. Nie brakowało tu niczego: kolekcja point powieszonych na haczykach, manekiny ubrane w trykoty i tutu, obita aksamitem berżera jak z obrazu François Bouchera. Ściana za toaletką z inkrustowanego drewna była pokryta pocztówkami i kartkami od wielbicieli oraz zdjęciami baletmistrzów, pianistów i innych słynnych postaci. Taillefer rozpoznał Pinę Bausch, Bėjarta, starzejącego się Nuriejewa i byłego prezydenta Sarkozy'ego, uwiecznionego w trakcie przypinania Stelli jakiegoś odznaczenia.

Louise otworzyła dwa duże okna i przywołała Taillefera na miejsce, które mogło być miejscem zbrodni. Balkon był nietypowy, wyglądał bardziej jak taras przysłonięty częściowo markizą z matowego szkła, wspartą na żelaznych prętach,

po których pięło się dzikie wino. Na całej długości parapetu stały kwiaty w doniczkach, teraz już zasuszone. Wysokie drewniane okiennice z popękaną farbą były podparciem dla prostokątnych terakotowych doniczek. Obok, niczym rzeźba, stała stara drabinka ogrodowa z poszarzałego teku.

Taillefer oparł się o niską zardzewiałą barierkę, dokładnie taką, jak opisała mu Fatoumata Diop. Spojrzał na dach. Czy stamtąd można było dostać się na taras? Może ktoś lekki, wysportowany... Ale który złodziej podjąłby takie ryzyko, żeby ostatecznie odejść z pustymi rękami? Poza tym walka z tancerką zostawiłaby ślady. To wszystko nie miało sensu. Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem był ten przyjęty przez Trzeci Wydział Policji Śledczej: pijana Petrenko weszła na drabinę, żeby podlać kwiaty, i wypadła na ulicę. Kiedy podzielił się swoimi myślami z Louise, posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

Nagle Taillefera oślepił błysk światła. Po drugiej stronie ulicy ktoś otworzył lub zamknął okno i w szybie odbiły się promienie słońca. Policjant przysłonił oczy dłonią. Trzy sześciopiętrowe budynki naprzeciwko. Ich mieszkańcy mogli tamtego pamiętnego wieczoru coś zauważyć, ale o ile wiedział, nikt się nie zgłosił.

Wrócił do mieszkania, zostawiwszy otwarte wyjście na balkon, i zajrzał do łazienki. Wciąż szukał ewentualnych dowodów zbrodni. W apteczce znalazł prezerwatywy i lekarstwa, które dobrze znał, benzodiazepiny i sertralinę. No tak, jak zwykle kulisy były mniej atrakcyjne od tego, co działo się na scenie. Zrobiło mu się niedobrze. Co on tu robił, przeszukując kubły na śmieci jak jakiś kloszard?

Wrócił do salonu, do Louise. Dla porządku omiół wzrokiem rzeczy rozłożone na biurku. Notes, telefon, zbiór poezji Anny Achmatowej, inkrustowana masą perłową zapalniczka Zippo, jakaś powieść... Otworzył książkę na chybił trafił, w oczy rzuciły mu się podkreślone zdania: *Wiek kochania nie istnieje. To, co istnieje i przemija, to wiek, żeby być kochanym.* Spacerując po pokoju, machinalnie przerzucał strony w notesiku oprawionym w skórę. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Dokładnie przyjrzał się wszystkiemu dookoła, zapamiętując najmniejsze szczegóły, jak to robił setki razy, gdy był policjantem. Miał nadzieję, że nagle zobaczy coś nowego, co skojarzy mu się z czymś już zapamiętanym.

Nadstawił ucha, nasłuchując odgłosów z ulicy, głuchego łoskotu windy, kroków na klatce schodowej...

Podniósł głowę. Na ścianie wisiał obraz: portret młodego mężczyzny o srebrnych oczach bez źrenic, namalowanego na turkusowym tle. Było coś fascynującego, a zarazem przerażającego w tym połączeniu delikatnych i pełnych wdzięku rysów twarzy z pustymi oczami zombie.

– Wiesz, czyj to portret? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała Louise. – Wisi tu od niedawna.

– A to jest komórka twojej mamy?

Kiwnęła głową.

– Znasz PIN?

– Właśnie nie, ale myślałam, że może pan...

– Zapomnij. Nie znam się na telefonach. O tym na pewno wiesz więcej niż ja.

Rozmowę przerwał im dzwonek do drzwi. Dozorczyni, która zauważyła, jak przechodzili, wręczyła Louise pakiet listów. Zamieniły parę słów, Taillefer nie przyłączył się do rozmowy. Obraz młodego zombie dziwnie go przyciągał. Dzieła sztuki dużo mówią o swoich właścicielach. Przebywanie przez lata z jakimś obrazem czy rysunkiem, który emituje własną energię, dobrą lub złą, nie może pozostać obojętne, nie mówiąc o tym, że już sam wybór zdradza osobowość właściciela.

Portret nie był podpisany. Taillefer zdjął go ze ściany i odwrócił. Do ramy przyklejono etykietkę:

Marco Sabatini

Żołnierz #96

Galeria Bernarda Benedicka

Rue de Faubourg-Saint-Honoré 125

Zanotował to i zawołał dozorczynię, zanim zdążyła odejść.

– Dzień dobry, kapitan Taillefer, brygada kryminalna. Mogę pani zająć pięć minut?

Spojrzała na niego nieufnie, broniąc się tradycyjnym: „Powiedziałam już wszystko trzy miesiące temu pana kolegom”. Taillefer wyczuł, że lada chwila każe mu się wylegitymować. Postarał się przybrać sympatyczny, wzbudzający zaufanie wyraz twarzy i odezwał się najbardziej ujmująco, jak potrafił:

– Sędzia przed umorzeniem sprawy zlecił jeszcze dodatkowe śledztwo. To nie potrwa długo. – Uśmiechnął się i zaprosił ją gestem, żeby usiadła z drugiej strony biurka. Rozegrał sprawę w sposób klasyczny. Wziął jedno z piór leżących na biurku, zdjął skuwkę i zaczął notować na kartce wyjętej z papeterii, którą tancerka przywiozła kiedyś z hotelu Normandy.

– Nazwisko?

– Myriam Morlino. Jestem dozorczynią w trzech kamienicach przy tej ulicy, pod numerami dwadzieścia siedem, dwadzieścia dziewięć i trzydzieści jeden.

– Mieszka pani tutaj?

– Nie, w budynku obok. Kiedyś były dwie dozorzynie, ale właściciele postanowili oszczędzać, wie pan, jak to jest.

– Dobrze pani znała Stellę Petrenko?

– Dość dobrze. Pracuję tu dopiero od stycznia, ale pani Petrenko czasem ze mną rozmawiała. Może pan również skontaktować się z panią Mertens, która pracowała tu przede mną.

– Zrobię to. Wieczorem w dniu wypadku niczego pani nie słyszała?

– Nie, wcześniej się kładę. Ale już to wszystko mówiłam.

Myriam Morlino miała na sobie luźny fartuch. Ciągle nim poruszała, jakby chciała się przewietrzyć mimo panującego w pokoju zimna.

– Kto zawiadomił pogotowie?

– Właściciel Dziewiątego Thermidora, tej kafejki na rogu. Właśnie zamykał, kiedy pani Petrenko wypadła.

– Kto ostatni widział ją żywą?

– Nie mam pojęcia! – zirytowała się Myriam Morlino. – O ile wiem, ostatnio prawie wcale nie wychodziła. W dniu wypadku jak zwykle koło jedenastej zaniósłam jej pocztę, a pod wieczór była u niej pielęgniarka.

– Pielęgniarka?

– Żeby zmienić opatrunek po tej operacji.

Taillefer popatrzył na Louise, marszcząc brwi.

– Jakiej operacji?

Dziewczyna machnęła ręką.

– Nic poważnego, potem panu powiem.

Taillefer przypomniał sobie adres gabinetu pielęgniarskiego nagryzmołony w kalendarzyku tancerki. Otworzył notes. *Nora Messaoud, dyplomowana pielęgniarka, rue de Bourgogne 35, Paryż 75007* – przeczytał. Wyrwał kartkę i włożył do kieszeni.

– Wie pani może, czy Stella Petrenko oprócz palenia skrętów i zażywania leków brała jeszcze coś innego? Przychodzili tu jacyś dilerzy?

– Zwariował pan?! – wykrzyknęła Louise.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała dozorczyńni. – Przychodzili do niej jacyś mężczyźni, ale moim zdaniem to nie byli dilerzy.

– To kto to był?

Dozorczyńni się stropiła.

– No, nie wiem, znajomi, przyjaciele...

– Kochankowie? – przerwał brutalnie Taillefer.

– Pewnie tak. Starzenie się chyba nie było łatwe dla pani Petrenko. Lubiła podobać się mężczyznom, to dodawało jej pewności siebie, mimo że już ostatnio ilość przeważała nad jakością, że tak powiem... przepraszam panienkę!

– Kto mieszka w tym budynku, pani Morlino?

Twarz dozorczyńni skurczyła się i kobieta ciężko westchnęła, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała nadludzkiego wysiłku.

– Na parterze jest kancelaria adwokacka, prowadzi ją małżeństwo, Lambertowie, są też właścicielami dwupoziomowego mieszkania, na pierwszym i drugim piętrze. Na trzecim mieszka doktor Rolland i ma tam również gabinet. Na czwartym mieszkają jacyś Amerykanie, ale oni przyjeżdżają dopiero wiosną.

– A tu, na piątym?

– No, tu oczywiście pani Petrenko, i jest jeszcze jedno małe mieszkanie, w którym malarz z szóstego trzymał swoje materiały.

– A wyżej są jakieś służbówki?

– Tak, ale zostały przebudowane, połączono je i zrobiono wielką pracownię.

– Do kogo ona należy?

– Do Marca Sabatiniego, to młody włoski malarz. Namalował ten obraz – powiedziała dozorczyńni i wskazała płótno, które Taillefer zdjął ze ściany.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Sabatini jest teraz u siebie? Chętnie bym z nim pogadał.

– Nooo... To nie będzie łatwe.

– Dlaczego?

– Bo nie żyje.

– Nie żyje? Kiedy zmarł?

– Latem, na covid. To znaczy tak mówili, ale...

Zamilkła.

– Ale co? – przerwał wreszcie ciszę Taillefer.

– Nooo... Ja myślę, że zabiła go szczepionka.

– Szczepionka przeciw covidowi?

– Wie pan, co w niej jest? Mikroskopijne kuleczki, tlenek grafenu. A wie pan po co? Żeby zdalnie sterować ludźmi dzięki chipom pięć-G.

Przez chwilę Taillefer myślał, że Myriam Morlino żartuje, jednak mówiła całkiem poważnie i jeszcze dodała:

– Grafen służy do tego, żeby nas namagnetyzować i kontrolować naszą wolę. Krew zastyga i nie dochodzi do serca ani do mózgu. Moja szwagierka zna osobę, która od tego umarła. Oni rozregulowali jej pole elektromagnetyczne.

– Opowiada pani bzdury... – zaprotestowała Louise. – Jestem studentką medycyny i uważam, że pani słowa są niebezpieczne.

– Wcale nie, traktują nas jak spiskowców, a to my mamy rację. Gdy większość ludzi zostanie zaszczepiona, oni przez komórki włączą fale magnetyczne i te kuleczki zaczną się rozwijać, i narodzi się TO COŚ, co zawładnie ciałem człowieka.

Louise zatkąło, popatrzyła więc tylko na Myriam z konsternacją. Taillefer już nawet nie słuchał. Z wiekiem jego tolerancja na głupotę znacznie zmalała. Był na nią uczulony. Popatrzył na zegarek. Absolutnie nie może się spóźnić na spotkanie.

– No, dość tych żartów! – rzucił w kierunku Louise. – Spadamy!

Wsunął obrazek Marca Sabatiniego do torby Repetto, którą znalazł pod biurkiem.

– Czemu pan to zabiera? – spytała Louise.

– Po pierwsze, bo to jest dowód rzeczowy, a po drugie, bo mi się podoba.

4

Dziwny czas

Zwariowali wszyscy pospołu

Zaprosili zmarłych do stołu

Louis Aragon

1

Place de la Concorde

Samochodzik Louise lawirował między mnóstwem innych aut. Taillefer siedział skulony na miejscu pasażera; ledwo się mieścił, miał wrażenie, że jest wciśnięty w twarde plastikowe pudełko. Louise minęła Fontaine des Mers, zatrzymała się przed paryskim diabelskim młynem i włączyła światła awaryjne. Taillefer od razu otworzył drzwi i wygramolił się jak najszybciej, żeby rozprostować zdętwiałe nogi. Podszedł do wejścia na diabelski młyn, który pod koniec listopada wrócił tu, na swoje zwykłe miejsce. Po chwili nadeszła Louise.

– Nienawidzę go – powiedziała, wskazując na ogromne koło.

– Nie ja wybrałem miejsce spotkania.

– Z kim pan się umówił? Z ośmioletnim dzieckiem?

Niemrawo pokręcił głową.

– Jestem za wcześnie. Kupić ci gofra?

– Z panem się bez przerwy je. Zanim skończymy współpracę, przybędzie mi co najmniej dziesięć kilo.

Taillefer ruszył w kierunku budki z goframi. Przyciągany zapachem grzanego wina, bez skrupułów odepchnął niezdecydowanego nastolatka i zamówił torebkę churros. Louise w końcu się złamała i wzięła naleśnika. Kiedy czekali na zamówienia, Taillefer odszedł na bok i wyciągnął z kieszeni wyrwaną z notesu Stelli Petrenko karteczkę z adresem. Wyglądził ją, żeby odczytać numer telefonu nabazgrany przez tancerkę. Chciał sprawdzić tę historię z gabinetem pielęgniarstwa. Zadzwoił do Nory Messaoud. Odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrał prośbę o szybki kontakt.

– Podzielmy się robotą! – zaproponował, gdy Louise wróciła z naleśnikiem. – Po spotkaniu spróbuję jeszcze raz dotrzeć do tej pielęgniarki i pogadać z nią. Chciałbym, żebyś w tym czasie odwiedziła galerię, która wystawia obrazy Marca Sabatiniego.

– Po co? – spytała Louise, spoglądając co chwilę na źle zaparkowany samochód.

– Ta historia, że zmarł na covid...

– Jaki to ma związek ze śmiercią mamy?

– Intuicja.

– Myślałam, że intuicja to pomysł do dupy.

– Zamiast mi odszczekiwać, zrób, o co cię proszę. Dwie osoby zmarły w tym samym domu w ciągu kilku dni? Warte sprawdzenia.

– Wciąż mi pan nie powiedział, czego pan będzie chciał w zamian za pomoc.

– Już mówię, ale jest jeden warunek: o nic nie pytasz i robisz, co ci każe. I bez komentarzy, okej?

Kiwnęła głową.

– Niedaleko place de Furstemberg jest restauracja Numéro Six.

– Chyba wiem, gdzie to jest.

– Pójdiesz tam dziś o dziewiętnastej, usiądziesz przy barze i zamówisz drinka, coś bez alkoholu, no wiesz, żebyś nie narobiła sobie kłopotów. Z tego miejsca będziesz dobrze widziała całą salę.

– A potem?

– Będziesz obserwować klientów. Chciałbym, żebyś znalazła pewną kobietę: koło czterdziestki, ładna, Libanka.

– A kto to jest?

– Ustaliliśmy: żadnych pytań.

Louise chciała powiedzieć coś śmiesznego, ale uznała, że lepiej nie.

– Zrobisz jej zdjęcie iPhone'em i prześlesz je do mnie.

– To wszystko?

– Tak.

– Będzie sama?

– Tak, jeśli w ogóle przyjdzie.

– Jak długo mam czekać?

– Trzy kwadranse, maksymalnie godzinę.

– Rozumiem.

– Jesteśmy w kontakcie! – Taillefer zamachał telefonem i odszedł.

Louise pobiegła za nim.

– Zaraz, niech pan zaczeka, co mam powiedzieć właścicielowi galerii od Sabatiniego?

Mathias popatrzył na nią. Uderzyło go znów jej żywe, przenikliwe spojrzenie.

– Nie wiem... Jesteś wystarczająco sprytna, coś wymyślisz.

Odszedł, zostawiając ją samą. Chwilę patrzyła za nim; zobaczyła jeszcze, że podszedł do niego wysoki facet w czerwonej kurtce z kapturem obszytym futrem. Zmrużyła oczy, starając się dokładniej zobaczyć nieznanego, ale w niecałą sekundę obaj mężczyźni zniknęli w tłumie.

Galeria Bernarda Benedicka mieściła się w dużym lokalu przy rue du Faubourg-Saint-Honoré. Mimo że wewnątrz paliło się światło, Louise miała wrażenie, że galeria jest nieczynna. Przez szyby w oknach nie spostrzegła nikogo w środku. Nacisnęła dzwonek i po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Zobaczyła młodą kobietę z krótkimi włosami, piercingiem i tatuażami, ubraną w czarno-biały T-shirt z napisem *Sprawiedliwość dla Adamy*.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym porozmawiać z Bernardem Benedickiem.

Kobieta zamrugała za grubymi szklami okularów.

– A o czym? – spytała z nutą pogardy w głosie.

– O tym obrazie – powiedziała Louise, wyciągając z torby obrazek, który Taillefer wyniósł z mieszkania jej matki.

Nastawienie kobiety od razu się zmieniło.

– Och, Sabatini! Jaki piękny! To niebieskie jaskrawe tło świetnie współgra z różem. Zaraz uprzedzę pana Benedicka. Ma pani szczęście, dziś rano wrócił z Nowego Jorku, a jutro wyjeżdża do San José.

Louise została sama. Co ona tu robi? Poczowała się dziwnie. Na początku ucieszyło ją, że Taillefer uległ jej prośbie. Ale teraz nie miała pojęcia, co ta galeria może mieć wspólnego ze śmiercią matki i w jaki sposób tą wizytą ma posunąć śledztwo do przodu. „Jesteś wystarczająco sprytna, na pewno coś wymyślisz”. Cholera, Taillefer!

Czekając na Bernarda Benedicka, zaczęła spacerować po wielkich salach. W dwóch pierwszych prezentowano wystawę zatytułowaną *Biały szum*. Tematy wszystkich obrazów koncentrowały się wokół motywu bieli. Monochromy, rzeźby z marmuru, tkaniny z bielonego lnu przedstawiające pejzaże, na których cicho sypie śnieg. Na jednej ze ścian migotał biały neon z tekstem: *Białe zło musi zniknąć*. Louise zrobiło się niedobrze. Cała wystawa przypominała ogromną kałużę skondensowanego mleka. Przeróżające i obrzydliwe.

Uciekła do ostatniej sali, dużo ciekawszej. Ekspozycję zatytułowano *Armia umarłych*. Pokazano na niej około dwudziestu portretów namalowanych przez Marca Sabatiniego. Płótna były do siebie bardzo podobne. Wszystkie przedstawiały tego samego młodego człowieka o srebrnych pustych oczach, wpatrującego się w widzów żywego trupa. Tylko tła były różne. Niektóre, o wyraźnej teksturze, przedstawiały wydmy, dżunglę albo góry, inne były płaskie, za to wibrowały kolorami. Światło nigdy nie padało w ten sam sposób, wydobywało odcienie od wieczornego mroku do bladości zimowego poranka. Każdy portret miał w sobie jakieś napięcie, każdy krył tajemnicę. Walka, krew i śmierć czaiły się w pobliżu.

– Niezwykle prace, prawda?

Pytanie wyrwało Louise z zamyślenia. Odwróciła się i przywitała z Bernardem Benedickiem. Pomarańczowy sweter, wąskie dżinsy, kolorowe trampki – sześćdziesięciolatek ubierał się młodzieżowo.

– W czym mógłbym pani pomóc?

Louise pokazała mu obrazek i wyjaśniła, że znalazła go w mieszkaniu matki, primabaleriny Stelli Petrenko.

– Tak, oczywiście, to my oprawiliśmy i dostarczyliśmy jej ten portret. Siódma dzielnica, prawda?

Louise przytaknęła.

– To był prezent malarza dla pani matki. Wydaje mi się, że byli sąsiadami i że się lubili.

Okrągłe oczy o ciepłym spojrzeniu błyszcząły zza grubych szkieł okularów corbusierek.

– Jeśli pani mama życzy sobie sprzedać ten portret, chętnie go odkupię.

– Mama nie żyje.

– Tak mi przykro. Co za okropny nietakt. Nie wiedziałem. Często jestem za granicą i ta informacja do mnie nie...

– Nic nie szkodzi, proszę pana – przerwała mu Louise.

– Czy może napiłaby się pani kawy... albo czegoś innego?

– Trochę wody, jeśli można.

Weszła za Benedickiem po metalowych schodach na półpiętro, gdzie znajdował się jego gabinet. Był niewielki, stały tu tylko stół z pleksi i dwa niskie fotele.

– Gazowana czy niegazowana?

– Poproszę niegazowaną. Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej na temat malarstwa Marca Sabatiniego?

– Z przyjemnością – odparł właściciel galerii, wciąż jeszcze zażenowany swoją gafą. – Marco umarł w wieku zaledwie trzydziestu jeden lat. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych Brera w Mediolanie. Był wschodzącą gwiazdą, zaczęliśmy go wystawiać dwa lata temu. Początkowo na ekspozycjach zbiorowych, ale szybko zaczął się wyróżniać. W tym roku zaryzykowaliśmy i zdecydowaliśmy się na pokaz poświęcony jego autoportretom. On nazwał je *Armią umarłych*.

– Czy pan go dobrze znał?

– Właściwie nie. Był raczej skryty i wycofany, rzadko tu bywał. Nie interesowały go kwestie materialne... Rzadko mieliśmy kontakt, mimo że jego prace bardzo dobrze się sprzedawały na Art Paris, Fiacu i Art Basel. Z komercyjnego punktu widzenia jego śmierć jest dla nas wielkim ciosem.

– Mam wrażenie, że on wciąż malował ten sam obraz...

– Tak, to prawda, wciąż to samo uosobienie cierpienia. Jest jednak trochę różnic, ku satysfakcji kolekcjonerów.

– Czy kryje się za tym jakieś przesłanie?

– Nie wiem. Marco nigdy nie komentował swoich prac, ale... – Benedick wstał i zdjął z półki katalog. – Wydaliśmy broszurę o jego ostatniej wystawie. Kurator, który redagował tekst, w opisie dzieł nawiązał do procesu zombifikacji, jaki praktykuje się jeszcze na Haiti w tradycji voodoo. Niech pani to przeczyta, interesujące... Proszę, to dla pani.

– Dziękuję – odpowiedziała Louise, trochę skonsternowana.

– Ciekaw jestem, czy Sabatini mógłby malować inaczej... Niestety, nigdy się nie dowiemy.

– Naprawdę zmarł na covid?

– Tak, tak napisano w prasie. Potwierdziła to jego narzeczona, gdy przyniosła mi trzy ostatnie obrazy, które namalował tuż przed śmiercią. Nie do wiary, jak młodo umarł.

– Wie pan coś o jego przyjaźni z moją matką?

Na twarz Bernarda Benedicka wypłynął grymas żalu.

– Bardzo chciałbym pani pomóc, ale niestety, nic więcej nie wiem.

3

Place de la Contrescarpe

Piąta dzielnica

Jestem w kawiarni – brzmiał esemes.

Taillefer spojrzał na wejście do bistro. Stała tam Nora Messaoud. Wyglądała sztywnie: wyprostowane czarne włosy, jaskrawa szminka, szarobeżowy dopasowany trencz. Przywołał ją ręką. Siedział w głębi sali.

– Bardzo się cieszę, że pani przyszła. Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, stawiając torebkę na brzegu stolika. – Przede mną jeszcze przynajmniej dwie godziny pracy. Jeśli zacznę już teraz od moscow mule, mogą być ofiary w ludziach.

Na dworze zaczęło błyskać, rozległy się grzmoty. Nora usiadła na krześle, spojrzała na zegarek i zmieniła zdanie.

– Chętnie napiję się miętowego perriera z lodem i plasterkiem cytryny, o ile to nie potrwa długo.

Taillefer przywołał kelnera i złożył zamówienie.

– Nic nie zrozumiałam z tego, co pan mówił przez telefon, panie inspektorze!

– Kapitanie – poprawił.

- Jak pan sobie życzy, *il capitano!*
- Brygada kryminalna wznowiła śledztwo w sprawie śmierci Stelli Petrenko.
- Aż brygada kryminalna, proszę, proszę!
- Rutynowa kontrola przed całkowitym umorzeniem śledztwa.
- Co ja mam z tym wspólnego?
- Widziała ją pani w dniu śmierci, prawda?
- Tak, przez ponad miesiąc zmieniałam jej opatrunki.
- Co jej właściwie było?
- Zna pan chorobę Dupuytrena?
- Nie mam pojęcia, co to jest.
- To taki charakterystyczny przykurcz ścięgien dłoni.

Nora Messaoud wyciągnęła do Taillefera dłoni i pokazała mu ścięgna. Jej niezwykle długie i spiłowane tępo paznokcie były pociągnięte szkarłatną czerwienią.

– To choroba z początku łagodna, ale postępująca z wiekiem. Stopniowo chore tkanki twardnieją i tworzą guzki, a ścięgna włóknieją, co powoduje przykurcz palców.

- Skąd to się bierze?

Nora Messaoud wzruszyła ramionami i upiła łyk.

– Tak naprawdę nie wiadomo. To może być choroba genetyczna, bo często dotyka członków tej samej rodziny. Alkohol i papierosy też zwiększają ryzyko...

Taillefer nie mógł oderwać wzroku od paznokci pielęgniarce. Na każdym był inny maleńki rysunek: gwiazdka, kwiatek, motylek, półksiężyc. Fascynowały go te szpony.

- Czy to jest bolesne? – spytał.
- Właściwie nie, ale z czasem pojawia się niedowład i trzeba operować.
- Taki zabieg miała Stella Petrenko?

– Tak, wycięto jej wszystkie chore tkanki, te stwardniałe włókna, o których panu mówiłam.

– W obydwu dłoniach.

Pielęgniarka zastanowiła się.

– Nie, tylko w prawej. Na szczęście Stella była leworęczna.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie.

– Więc trzymałaby konewkę z wodą w zdrowej ręce?

– Tak... Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli pójde zapalić?

Wyszli oboje z kawiarni i stanęli pod małym zadaszaniem przeznaczonym dla palaczy. Place de la Contrescarpe lśnił w deszczu. Taillefer od miesięcy nie był w Dzielnicy Łacińskiej. Pamiętał ten plac wiosną, kiedy panowała tu sielska atmosfera. Dziś, dwudziestego ósmego grudnia, miejsce było smutne i ogołoczone. Ratusz wyciął dwa z czterech wysokich drzew otaczających fontannę, a żeby wypełnić pustkę, w ich miejsce postawiono stożek z recyklingowanego drewna. Miała to być ekologiczna alternatywa dla tradycyjnej bożonarodzeniowej choinki. Nędzna girlanda przyklejona na szybko do desek ze sklejki świeciła obrzydliwym białym blaskiem.

– Zawsze się zastanawiam, jak to się dzieje, że ludzie pozwalają tak oszpecać miasto – rzuciła Nora.

Taillefer był tego samego zdania, ale nie podtrzymał tematu, bo nie chciał się rozpraszać.

– A więc pani zajmowała się Stellą Petrenko po operacji?

– Tak, ale to nie było zbyt skomplikowane. Dłoń była przez dwa tygodnie unieruchomiona, a potem trzeba było regularnie zmieniać opatrunek.

– Codziennie?

– Tak, żeby uniknąć infekcji.

– Więc widywała ją pani codziennie przez jakiś miesiąc.

– Tak... – Nora zaciągnęła się głęboko papierosem i powoli wypuściła dym.

– O czym rozmawiałyście?

– O niczym szczególnym... Taki opatrunek zmienia się dość szybko. Zwykle byłam u niej nie dłużej niż dziesięć minut.

– Jakie wrażenie zrobiła na pani Stella?

– Moja córka chodzi na balet, więc siłą rzeczy Stella bardzo mnie ciekawiła. Dała mi dla córki jedną ze swoich toreb do tańca. To było bardzo miłe.

– W łazience znalazłem leki na depresję. Czy miała jakieś problemy?

– Kto ich nie ma? – odparła z uśmiechem Nora Messaoud.

– Wie pani, o co mi chodzi... – Taillefer zmarszczył brwi.

– No cóż, mam wrażenie, że nie była w formie. Źle znosiła starzenie się i to, że przestała być wielką gwiazdą.

– Miała kochanków?

– Moim zdaniem pieprzyła wszystko, co się rusza.

– Rozmawiała z panią o tym?

– Raczej nie, tak sobie powiedziałam – rzuciła, spoglądając na zegarek. – No dobrze, wracam do roboty, jeśli to wszystko, panie kapitanie. Dzięki za aperitif.

Wyrzuciła niedopałek do rynsztoka i pobiegła do pracy, machając mu na pożegnanie.

4

Taillefer wrócił do środka, zostawił na ladzie banknot i wyszedł, nie czekając na resztę. W deszczu dotarł na postój taksówek na place Monge, wsiadł, podał adres i poprosił kierowcę o wyłączenie radia, które ryczało w kabinie.

Znów deszcz i zmrok. Taillefer skulił się na myśl o kolejnym samotnym wieczorze. Patrzył niewidzącymi oczami na widmowy pejzaż mijanych ulic, kiedy zadzwoniła jego komórka.

Louise Collange na FaceTimie.

Niechętnie odebrał. Na ekranie drżący, niewyraźny obraz dziewczyny siedzącej w barze Numéro 6.

– Pana koleżanki nie ma. Zostanę jeszcze chwilę i spadam, dobrze?

Mathias milczał. Obraz na ekranie przywoływał bolesne wspomnienia. Doskonale pamiętał to wnętrze: podłoga z terakoty, ściany z czerwonej cegły, odsłonięte belki stropowe. Przytulnie, miło. Świetne domowe pierogi.

Louise opowiedziała mu o mało interesującej wizycie w galerii Benedicka, a on zdał jej relację ze spotkania z pielęgniarką. Najwyraźniej znaleźli się w impasie.

– Mówiłem ci, twoja mama... – zaczął.

– Ach, do cholery z panem! – rzuciła i przerwała połączenie.

Taillefer westchnął. Bruk na skwerze Montsouris. Dom. Tytus. Kochany pies. Taillefer otworzył drzwi i nawet nie zapalił światła. W ciemnościach zrzucił buty i mechanicznymi, powtarzanymi co dzień gestami nakarmił zwierzaka. Wrócił do salonu. Po omacku wyszukał butelkę karuizawy i opadł na kanapę. Pierwszy długi łyk. To, że jego organizm nie znosił alkoholu, prawdopodobnie uratowało go od nałogu. Zanim poczuł działanie whisky, padł.

Chaos.

Zamknął oczy. Natłok myśli związany z wydarzeniami minionego dnia. Aureola bladego światła wokół twarzy Louise Collange... Spojrzenie żywego trupa na obrazie Marca Sabatiniego. Wykrzywiona twarz dozorczyńni i jej bezładny słowotok na temat teorii spiskowej... Dziwna rozmowa, którą odbył w wesołym miasteczku na place de la Concorde. Lena, która nie zjawiała się w Numéro 6. Drapieżne paznokcie Nory Messaoud.

Odpływał w koszmar. Długie palce pielęgniarki rozrywały mu gardło. Wykrwawiał się, ale nie cierpiał. Leżał na jakimś polu bitwy, między dwoma liniami okopów. Widział, jak kruki kreślą na niebie okręgi. Pielęgniarka siedziała na nim i teraz rozszarpywała mu brzuch. Przyjrząwszy się jej dokładniej, zobaczył, że to nie była Nora, tylko Myriam Morlino, dozorczyńni z rue de Bellechasse.

– Niech pan uważa na grafen! Oni chcą zawładnąć pana mózgiem!

Był cały we krwi, głowa mu pękała, miał wrażenie, że ktoś wbija mu do ucha szydełko. Morlino złapała go za włosy i zaczęła szarpać.

– Dzwoni twój telefon, głupku! To TO COŚ! – wrzasnęła.

Obudził się zlany potem. Kurwa! Serce mu waliło. Tytus skoczył na niego i obślinił mu nos i usta. Taillefer wytarł twarz rękawem. Odebrał. To nie było żadne COŚ, dzwoniła Nora Messaoud.

– Panie kapitanie, wszystko w porządku? Taka zadyszka... czy przerwałam panu ćwiczenia? Albo coś innego?

– Ani jedno, ani drugie. Niech pani sobie wyobrazi, miałem straszny sen.

– Już w łóżku? Dopiero dziewiąta! Widzę, że w pana życiu króluje dyscyplina.

Podrapał po łbie Tytusa i wstał.

– Dzwonię, bo coś sobie przypominałam. Nie sądzę, żeby to było bardzo ważne, ale...

Taillefer nadstawił ucha.

– Mówiłam panu, że widywałam Stellę Petrenko codziennie przez cały miesiąc. Ale niezupełnie tak było. Pod koniec sierpnia, jakieś dziesięć dni przed jej śmiercią, wyjechałam na tydzień na wakacje i wtedy jak zwykle firma zatrudniła kogoś na zastępstwo. Takich osób szuka się na platformie dla pracowników służby zdrowia.

Taillefer podrapał się w głowę; nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– To znaczy, że wtedy jakaś inna pielęgniarka przychodziła zmienić Stelli opatrunki, tak?

– Tak, od dwudziestego piątego sierpnia do pierwszego września.

– Mogłaby pani odnaleźć jej nazwisko?

– Już to zrobiłam, proszę sobie wyobrazić.

Taillefer chwycił za pióro.

– Ta pielęgniarka nazywa się Charvet. Angélique Charvet – powiedziała Nora i zamilkła. Po chwili dodała: – Skończyłam pracę na dziś. Nie zaprosiłby mnie pan na sushi? Znam sympatyczny *kaiten* w ósmej dzielnicy...

II

ANGÉLIQUE CHARVET

5

Z drugiej strony lustra

Kiedy śnieg topnieje, co dzieje się z bielą?

William Shakespeare

Cztery miesiące wcześniej

Przedmieścia Paryża

28 sierpnia

1

Nazywam się Angélique Charvet.

Mam trzydzieści cztery lata.

Siedzę w toalecie u siebie w domu.

Z testem ciążowym w dłoni.

Wynik pozytywny.

2

Dwie kreski na plastikowym pasku jakby ze mnie szydziły. A przecież to przeczuwałam: okres mi się spóźnił, bolały mnie piersi, miałam ataki mdłości. Wstaję, wrzucam pasek do umywalki i wchodzę pod prysznic.

Stoję nieruchomo pod strumieniem gorącej wody, w myślach cofam się w czasie, żeby zidentyfikować „ojca”. Odliczam tygodnie, dni... aż wpadam na Corentina Lelièvre’a. Beznadziejna randka z Tindera z początku sierpnia, starałam się od razu o niej zapomnieć. Freelancer z branży medialnej, który sam siebie nazywał dziennikarzem zaangażowanym, działającym na pograniczu aktywizmu i prasy. Okrągła głowa jak u Gastona z komiksu, kozia bródka i łysina, której się wstydził i którą zakrywał czapką z daszkiem. Nie muszę dodawać, że w niczym nie przypominał osoby ze zdjęcia zamieszczonego na profilu.

Zabrał mnie do baru Enfants Terribles na quai de Jemmapes. Pamiętam, że miał T-shirt z żalonym ekologicznym sloganem *Potrzebujemy happy planety*. Wyrażał zdecydowane opinie na każdy temat. Bez przerwy gadał, zapatrzony w siebie; po kwadransie przestałam go słuchać, za to piłam jeden lemon drop za drugim. Musiałam bardzo odlecieć, w przeciwnym wypadku nigdy by mnie nie zaciągnął do siebie, na rue Eugène-Varlin. W łóżku okazał się tak samo żalony. Nie wiem, jakim cudem pękła mu prezerwatywa. Bo raczej nie od rozmiaru jego penisa...

Wychodzę spod prysznic i szybko się ubieram; nie mogę myśleć o tym głupku, muszę się skupić na zorganizowaniu tego, co trzeba, jak ostatnim razem. Zabieg w gabinecie położnej Sophie Charbonnier, przy rue Cherche-Midi. Sophie była ze mną na pierwszym roku medycyny w Bordeaux. Jest okropnie zarozumiała, ale przynajmniej oszczędzi mi moralizatorskich gadek. Tabletki mifepristonu, żeby przerwać ciążę, i trzydzieści sześć godzin później mizoprostol. Niełatwy czas, ale za tydzień wszystko będzie za mną.

W ulewnym deszczu opuszczam stary dom z gruboziarnistego piaskowca, w którym mieszkam, odkąd przyjechałam do Paryża osiem lat temu. Jest dwudziesty ósmy sierpnia. W całej Francji lato, ale nie tu, w tej cholernej Île-de-France. Place du Général-Leclerc, boulevard de Strasbourg i droga Bondy aż do dworca. Co jest gorsze od Seine-Saint-Denis? Seine-Saint-Denis w deszczu.

Zwykle zamieszanie na peronie kolei regionalnych. Pociąg dosłownie się poci. W wagonach panuje tropikalna wilgoć, przez co przejazd do Paryża to prawdziwa tortura. Rzut oka na Instagram. Koleżanki są na Korsyce, w Saint-Tropez, w Toskanii, w pięknych hotelach nad Adriatykiem. Na mojej osi czasu króluje klimat południa: morze, okulary przeciwsłoneczne, ciepły piasek, drinki, różowe dmuchane koła w basenach, #summer #goodvibes #sun #love #holidays #naturelover #hotsummernight #summerbliss #protectyourskin #beachbabe #bikiniseason. Entuzjastycznym hasztagom na ekranie odpowiadają nazwy stacji, które widzę z okna: Drancy, La Courneuve, Gare-du-Nord, Châtelet-les-Halles. Mam przesiadkę na Saint-Michel-Notre-Dame.

Moja docelowa stacja, Musée-d'Orsay, to wyzwolenie. Wreszcie trochę świeżego powietrza! Sekwana, mewy, dwa zegary, średniowieczne łuki pont Royal. Paryż – już wewnątrz miasta – to zupełnie inny świat. Nawet pogoda jest tu ładniejsza. Deszcz minął, pomiędzy chmur przebija błękitne niebo. Idąc dzielnicą Saint-Thomas-d'Aquin, oddycham. Nie jestem już z przedmieść, jestem paryżanką. Burza odświeżyła miasto. Budynki przy rue de Bellechasse błyszczą jak nowe!

No, odwagi!

Całodzienna praca wydaje mi się mniej uciążliwa, jeśli ma miejsce w pięknych dzielnicach. Tym bardziej że dzisiaj zaczynam od mojej ulubionej pacjentki.

Dzwonię domofonem i wjeżdżam windą na piąte piętro.

– Dzień dobry, Angélique! Jak się pani dzisiaj czuje? – słyszę od progu.

To moja czwarta wizyta u Stelli Petrenko, każda jest przyjemnością. Mamy swoje zwyczaje. Zmieniam jej opatrunek, ona częstuje mnie cytrynową herbatą i ucinamy sobie pogawędkę, siedząc przy wielkim srebrnym samowarze. Wszystko

w tym mieszkaniu mi się podoba: to, jak jest urządzone, widok na dachy Paryża, stary woskowany parkiet. Moja primabalerina jest gadatliwa, bystra, ma poczucie humoru. Poleca mi książki, filmy, opowiada ekscytujące anegdoty z czasów swojej kariery. Mam wrażenie, że przez chwilę jestem na swoim miejscu. Mówię sobie, że ja też mogłabym należeć do tego środowiska ludzi o szerokich horyzontach, oderwać się od przygnębiającej codzienności. Opuścić na zawsze smutne przedmieścia bez perspektyw.

Zawsze starałam się mierzyć wyżej: dzięki studiom, znajomościom, romansom. Potrafię być jak kameleon. Przez długi czas święcie wierzyłam, że uda mi się pokonać niewidzialny mur, który oddziela mnie od lepszego świata. Ale z biegiem lat spotykały mnie tylko kolejne rozczarowania i ta pewność gdzieś się ulotniła. Za to poznałam swoje mocne i słabe strony. Wiem, że mieszkają we mnie dwie siły. Walka anioła z diabłem. W dobre dni trzymam demona na uwięzi i na chwilę znikają niepokój, frustracja i złość, panuję nad chaosem, który mam w głowie. Wtedy wszyscy uważają, że jestem urocza, rozsądna, ujmująca. Z pewnością w tej chwili tak o mnie myśli Stella Petrenko.

– Słyszała pani? – pyta nagle, odstawiając filiżankę z herbatą.

Nad nami działo się coś niepokojącego, jakby ktoś przewrócił kredens z talerzami. I cisza.

– To u Marca – mówi Stella. – Dziwne, u niego zawsze jest cicho.

– Może powinniśmy pójść zobaczyć.

Stella kiwa głową. Wychodzę na klatkę. Winda wyżej nie jedzie, więc wchodzimy na szóste piętro po schodach.

– Kto to jest Marco? – pytam.

– Marco Sabatini to taki młody malarz... Trochę dziwny. Włoch. Ale bardzo miły. Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie po aspirynę. Strasznie kaszlał i mizernie wyglądał. zaproponowałam, żeby wezwać lekarza, ale nie chciał.

Pukam kilka razy do drzwi.

– Panie Sabatini?

Cisza.

– Jest pan tam, panie Sabatini?

Próbuję otworzyć drzwi, ale są zamknięte.

– Dozorczyńni ma zapasowy klucz?

Stella kiwa głową.

– Z pewnością, ale jej nie ma, jest na wakacjach.

Rozglądam się dokoła.

– A co to jest?

– Stare schody dla służby.

Popycham metalowe drzwi i odkrywam wąską klatkę schodową wyposażoną w drabinkę prowadzącą na dach. Mimo różnych wad mam też zalety: jestem pomysłowa i umiem zachować spokój w trudnych sytuacjach. Wchodzę na drabinkę, otwieram okno i wdrapuję się na dach.

– Niech pani uważa, to niebezpieczne! – krzyczy Stella.

Jej głos dociera do mnie zniekształcony przez echo i wiatr. Kucam. Mam wrażenie, że przeniosłam się do innego świata. Widok zapiera dech w piersiach. Można dostać zawrotów głowy od tego oceanu szarych dachówek i blachy. Unoszę się powoli, żeby nie stracić równowagi. Tak mocno wieje, że potrzebuję dłuższej chwili, żeby się zorientować, w którym miejscu dachu przykucnęłam. Oślepiają mnie refleksy światła w szybach, osłaniam dłonią oczy i wtedy rozpoznaję okna mieszkania Sabatiniego. Przesuwam się powoli wzdłuż rynny, przez gwałtowny powiew wiatru prawie tracę równowagę. Cała drzę, sytuacja jest bardzo ekscytująca, wybucham śmiechem na złość strachowi. Uwielbiam te nadzwyczajne momenty, dzięki którym dni stają się wyjątkowe. Jedno z okien jest szeroko uchylone. Jeszcze dwa, trzy metry i wślizguję się do środka, cała i zdrowa.

Ześlizgując się na podłogę, wzdycham z ulgą. Co za dziwne miejsce! Ktoś wpadł na świetny pomysł połączenia wszystkich służbówek i powstała wielka pracownia, co najmniej sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych poddasza. Okna dachowe wpuszczają dużo światła.

Mimo że są uchylone, czuję silny zapach terpentyny. Rozglądam się dookoła i dostrzegam Marca Sabatiniego. Leży na podłodze między dwiema sztalugami. Wokół słoiczki z farbami, potłuczone szkło i blat stolika, który pewnie przewrócił, upadając.

Wyjmuję z kieszeni maseczkę chirurgiczną, którą zdjęłam, wchodząc na dach.

– Panie Sabatini, słyszy mnie pan? Jak się pan czuje? – pytam, klękając obok niego.

Marco Sabatini ma około trzydziestu lat. Półdługie spocone włosy oblepiają mu twarz, ma kilkuniedniowy zarost. Twarz anioła, który wstrzyknął sobie dawkę heroiny.

Nachylam się i przykładam mu dłoń do czoła. Gorące. Słyszę, że coś mówi, ale bardzo niewyraźnie, dusi się.

– Jestem pielęgniarką. Proszę się nie martwić, zajmę się panem.

Wstaję i otwieram drzwi kluczem.

– Pani sąsiad miał wypadek, może mi pani przynieść torbę, którą zostawiłam w mieszkaniu?

– Oczywiście – mówi Stella.

Wracam do mojego pacjenta. Ma na sobie poplamioną farbą białą lnianą koszulę. Podciągnięte rękawy ukazują kilka tatuaży: pięcioramienną gwiazdę Czerwonych Brygad, gołąbka pokoju, napis *Wish You Were Here*, podniesioną pięść, zakrwawiony nóż, antykapitalistyczny francuski cytat *Raj bogatych zbudowany jest z piekła biednych*.

– Szczepił się pan na covid, panie Sabatini? – pytam.

Wystawiony środkowy palec informuje mnie, że nie.

Sabatini leży zwinięty w kłębek. Lewą rękę przyciska do piersi. Spodnie od piżamy ma poplamione fekaliami. Po chwili zanosi się kaszlem, prawie się dusi.

Stella przynosi mi torbę, ale zabraniam jej wejść do środka.

– Może zarażać – mówię.

Wsuwam mu na palec pulsoksymetr. Tak jak się obawiałam, poziom tlenu we krwi poniżej dziewięćdziesięciu procent, Sabatini wymaga natychmiastowej hospitalizacji.

Dzwonię na pogotowie i wyjaśniam sprawę. Facetowi po drugiej stronie zajmuje wieki wpisanie wszystkiego do komputera. Klasyczny problem podczas dwu wakacyjnych miesięcy. Mówię, że jestem pielęgniarką i że pacjent ma niewydolność oddechową. Idiota traktuje mnie z góry, więc żądam kontaktu z lekarzem. Ten podziela moją diagnozę – prawdopodobnie covid, stan krytyczny – i wysyła karetkę.

Dziesięć minut później na szóstym piętrze zjawia się cały zespół: lekarz, pielęgniarz i ratownik. Rękawiczki, białe fartuchy, okulary ochronne, napięta atmosfera; zaczyna się ratowanie Sabatiniego. Chcę pomóc, ale trzech faceci są dobrze zorganizowani. W końcu biorą go na noszach do karetki.

Zostaję sama w pustej pracowni. Stoją tu na sztalugach trzy obrazy. Dziwne, na każdym ta sama twarz z oczami koloru rtęci, tylko tło jest inne. Sabatini malował samego siebie. Włoski renesansowy książę. Wawrzyniec Wspaniały, Medyceusz z wyłupionymi oczami.

Pracownia fascynuje mnie i zarazem przeraża. Wychodzę, zamykam drzwi na klucz, który zamierzam zwrócić dozorczyńni, ale kiedy już jestem na dole, widzę, że brelok nie mieści się w otworze jej skrzynki na listy.

– Angélique, jesteś tu potrzebna! – słyszę za plecami.

Odwracam się. Pielęgniarz stoi na chodniku i mnie woła. Dziwnie wygląda: ogolony na łyso, jedno oko szklane, zapadnięte, brwi albinosa.

– Jeszcze tu jesteście? – pytam, widząc, że karetka zajmuje podwójne miejsce i trochę blokuje ruch. – W jakim on jest stanie?

– Nie najlepszym. Zaintubowaliśmy go, wentylujemy.

Brodą wskazuje lekarza z komórką przy uchu, stojącego trochę dalej na chodniku.

– Doktor stara się znaleźć mu miejsce na intensywnej terapii, ale jest problem. W wakacje zawsze tak to wygląda.

– Nie jestem zaskoczona.

– Nazywam się Esteban.

Kiwam głową. Zauważyłam go już na samym początku z powodu tego dziwnego wyglądu. Nie wydaje się zbyt rozgarnięty, ale ma w sobie coś sympatycznego. W ręce trzyma tablet, na którym trzeba odnotować przebieg interwencji.

– Doktor poprosił mnie o wypełnienie tego formularza, ale potrzebuję dodatkowych informacji. Wiesz, jak nazywa się pacjent?

– Marco Sabatini.

– Jak to się pisze?

– Zajrzyj na stronę zgłoszenia, samo się zsynchronizuje.

– Mogłabyś mi pomóc?

Rzucam wzrokiem na ekran i pomagam mu wypełnić formularz. Jeden z punktów to prośba o podanie nazwiska osoby, którą należy uprzedzić „w razie czego”. Bez zastanowienia wpisuję swoje dane: Angélique Charvet, przyjaciółka.

6

Jestem szalona

Wolę szaleństwo pasji od rozsądku obojętności. Ponieważ jednak moja pasja nie jest z tych, co wybuchają, niszczą i zabijają, większość ludzi jej nie widzi.

Anatole France

1

Ósma wieczorem

Właśnie wyszłam od ostatniego pacjenta. Rue d'Assas, upierdliwy starszy facet, zastrzyk przeciwzakrzepowy. Zanim się obejrzałam, minął cały dzień. Zamiotłam pod dywan negatywne myśli. Zapomniałam o ciąży, czekającym mnie zabiegu, o tym kretyńce Corentinie Lelièvre. Jest piękna pogoda. Różowe, pełne obietnic niebo. Nie mam najmniejszej ochoty wsiadać do tego obrzydliwego pociągu i wracać do Aulnay. Postanawiam cieszyć się jeszcze kilkoma godzinami w Paryżu i idę boulevard Raspail z rękami w kieszeniach płaszcza. Spostrzegam, że cały czas mam klucze do pracowni Marca Sabatiniego.

Ponieważ rue de Bellechasse jest bardzo blisko, wracam, żeby oddać je Stelli Petrenko. Wprowadzam kod, wchodzę do budynku, wjeżdżam na piąte piętro, podnoszę rękę do dzwonka... Chociaż... nachodzi mnie nieodparta chęć zajrzenia jeszcze raz do pracowni. Skradam się po schodach. Wkładam klucz do zamka i staję oko w oko z trzema portretami Marca Sabatiniego.

– Cześć, chłopaki! Czuwacie nad zmarłym czy co?

Trzy pary srebrzystych oczu patrzą na mnie ślepo. Deski skrzypią mi pod stopami. Czuję zapach terpentyny, jak kiedyś w zakładzie stolarskim dziadka...

Podnoszę zasłony, żeby wpuścić trochę światła. Ogromna przestrzeń i widoczne belki na suficie robią wrażenie. Miejsce jest przestronne, ale surowe, wszystko zostało podporządkowane pracy twórczej. Zamiast mebli stoją sztalugi i kozły. Parkiet upstrzony jest kolorowymi plamkami. Wszędzie widzę słoiczki z farbami, duże i małe pędzle, walające się palety, ścierki, szkicowniki.

Szperam. Otwieram lodówkę, szuflady, szafy, jakbym była u siebie. Jestem głodna – zjadam kilka herbatników, jabłko, stary jogurt. W łazience natykam się na zapas narkotyków, które musiał zauważyć lekarz z pogotowia. Najwyraźniej Sabatini nie był nowicjuszem w tej dziedzinie, bo jest tu wszystko: koka, ecstasy, plastikowe saszetki ze spice'em. Patrzą na to z odrazą. Zawsze trzymałam się z daleka od dragów. Chimery żyjące w mojej głowie nie potrzebują wspomagaczy, żeby zrobić w niej burdel. Za to bez wahania wypijam dwa łyki miodowej wódki, którą znajduję w zamrażalniku.

Pod jakimś meblem zauważam komórkę Sabatiniego, która musiała tam wpaść, gdy się przewrócił. Pewnie zanim stracił przytomność, próbował wezwać pogotowie. Dzwonek. Pochodzący nie z komórki Sabatiniego, tylko z mojej.

– Angélique Charvet?

– Przy telefonie.

– Oddział intensywnej terapii szpitala Pompidou. Dzwonię w sprawie pani przyjaciela, Marca Sabatiniego.

– Słucham?

Przez chwilę nic nie rozumiem, ale zaraz do mnie dociera, że informacje z pogotowia przekazano szpitalowi i pielęgniarka myśli, że jestem dziewczyną chorego. Dziewczyną, a nie zwykłą przyjaciółką.

Wiadomości nie są dobre. Tak jak przewidywałam, infekcja zaatakowała płuca i trzeba było wprowadzić pacjenta w śpiączkę farmakologiczną. Dowiaduję się, że

szpital szuka informacji o historii chorób i leczeniu Włocha. Pielęgniarka pyta, czy prowadzi go jakiś lekarz albo klinika. Obiecuję, że się dowiem.

2

Z butelką miodowej wódki wychodzę na balkon. Opadam na wiklinowy zniszczony bujak; pewnie malarz wystawił go tutaj, żeby się opalać. Pastelowe niebo staje się powoli bursztynowe, przypomina kolorem mój trunek.

Komórka spod szafki to bardzo stary model iPhone'a. Ma potłuczony ekran, kawałki szkła ledwo się trzymają i mogę się w każdej chwili pokaleczyć, ale telefon działa bez hasła. Sabatini najwyraźniej nie jest uzależniony od wirtualnego świata. Na pierwszy rzut oka nie ma tu nic ciekawego. Dzwonił głównie do dilerów i do matki, niejakiej Bianki.

Esemsy były wysyłane seriami w chwilach kryzysu, gdy Marca ogarniał strach i nawiedzały koszmary. Wydawało mu się, że chodzi za nim, jak to kilkakrotnie nazwał, armia umarłych. Potem następowały długie przerwy, widocznie się uspokajał. Czasem nawet na kilka miesięcy. Z tego, co przeczytałam, nie rozmawiał z matką od Bożego Narodzenia. Gdy cofam się do starszych wiadomości, widzę, że Włoch wmówił jej, że rozwiązał problem z narkotykami i już niczego nie tyka, a ona była na tyle naiwna, że mu uwierzyła.

Albo, co bardziej prawdopodobne, wołała tego nie widzieć.

Z rozmów wynika, że nieczęsto się widują. Bianca Sabatini krąży między Turynem a Wenecją, dużo podróżuje – czasem do Stanów, czasem do Azji czy różnych europejskich stolic. W wiadomościach często powraca nazwa firmy *AcquaAlta*. Znam tę markę ubrań dzięki Instagramowi, widziałam ich sklep na avenue Montaigne. Luksusowy butik z kaszmirowymi swetrami, które potrafią kosztować dwie moje pensje.

Sięgam po komórkę – muszę dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Sabatinich. Googluję: *rodzina Sabatini* i *AcquaAlta*. Rezultat wyszukiwania jest

interesujący i wiele wyjaśnia: Marco Sabatini jest synem znanych rodziców, to wpływowa włoska rodzina. Powoli przez kolejne linki poznaję historię ich przedsiębiorstwa.

Sabatini pochodzą z Piemontu. Od połowy XIX wieku zajmują się handlem tkaninami i wełną. Założona zaraz po pierwszej wojnie firma AcquaAlta zbudowała na północy Włoch wiele przędzalni, które rozkwitły w szalonych latach dwudziestych, dostarczając doskonałych gatunkowo tkanin ówczesnym wielkim domom mody: Paulowi Poiretowi, Jeanne Lanvin, Madeleine Vionnet, Gabrielle Chanel.

Podczas wielkiego trzydziestolecia, powojennego boomu ekonomicznego we Francji, przedsiębiorstwo wkracza na rynki międzynarodowe, dużo eksportuje do Azji i Stanów Zjednoczonych. Skok rozwojowy następuje w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Wówczas na czele firmy staje Lisandro Sabatini, ojciec Marca, którego wszyscy nazywają Ingegnere. Lisandro Sabatini kontynuuje unowocześnianie firmy, rozwijając produkcję delikatnej wełny pochodzącej z hodowli *chilhueque*, bardzo rzadkiego gatunku lamy, występującego tylko w górach chilijskich. Po upadku Pinocheta AcquaAlta w porozumieniu z kolejnymi rządami Chile mnoży inwestycje w celu rozszerzenia hodowli zagrożonego wówczas wyginięciem zwierzęcia.

Wielkie luksusowe marki zaczynają wrywać sobie tę wełnę, droższą i delikatniejszą od kaszmiru i uważaną za jedną z najprzyjemniejszych w noszeniu. Ostatni etap ekspansji: AcquaAlta rozwija własną linię prêt-à-porter, której dystrybucja odbywa się dzięki sieci luksusowych sklepów. Jest to niezwykle osiągnięcie ekonomiczne i wiele międzynarodowych firm zaczyna ostrzyć sobie zęby na AquaAltę. Ostatnio ten klejnot, czasem nazywany „włoskim Hermèsem”, chcieli pozyskać LVMH, Kering i Richemont, jednak rodzina Sabatinich odpiera ataki luksusowych koncernów. W swoich rzadkich wystąpieniach publicznych Ingegnere powtarza, że AcquaAlta będzie zawsze firmą rodzinną i nigdy nie znajdzie się w „bezdusznej sakiewce globalnych sieci”.

Po wykładzie z ekonomii czas na wieści ze świata celebrytów. Na początku lat dwutysięcznych w pismach „Oggi” i „Gente” (włoskie odpowiedniki „Paris Match”) publikowano dużo ilustrowanych reportaży o rodzinie Sabatinich. Marco i jego siostra bliźniaczka Livia mieli wówczas około dziesięciu lat. Sabatini wyglądali na szczęśliwą rodzinę. Wycieczki luksusowymi jachtami po jeziorze Como, narty w Cortinie d’Ampezzo, wakacje w posiadłości na Lazurowym Wybrzeżu. Ale Livia zmarła, mając dziewiętnaście lat, podczas pieszej wycieczki w Dolomity. Od tego czasu Marco zaczął zachowywać się niestabilnie: heroina, antykapitalistyczny bunt i wszelkiego rodzaju wybryki. Dobrze podsumował to artykuł z 2015 roku w „Corriere della Sera”:

Marco Sabatini, *enfant terrible* imperium AcquaAlta, hospitalizowany po przedawkowaniu

Marco Sabatini, syn Lisandra Sabatiniego, głównego akcjonariusza grupy AcquaAlta, został znaleziony nieprzytomny w squalu w dzielnicy Quarto Oggiaro w Mediolanie. Pogotowie wezwał towarzysz narkotykowego tripu, oznajmiając, że syn Ingegnere zażył pięciogramową dawkę kokainy, a przedtem wstrzyknął sobie heroinę. Marco Sabatini został odwieziony do szpitala Niguarda. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Dwudziestopięcioletni absolwent Akademii Sztuk Pięknych Brera po śmierci siostry Livii jest jedynym spadkobiercą dynastii Sabatinich. Często powtarza, że nie życzy sobie odgrywać żadnej roli w rodzinnym przedsiębiorstwie. Podczas studiów prowadził stronę internetową poświęconą ruchom antyliberalnym i ekologicznym. Oto co pisał: *Kapitalizm, źródło wszelkiego społecznego zła, to koniec ludzkości. Z czasem ulegnie autodestrukcji, ale my nie chcemy czekać. Dlatego należy zniszczyć burżuazję już teraz! Jedyną do tego drogą jest krwawa rewolucja.*

Podnoszę głowę znad telefonu. Nie wiadomo kiedy zapadła noc. W pomieszczeniu jest ciemno, poza niebieską poświatą docierającą tu z ulicy.

W którymś z okien naprzeciwko widzę nastolatka w słuchawkach, wpatzonego w wielki ekran. Z oddali dochodzą do mnie przytłumione hałasy wyludnionego Paryża, podczas sierpniowych wakacji miasto na kilka tygodni staje się prowincją. Czuję lekki powiew wiatru. Widzę, że wypiliśmy całą wódkę. Oszołomiona przymykam oczy. Dziwne uczucie. Kręci mi się w głowie, a jednocześnie mam wrażenie, że jestem w pełni świadoma.

Od zawsze uspokaja mnie noc. W nocy frustracja znika, zaczynam myśleć jasno i konstruktywnie, nawet jeśli gdzieś czai się cierpienie, lęk, że minę się ze swoim życiem, że będę w nim kimś obcym, słuchaczką, która nie potrafi napisać własnej partytury. Że będę jak ten pociąg donikąd, stojący na bocznicy. Że wciąż będzie męczyć mnie myśl, że zasługuję na coś lepszego, że w boskim rozdaniu trafiły mi się złe karty.

W jaki sposób innym wszystko się udaje, pyta piosenka. Nie umiem wejść w tryby maszyny losu. Jestem wciąż obok, idę w kółko tą samą grząską ścieżką. Czuję, że błędzę. Sama nie wiem, kim jestem. W każdym razie nie jestem tą, której szukam.

Trochę szalona.

Wciąż wraca do mnie to zdanie.

Jesteś trochę szalona, Angélique.

Tak mówi moja mama. Tak mówią ci, którzy przez chwilę byli moimi przyjaciółmi. Tak mówią faceci, którzy przewijali się w moim życiu.

Jesteś trochę szalona, dziewczyno.

Tak, jestem trochę szalona, bo nienawidzę przeciętności, która mnie otacza i w której grzęznę. Trochę szalona, bo myślę, że po drugiej stronie lustra istnieje lepsze życie. Trochę szalona, bo nie daję się nabrać na to, że sensem egzystencji są drobne przyjemności. Trochę szalona, bo chcę uciec i wierzę, że mi się uda. Trochę szalona, bo zawsze wolałam szaleństwo pasji od rozsądku obojętności. Trochę szalona, bo pragnę czegoś więcej niż tanich facetów, którzy flirtują z tobą bez

entuzjazmu na ekranie telefonu, między graniem online i waleniem konia do Pornhuba.

4

Otwieram oczy. Mam pomysł, właśnie z tych trochę szalonych. Włączam komórkę Marca i wybieram numer... jego matki. Dość długo czekam na połączenie. Waham się, czy się nie rozłączyć... Rozpoznaję charakterystyczny sygnał dla Stanów, a potem...

– Marco, *mi amore, va bene?*

– Dzień dobry, pani Sabatini, pozwalam sobie dzwonić do pani z komórki syna, ale...

– Kto mówi? – Pani Sabatini przechodzi na francuski.

– Nazywam się Angélique Charvet, chciałam panią uprzedzić, że Marco ma problemy ze zdrowiem.

– *O Dio mio!* To coś poważnego? Gdzie on jest?

– W szpitalu Georges-Pompidou.

Nie spiesząc się, wyjaśniam sytuację. Po drugiej stronie łącza wyczuwam rozpacz, ale również determinację, by nie poddać się emocjom i podejmować słuszne decyzje.

– Jestem w Nowym Jorku – mówi pani Sabatini. – Tu jest trzecia po południu. Postaram się wylecieć do Paryża jeszcze dziś wieczorem. Dziękuję, że mnie pani uprzedziła.

– To dla mnie oczywiste.

– Ma pani numer szpitala?

Podaję jej numer i proponuję:

– Czy chciałaby pani, żebym poczekała na lotnisku?

– Ale... Dlaczego?

– Mogłybyśmy od razu pojechać do Marca.

Milczę dłuższą chwilę, po czym mówię:

– Tak jak myślałam... Marco nigdy pani o mnie nie mówił, prawda?

– No... raczej nie.

– Jestem jego dziewczyną.

7

Zająć jej miejsce

Między odpowiedzialnością i jej brakiem znajduje się niesprecyzowany obszar, strefa cienia, w którą lepiej się nie zapuszczać.

Georges Simenon

1

Sześć dni później

4 września 2021

Avenue Montaigne

Koniec lata. Patio hotelu Plaza Athénée, serce tego luksusowego miejsca, było prawdziwą oazą spokoju i chłodu, z dala od zgiełku. Po fasadzie pięły się bluszcz i dzikie wino. Na balkonach kwitło mnóstwo pelargonii, których kolor podkreślała jeszcze czerwień rozłożonych parasoli.

To przedsmak tego prawdziwego życia, które sobie wyobrażałam. Tak, po drugiej stronie lustra świat był barwniejszy, mocniejszy, intensywniejszy, a ja w końcu grałam w tym filmie główną rolę. Dekoracje nie były z tektury, a aktorzy, którzy dawali mi wskazówki, skończyli Juilliard School, a nie beznadziejny kurs aktorski w jakiejś dziurze pod Paryżem.

Od przyjazdu Bianki Sabatini codziennie jemy wspólnie lekki lunch na tarasie tej restauracji. Jej mąż, Ingegnere, został w Mediolanie, zajęty firmą. Starał się

przenieść syna do Szpitala Amerykańskiego w Neuilly, ale upewniwszy się, że Pompidou ma doskonałe opinie, zrezygnował.

Bianca mnie uwielbiała. Umiałam ją pocieszyć, nie wątpiła w moją miłość do jej bambina. A poza tym zmyśliłam specjalnie dla niej piękną historię.

Spotkałam Marca dwa lata wcześniej na quai Voltaire. Wychodził od Senneliera, gdzie kupił farby, a ja od pacjenta, któremu pobrałam krew do analizy. Wpadliśmy na siebie niechcący i od razu poczuliśmy do siebie sympatię. Marco postanowił pokazać mi swoją pracownię, a potem zaprosił mnie na kolację do Septime'a. Niestety, był to okres, w którym wrócił do narkotyków, ale ponieważ miłość czyni cuda, pomogłam mu z tego wyjść i zamieszkaliśmy razem. Zachęcałam go do ukończenia serii obrazów i do wystawienia ich w galerii Bernarda Benedicka. Wieczorami zamawialiśmy curry z krewetkami w Petit Cambodge i oglądaliśmy seriale na Netflixie. W niedzielę biegaliśmy w Ogrodzie Luksemburskim, robiliśmy też wycieczki rowerowe nad kanałem Ourcq i czasem spędzaliśmy weekendy u mojej mamy w Trouville. Marco obiecał, że na przyszłe wakacje polecimy na Islandię obejrzeć zorzę polarną. Uroczy obrazek zakochanej pary w Paryżu Anne Hidalgo.

Dla Bianki byłam jak zesłany przez niebiosy anioł stróż, który sprowadzi syna na dobrą drogę. Jak statek, którym jej miłość życia wypłynie na bezpieczne wody. Dzięki mnie odnalazła spokój. Nie ostrzyłam sobie zębów na ich majątek jak żony słynnych piłkarzy, nie byłam wulgarna jak jakaś blachara ani chciwa jak naciągaczki z klubów na Polach Elizejskich. Byłam miłą pielęgniarką „walczącą na pierwszej linii frontu” w czasie pandemii, cichą bohaterką, pomagającą bliźnim altruistką. Wolontariuszką w ośrodku Lekarzy Świata w Plaine-Saint-Denis (co nawet było prawdą, choć nie trwało długo). Moi rodzice byli nauczycielami. Umiałam rozmawiać o malarstwie renesansu, znałam filmy Antonioniego i Nanniego Morettiego, wiedziałam, kto to jest Mario Draghi czy Matteo Renzi. Byłam porządną dziewczyną „z ludu”, tak jak je sobie wyobrażają bogaci.

Tak, Bianca mnie lubiła, a ja lubiłam ją. Fascynowała mnie jej nieudawana życzliwość, podobały mi się jej prostota i dystynkcja. Nawet cierpieć umiała

z klasą. Była w okolicach sześćdziesiątki, miała regularne rysy, wypoczętą twarz i włosy w kolorze popielatego blondu, upięte w koczek nad karkiem. Ubrana z dyskretną elegancją. Gdziekolwiek usiadła, natychmiast pojawiały się promienie słońca, podkreślające jej aurę madonny.

Mówiła nienaganną francuszczyzną, ale w ferworze dyskusji często wtrącała włoskie wyrażenia. Lubiła opowiadać o swojej działalności filantropijnej prowadzonej w ramach założonej przez siebie fundacji. Koncentrowała się ona na edukacji, sztuce i walce z ubóstwem poprzez udzielanie mikrokredytów. Fundacja AcquaAlta miała biura na Manhattanie i w Turynie i obracała milionami euro.

Ale ulubionym tematem Bianki był oczywiście syn Marco, o którego bardzo się martwiła. Z każdej naszej rozmowy dowiadywałam się o nim czegoś nowego. Dla mnie była to historia rozwydrzonego bachora z bogatego domu, dla niej – cudownego, inteligentnego, wrażliwego chłopca, który miał *molto sofferto*.

– *Non so se te l'ho detto*, Angelica, ale to śmierć siostry tak go zmieniła. Livia i Marco byli bardzo zżyci, prawie jak zrosnięci. Niepokonani. Gdy Livia odeszła, Marco pewnie chciał do niej dołączyć. *Inconsciamente*. Nagle zupełnie zwariował: przestał nas szanować, nie chciał pracować w rodzinnym przedsiębiorstwie i zaczął głosić skrajnie lewicowe poglądy.

– *Per attirare l'attenzione di suo padre?* – spytałam, przypominając sobie resztki włoskiego, którego uczyłam się w liceum.

– *Probabilmente!* Ale Lisandro nie mógł tego znieść! Kocha syna, ale woli AcquaAlta, owoc pracy sześciu pokoleń Sabatinich.

– Pani mąż chciał, żeby to Livia stanęła na czele przedsiębiorstwa?

– *Si*. Marco był zbyt miękki, miał duszę artysty. Nigdy nie spełnił nadziei, jakie pokładał w nim ojciec. Dlatego od dziewięciu lat nie utrzymują kontaktów. Mąż obciął mu nawet pensję, choć wie, że to ja zapłaciłam za loft przy rue de Bellechasse i to ja...

Bianca przerwała, bo zadzwoniła jej komórka. Odebrała, a ja z wyrazu jej twarzy od razu zrozumiałam, że to szpital.

Po raz pierwszy wiadomości o stanie chorego były dobre. Zapalenie płuc się cofało, Marco czuł się coraz lepiej i według lekarzy niedługo będzie mógł sam oddychać. Twarz Włoszki się rozjaśniła. Bianca w podekscytowaniu ścisnęła mnie za ramię i włączyła tryb głośnomówiący, żebyśmy mogli razem słuchać tych wspaniałych nowin.

– Zmniejszyliśmy już ilość leków, teraz będziemy zmniejszać sedację – oznajmił lekarz.

– *E una notizia eccezionale! Una grande speranza!*

– Trzeba poczekać, zobaczymy, jaka będzie reakcja organizmu. Musimy zatrzymać pani syna jeszcze na jakiś czas. Chcielibyśmy, żeby pani przyszła z panią Charvet. Pacjent lepiej się wybudza, gdy widzi wokół siebie znajome twarze. Jest wtedy mniej zagubiony.

2

Bianca chciała od razu jechać do szpitala, na szczęście pielęgniarka jej to wyperswadowała: stopniowe wybudzanie pacjenta potrwa co najmniej dzień lub dwa. Lepiej zachować energię na czas, gdy obecność bliskich będzie bardziej potrzebna. Bianca była przeszczęśliwa i zbyt rozemocjonowana, żeby beczynnie czekać. Postanowiła spędzić popołudnie na meblowaniu surowego wnętrza, w którym mieszkał syn. Chciała urządzić mu przytulną przestrzeń, gdzie będzie odzyskiwał siły.

Pracownia była słabym punktem mojego planu. Przed wizytą matki Marca przyniosłam w pośpiechu kilka swoich rzeczy, żeby wyglądało to na wspólne mieszkanie, ale widziałam, że nie tego się spodziewała. Powiedziałam jej wtedy, że częściej bywamy u mnie.

Najpierw odwiedziłyśmy sklepy wnętrzarskie przy boulevard Saint-Germain, a potem poszłyśmy posprzątać i przemeblować pracownię. Bianca i jej karta kredytowa dokonały prawdziwych cudów. Gdy firma Knoll dowiedziała się, kim

jest ich klientka, sklep zaproponował wypożyczenie i dostarczenie jeszcze tego samego dnia większości mebli z wystawy: stół Saarinen, krzesła Chandigarh, obrotowy fotel Eames z podnóżkiem, jasny dywan o wysokim włosiu. Teraz pracownia mogłaby się znaleźć na okładce „AD Magazine”.

Byłam na skraju załamania. Nieubłagany los miał zaraz sprawić, że mój domek z kart przewróci się z hukiem. A jednak czułam w sobie nieznaną siłę. Ogień, który zamiast mnie pochłonąć, dodawał niewyczerpanej mocy. Podobała mi się historia, którą opowiedziałam Biance, podobało mi się moje nowe życie. Nawet jeśli było całkowicie oparte na kłamstwie, czy nie dałoby się dostosować do niego rzeczywistości? Może wróżki nie stały długo nad moją kołyską, ale zdążyły obdarować mnie sprytem i tym ziarnem szaleństwa, które dziś popychało mnie do podjęcia ryzyka.

Wieczorem przy pożegnaniu padłyśmy sobie z Biancą w objęcia. Zeszłam z nią na dół, żeby odprowadzić ją do taksówki. Znów mnie przytuliła, pocałowała w oba policzki, pogładziła dłonią po włosach, przekonana, że dzięki mnie jej syn odnajdzie sens życia. *Grazie Angelica, grazie figlia mia.*

Już siedząc w taksówce, opuściła szybę i wciąż do mnie mówiła. Życie Marca od teraz potoczy się nowym torem i w końcu bolesne doświadczenia zamienią się w coś dobrego. *I momenti belli e quelli difficili, non durano per sempre**.

W końcu pojechała. Pomachałam jej na pożegnanie, a ona mi odmachwała. Gdy samochód zniknął za rogiem, prawie minutę stałam na chodniku. Czułam w sercu wielką pustkę. Potem weszłam na górę po torebkę.

Jak zawsze bałam się wpaść na dozorczynię, mogła już wrócić z wakacji. Ale mieszkała w drugim budynku – wcześniej wpadłam na nią tylko raz i nie zrobiła na mnie wrażenia przejętej swoją pracą.

Weszłam i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Zrobiłam kilka kroków w głąb pracowni i zobaczyłam, że nowo zakupiony fotel z beżowej skóry obraca się w moim kierunku. Krzyknęłam z przerażenia.

Na fotelu siedziała Stella Petrenko i patrzyła na mnie z uśmiechem.

3

– Jeśli myślisz, że nie zorientowałam się, co kombinujesz... – zaczęła drwiąco.

– Ładnie to tak podsłuchiwać pod drzwiami, pani Petrenko?

Staralam się ukryć zmieszanie, ale tego wieczoru jakoś mnie przestraszyła. Może to jej strój: turban, ciemne botki, ogromny czarny szal, którym była owinięta.

– Oszukać starą Sabatini, że jesteś dziewczyną Marca, to twój plan, co?

– Co to panią obchodzi?

– Obchodzi, bo wyobraź sobie, że lubię Marca.

Twarz jej stężała. Znikły gdzieś serdeczność i życzliwość. Został uśmiezek, przez który wyglądała jak czarownica.

– Czy wiesz, co to znaczy *Schadenfreude*, Angélique? – spytała.

– Nie wiem.

– To niemieckie słowo oznaczające czerpanie radości z cudzego nieszczęścia. – Stella Petrenko wyjęła papierosa i śmieszoną zapalniczkę Zippo z masy perłowej. – Wiesz, taka grzeszna przyjemność, którą odczuwasz, gdy ładniejsza od ciebie, młodsza, bogatsza, promieniejąca radością kobieta nagle potyka się i na przykład łamie nogę.

– Bo nie wystarczy samemu być szczęśliwym, trzeba jeszcze, żeby inni byli nieszczęśliwi, tak?

– No właśnie.

Zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Kiedy wokół oczu pojawiają się zmarszczki, kiedy nie udaje ci się schudnąć, kiedy piersi się kurczą, twarz obwisa, kiedy faceci nie patrzą już na ciebie na ulicy... – Przerwała i znów się zaciągnęła. – A to nadchodzi szybko, uwierz mi, i jest brutalne. Krótko mówiąc, gdy widzisz, że najlepsze lata masz już za sobą, że w twoim życiu nie będzie już namiętności, stajesz się zgorzkniała i zła. I pewnego ranka zdajesz sobie sprawę z tego, że twoją największą radością są teraz nieszczęścia, które spotykają innych.

– To niezbyt szlachetne.

– Prawda, ale tak już jest. Przestajesz współczuć i się litować. Wręcz przeciwnie, cieszysz się, że nie tylko ty masz gówniane życie. To cię pociesza.

– Po co mi to pani mówi?

– Bo od razu cię przejrzałam, mimo twojego miłego wyglądu i niewinnego uśmiechu. I wiesz, co sobie pomyślałam? Że jesteś podobnie jak ja wściekła na cały świat, że masz pretensje do losu. A teraz znalazłaś sposób, żeby uciec od tego gównianego życia, sposób, który pozwoli ci awansować do pierwszej ligi.

– A pani? Dlaczego pani ma żal do losu?

Stella Petrenko zaśmiała się nerwowo.

– Bo byłam sławna i już nie jestem. Jeśli zasmakujesz sławy, wszystko inne traci sens. Zejście ze sceny jest straszne. Artyści nie są stworzeni do życia w cieniu.

Jad jej słów przywołał wspomnienie filmu *Bulwar Zachodzącego Słońca* i postać graną przez Glorię Swanson: zniekształcona twarz, rzęsy ciężkie od tuszu, ślina w kącikach ust, półksiężycy wyskubanych brwi.

– Znajdę matkę Sabatiniego – zagroziła Stella. – I zapewniam cię, że nie będzie zadowolona z tych kłamstw. Każda matka nienawidzi, kiedy ktoś wykorzystuje jej dziecko!

– Pani Petrenko, zmierzamy w złym kierunku! Myślę, że możemy się dogadać.

– Niby jak?

Włożyłam rękę do płóciennej torby leżącej na stoliku kawowym. Wyjęłam grubą białą kopertę i wręczyłam ją Stelli Petrenko.

Tancerka zobaczyła zawartość i na chwilę zaniemówiła. Paczka banknotów po pięćdziesiąt euro. Zaczęła je liczyć: jeden, dwa, trzy, pięć, dziewięć, dziesięć...

– Dziesięć tysięcy. To wystarczy, prawda?

Trzymała banknoty w obu dłoniach, patrząc na nie jak na drogocenny klejnot. Myślałam, że zacznie je wachać.

– Gdzie znalazłaś te pieniądze? – zapytała, zdając sobie sprawę, że mnie nie doceniła.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Nagle oczy jej zabłyśły i wybuchła śmiechem.

– Sprzedałaś obrazy, tak? Zdążyłaś już sprzedać trzy obrazy Marca, ty mała cholero!

* Ani dobre, ani złe chwile nie trwają wiecznie.

8

Przekroczyć próg

Człowiek jest ludzki na tyle, na ile kura lata.

Louis-Ferdinand Céline

1

Stella Petrenko wyszła, a ja zostałam sama w ciemnej pracowni, oparta o balustradę balkonu.

Cierpki zapach farby i kleju zaczął mi uderzać do głowy. A więc to był wieczór prawdy. Nie ma co się oszukiwać, przeszkoda była trudniejsza, niż myślałam, i pojawiła się szybciej, ale nie wolno panikować, bo wszystko się zawali. Za wszelką cenę muszę utrzymać entuzjazm i pozytywną energię z ostatnich dni. Wizja otwierających się przede mną nowych perspektyw dodała mi sił. Muszę rozwiązać wszystkie problemy. Po kolei. Teraz.

Zeszłam po schodach. Noc była gorąca i parna. Nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić do dusznego metra. Trochę dalej, na rue Casimir-Périer, znajdowała się stacja rowerów. Na pierwszy rzut oka duży wybór, niebieskie elektryczne i zielone, ale jak zwykle żaden nie działał. „Przyjazne miasto”, reklamowane jako „lider mobilnych rozwiązań”, zmieniło się niepostrzeżenie w strefę wiecznej przebudowy, gdzie nic nie działało. Doskonałym przykładem była porażka w zarządzaniu samoobsługowymi rowerami miejskimi: dziurawe opony, skradzione koła, rozładowane baterie, pozrywane łańcuchy. W desperacji wsiadłam na rower z wygiętym kołem. Hamulce piekielnie hałasowały, a jeden pedał groził wypadnięciem, ale miałam do wyboru to albo nic.

Pedałuj, dziewczyno!

Chłodne powietrze dobrze mi zrobiło, a wysiłek przytłumił uczucie lęku. Rue de l'Université, potem Solférino, aż do Sekwany i nabrzeżem na zachód. Sobota wieczór. Nad Sekwaną czarno od ludzi. W atmosferze późnego lata paryżanie bawili się w ogródkach restauracji, pod wieżą Eiffła, przy pont Mirabeau. Alkohol, muzyka, narkotyki – żeby tylko zapomnieć o pandemii, maseczkach, testach i groźbach kolejnych lockdownów w tym niekończącym się kryzysie.

Minęłam park André-Citroëna, zostawiłam rower na stacji na place du Moulin-de-Javel i ruszyłam w kierunku szpitala.

2

Szpital Pompidou to labirynt budynków, który sprawia wrażenie, jakby jakieś niezbyt uzdolnione dziecko ułożyło konstrukcję z gigantycznych klocków Lego. Położyłam torbę na ławce na przystanku autobusowym, wyjęłam swój uniform pielęgniarki – fartuch na guziki i spodnie z gumką – i włożyłam go na dzinsy i T-shirt.

Szklany dach nad centralnym patio jak zwykle robił duże wrażenie. Była dwudziesta druga. Wjazd dla karetek znajdował się z drugiej strony, wychodził na rue Delbarre, w szpitalu panował spokój. Przez szyby wpadało sztuczne niebieskie światło, które nadawało temu miejscu wygląd statku kosmicznego.

Od tygodnia przychodziłam tu codziennie z Biancą. Miałam czas rozejrzeć się i zapoznać z terenem szpitala. Znałam wszystkie zakątki wielkiego holu. Kręcili się tu strażnicy, ale ich obsesją były przepisy antycovidowe. Kamerami się nie przejmowałam. Nie ma potrzeby spuszczać wzroku. Wystarczy zachowywać się jak normalna pielęgniarka, która przychodzi na dyżur albo którą wezwano do pomocy.

Zwlekam, wciąż się waham, czy iść dalej... Mój plan opiera się na wierze w szczęśliwy traf, nie mam kontroli nad wszystkimi czynnikami. Ale wiem, że jeśli nie zaryzykuję, w moim życiu nic się nie zmieni. Od dwudziestu lat czekam na taką

chwile, liczę, że wreszcie otworzą się dla mnie zamknięte drzwi. Zawsze myślałam, że w życiu każdego przynajmniej raz zdarza się moment zwrotny. Starożytni Grecy nazywali to *kairos*: decydujący moment, który może zmienić wszystko. Niewykorzystanie go oznaczałoby utratę swojej szansy na zawsze.

Działać.

Zanim drzwi się zamkną.

Wzywam windę. Udaję się na pierwsze piętro. Drżę na całym ciele. Jeszcze mogę się wycofać. Ale co, jeśli wszystkie moje dotychczasowe decyzje, te złe i te dobre, służyły doprowadzeniu mnie tutaj, na skrzyżowanie dróg mojego życia, gdzie mogę wszystko wygrać albo wszystko stracić?

Drzwi windy rozsuwają się. Wchodzę na korytarz oddziału intensywnej terapii.

Przypominam sobie o zarodku, który noszę i który komplikuje moje plany. Od smrodu środków dezynfekujących i źle odgrzanego jedzenia robi mi się niedobrze. Jak zdalnie sterowany robot idę środkiem labiryntu między metalowymi wózkami, łózkami na kółkach, plastikowymi krzesłami i docieram do pokoju, w którym leży spadkobierca rodu Sabatinich. Dzięki znajomościom ojca Marco ma jednoosobowy pokój. Muszę działać szybko. W każdej chwili może tu wejść lekarz albo pielęgniarka. Patrzę na „mojego chłopaka”: leży na plecach, powieki ma zaklejone cienkimi plastrami. Zarost i długie włosy upodabniają go do Chrystusa. Splątane rurki od kroplówek i cewników to jego cierniowa korona. Na ekranie monitora falują świecące wykresy parametrów życiowych pacjenta – tętno i oddech, ciśnienie krwi, saturacja – które świadczą o poprawiającym się stanie zdrowia mojego ukochanego.

3

Jeśli kiedyś stanęłabym przed sądem, nie mogłabym się bronić, że moje działanie było nieumyślne. Odrobiłam pracę domową, zagłębiłam się w temat i długo obracałam go w głowie. Skontaktowałam się nawet z kolegą

specjalizującym się w resuscytacji, pilnując, żeby nie zauważył, że się tym interesuję. Najpierw chciałam wstrzyknąć Sabatiniemu dożylnie chlorek potasu. Zwykła pięciogramowa strzykawka z KCl, używana przy niedoborze potasu w organizmie. Gdybym zaaplikowała szybko całą dawkę, nagłe stężenie w osoczu mogłoby spowodować bradykardię i asystolię. Ale poziom potasu oznacza się w standardowym jonogramie, więc w razie sekcji zostałyby to zauważone. Odrzuciłam ten pomysł.

Czuję ucisk w klatce piersiowej. Przęłykam ślinę i głęboko oddycham. Czy to dobry plan? A przede wszystkim, czy dam radę?

Wyjmuję z plecaka torbę medyczną, a z niej zabezpieczoną strzykawkę. Chlorek wapnia działa inaczej niż chlorek potasu. Szybkie wstrzyknięcie sześciu czy siedmiu gramów zwiększy pobudliwość serca i wywoła tachykardię, a potem migotanie przedsionków, co skończy się zatrzymaniem akcji serca. Chlorek wapnia nie figuruje w standardowym jonogramie. Nikt go nie wykryje, chyba że będzie specjalnie szukał.

Wóz albo przewóz.

Nie wolno mi myśleć, że robię coś złego. Mówię sobie, że teraz albo nigdy. Że przemyślałam to i że jest to słuszne. Nowe życie można wygrać tylko siłą.

Wbijam igłę i wydaję z siebie cichy płacz.

Kurwa!

Sabatini otwiera oczy mimo bandażu. Wszystkimi siłami swojego wątłego ciała wpija mi się w rękę i patrzy na mnie, na wpół oszołomiony, na wpół przerażony. Zduszam krzyk, odważnie spoglądam mu w oczy i wciskam tłok.

Wiem, że od tej pory moje życie będzie się dzielić na dwie części: tę „przedtem” i tę „potem”.

Przekroczyłam granicę, zza której nie ma powrotu.

Ale to była cena mojego nowego życia.

9

Jesteś naszą córką

Bo najgorsze, że każdy ma swoje racje.

Jean Renoir

1

Marco Sabatini **ofiara koronawirusa**

„La Stampa” – z AFP

Malarz Marco Sabatini, syn Lisandra i Bianki Sabatinich, zmarł w Paryżu wskutek komplikacji wywołanych przez wirus covid-19.

Sabatini od wielu dni przebywał na oddziale intensywnej terapii Europejskiego Szpitala Georges-Pompidou. W nocy z soboty na niedzielę jego stan gwałtownie się pogorszył.

Sabatini był jedynym spadkobiercą luksusowej grupy AcquaAlta. Po śmierci siostry Livii w 2009 roku trzymał się z dala od rodzinnych interesów. Od wielu lat mieszkał w Paryżu. Jego prace od 2019 roku wystawia m.in. słynna galeria Bernarda Benedicka.

Nasz syn Marco odszedł do swojej siostry Livii – napisali w komunikacie prasowym jego rodzice. Mimo doskonałej opieki, zaangażowania personelu medycznego i odwagi, której dawał dowody, Marco nie miał siły, by wygrać tę walkę.

Marco Sabatini miał 31 lat. Spocznie na rodzinnym cmentarzu w Tortonie (Piemont), mieście, które od dwóch wieków jest historyczną siedzibą rodu.

6 września 2021

Lisandro Sabatini wyznaczył mi spotkanie we włoskiej knajpce Chez Luca przy rue du Boccador. Była dziesiąta rano, ale specjalnie dla niego otwarto lokal. Elegancka trattoria: ciemne boazerie, ściany patynowane na kolor migdałowej zieleni, podłoga w czerwono-białą szachownicę z kafelków.

Padało. Paryż przykryła czapa ołowianej mgły. W restauracji światło było tak przyciemnione, że pogłębiało uczucie klaustrofobii. Ingegnere siedział w głębi sali, na kanapie z czarnej skóry, przy opalizującym marmurowym stoliku. Wyglądał jak na zdjęciach w internecie. Surowy i elegancki. Wysoka smukła sylwetka, dopasowany garnitur z szerokimi klapami, mokasyny Richelieu, chronometr F.P. Journe noszony poniżej mankietu koszuli à la Gianni Agnelli.

Gestem wskazał mi krzesło naprzeciwko. Przez chwilę mi się przyglądał, ale nie czułam się nieswojo.

– Wolałbym cię spotkać w innych okolicznościach, Angélique, ale takie jest życie. Bianca powiedziała mi, jak bardzo ją wspierałaś w tych trudnych dniach, bardzo ci za to dziękuję.

Kiwnęłam głową, starając się zachować spokój. Patrzyłam na ścianę za nim, ozdobioną czarno-białymi zdjęciami surowych krajobrazów Apulii i Sycylii.

Sabatini ciągnął jak człowiek pogodzony z losem:

– Właściwie nie jestem zaskoczony. Od dawna byłem przygotowany na to, że któregoś dnia powiadomią mnie o śmierci syna. Spodziewałem się raczej przedawkowania, samobójstwa albo dźgnięcia nożem przez jakiegoś dilerka. A tymczasem to ten cholerny covid...

Wyjął z kieszeni zdjęcie Marca i jego siostry ze szczęśliwych czasów, gdy mieli po dziesięć lat. Dwoje roześmianych dzieci bawiących się w basenie wypełnionym kolorowymi kulkami. Bezcenna radość dzieciństwa...

– Nie rozmawialiśmy z Markiem od lat, ale zachowałem w sercu wszystkie szczęśliwe chwile, które spędziliśmy razem, kiedy był dzieckiem. – Nic nie powiedziałam, więc Lisandro dodał poirytowany: – Marco musiał ci o mnie opowiadać najgorsze rzeczy, ale to nie jest prawda. Pomimo moich zajęć nie byłem zimnym i nieobecny ojcem. Co rano odprowadzałem oboje do szkoły. Pilnowałem, żeby odrobili lekcje, a wieczorem wyrywałem się z biura, żeby opowiedzieć im bajkę. Potem wracałem do pracy. Nie wychowywaliśmy z Biancą naszych dzieci jak książąt.

– Marco nie mówił o panu źle – przerwałam mu. – Miał tylko żal, że nie pozwalał mu pan samemu decydować o swoim życiu.

– Decydować o swoim życiu? A od kiedy w życiu ma się wybór? Ty decydowałaś o swoim? – Rozluźnił krawat. – Bądźmy szczerzy, Marco spędzał czas na malowaniu zombie z oczami! Uważasz, że to lepsze niż prowadzenie firmy, która zatrudnia dwa i pół tysiąca ludzi?

– Nie musi mnie pan przekonywać – powiedziałam.

Zdziwiła go moja odpowiedź. Sabatini nie miał w sobie nic ze starego zatwardziałego zwolennika patriarchatu. Był w sile wieku. Wysportowany, lekko opalony, trochę siwizny na skroniach, jasny przenikliwy wzrok. Roztaczał surowy, poważny urok. Był doskonałą reklamą luksusowych ubrań sprzedawanych przez AcquaAlta.

– Rozwinałem tę firmę, tak jak przedtem rozwijali ją mój ojciec i dziadek. I jeszcze pięć pokoleń naszej rodziny przed nimi. Miałem prawo oczekiwać od Marca tego samego.

– A nie mógł tego zrobić ktoś inny? Bianca mówiła, że ma pan dwóch braci i siostrę, którzy mają dzieci.

– To nie to samo! – wykrzyknął. – Oni nie są moimi dziećmi. Miałem nadzieję, że Marco w końcu wróci do gniazda. Że nabierze charakteru i że z wiekiem będzie dumny z naszego rodu.

– Marco nie byłby w stanie tak się zmienić – powiedziałam. – W rozmowach z Biancą trochę upiększyłam sytuację. Tak naprawdę on jeszcze nie wyszedł z nałogu. Potrzebował anioła stróża, który pilnowałby go dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ingegnere potarł powieki.

– Dziękuję ci za szczerość i że byłaś taką opiekunką. Pogrzeb Marca odbędzie się w Tortonie, na naszej rodzinnej ziemi. Jeśli chciałabyś przyjechać, przywitamy cię z radością.

– Oczywiście, że przyjadę – odpowiedziałam i zamilkłam. Nadszedł moment, żeby rzucić na stół najważniejszą kartę. – Pana syn miał również zalety, panie Sabatini. Mimo waszych nieporozumień bardzo pana podziwiał i bolało go, że nie macie kontaktu. W jego życiu oprócz problemów były i szczęśliwe chwile.

Wyjęłam z torebki zdjęcie, które przez dobre kilka dni obrabiałam w Photoshopie. Czarno-biała fotografia przedstawiająca mnie i Marca na jakiejś pustej plaży. Wręczyłam ją Sabatiniemu.

– To my trzy tygodnie temu w Normandii. Byliśmy naprawdę szczęśliwi.

Patrzył na zdjęcie w milczeniu. Z pewnością zauważył dłoń syna na moim brzuchu.

– Jestem w ciąży – oznajmiłam.

Biznesmena zamurowało. Trochę tak, jakbym weszła do restauracji z granatem w torbie, a teraz go odbezpieczyła.

– Zapewniam pana, że nie oczekuję niczego od waszej rodziny. Nigdy nie zażądam pieniędzy. Wychowam dziecko sama.

– Zaczekaj. – Sabatini chwycił mnie za ramię.

Wiedziałałam, że jego myśli biegną teraz z prędkością światła. Dziś rano wstał ze świadomością, że nadchodzące lata będą trudne i bolesne, a tymczasem... Może wiatr właśnie zmienił kierunek i ciemne niebo trochę się rozchmurzy. *Buon tempo e mal tempo non dura tutto il tempo**.

Jestem pewna, że Sabatini też wie, co to jest *kairos*. Podobnie jak ja zdaje sobie sprawę, że życie daje mu szansę odwrócenia sytuacji, gotowe rozwiązanie wszystkich jego problemów: pośmiertne pojednanie z synem i pojawienie się spadkobiercy, który kiedyś zajmie jego miejsce na czele firmy. Wie, że nie może tej szansy przegapić.

– To wspaniała nowina, Angélique! – Uśmiecham się nieśmiało, a on ciągnie: – Wszystko zorganizujemy. Mam znajomości. W Turynie załatwię dla Marca pośmiertne potwierdzenie ojcostwa. Oczywiście jeśli się na to zgodzisz.

Potwierdzam kiwnięciem głowy. Ingegnere wstaje i bierze mnie w ramiona.

– Jesteś teraz naszą córką! – mówi.

3

Tego samego dnia

23.30

Naiwnie myślałam, że tylko pierwsze morderstwo wiele kosztuje. To, przez które wkracza się do świata zbrodniarzy. Że każde następne to odhaczanie kolejnych pozycji na liście.

Oczywiście tak nie jest. Ale nie mam wyboru. Popchnęłam pierwszą kostkę domina, która przewróciła następne. Żeby nadal kontrolować sytuację, znów muszę zabić. Dziś wieczorem mam na celowniku Stellę Petrenko. Tę, od której wszystko się zaczęło i przez którą wszystko mogłoby się zakończyć.

W mniej niż dziesięć dni dokonałam niemożliwego. Zauważyłam wyłom i wślizgnęłam się przez niego do innego świata. Narzuciłam przeznaczeniu swoją wolę. Zagrałam zuchwale i ryzykownie. Postawiłam wszystko na jedną kartę i wygrałam... Petrenko jest ostatnią przeszkodą na mojej drodze.

Wiem, co się stanie, jeśli nie zareaguję. Tancerka będzie dla mnie coraz większym zagrożeniem, zwłaszcza kiedy zorientuje się, że mój plan się powiódł.

Będzie żądała coraz więcej pieniędzy. Cokolwiek zrobię i gdziekolwiek pójde, wszędzie będzie nade mną wisiał ten miecz Damoklesa.

Kucając na dachu z ocynkowanej blachy, myślę sobie, że śmierć Stelli to naprawdę ostatni krok. Potem będę wolna. Weszłam tylnymi schodami, żeby nie słyszała, że wróciłam. Z pracowni Marca wyslizgnęłam się przez małe okienko i prawie się połamalam. Spuściłam się po rynnie i od trzech kwadransów czekam.

Na początku cała się trzęsłam, bałam się, że fizycznie nie dam rady. Potem zdrętwiały mi nogi. Stado mew uniosło się do góry, mało brakowało, a runęłabym z szóstego piętra na bruk. W ostatniej chwili odzyskałam równowagę. Wbrew moim obawom dość sprytnie się ukryłam. Scena w niczym nie przypomina tej z filmu *Okno na podwórze*. W budynku naprzeciwko świeci się tylko na drugim piętrze. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego w Paryżu jest tyle pustych mieszkań. Gorzej dla tych, którzy muszą spać na ulicy, ale lepiej dla mnie. Robi się późno, za pół godziny wybije północ; siódma dzielnica nie jest najbardziej tętniącym życiem fragmentem Paryża. Nie widzę, ale słyszę, jak właściciel narożnego bistro pogwizduje, składając krzesła na tarasie.

Siedzę w swoim punkcie obserwacyjnym na dachu koło rynny i mam świetny widok na taras Stelli Petrenko. W rajstopach, spódniczce baletnicy i w trykotach podstarzała tancerka leży rozwalona na kanapie. Zwinęła sobie skręta, zaciągnęła się, chichocząc, potem wypila jeden po drugim trzy kieliszki burgunda i ucięła sobie dwudziestominutową drzemkę. W końcu widzę, że wstaje, masuje sobie szyję, wychyla się z balkonu i nuci arię operową:

Był w Thuli król wielkiej cnoty

– owiał go legend czar –

Otrzymał puchar złoty

*Kochanki ostatni dar***

Serce wali mi w piersi jak oszalałe. Czuję w gardle coraz większy ucisk.

Teraz!

Skaczę w dół. Spadłam z prawie dwóch metrów, ale nic mi nie jest. Ląduję na tarasie, podpieram się obiema rękami. Natychmiast się podnoszę.

Stella chce się odwrócić, ale chwytam ją za kolana i ze wszystkich sił unoszę w górę, po czym przerzucam przez balustradę. Słyszę jej zdławiony krzyk.

Za późno.

Już rozbiła się o chodnik.

Wyrzucam za nią konewkę i opuszczam taras tą samą drogą, którą tu dotarłam.

To nawet nie było takie trudne.

* Dobra pogoda czy zła pogoda nie trwa cały czas.

** J.W. Goethe, *Faust*, przeł. Emil Zegadłowicz. Fragment opery *Faust* Charles'a Gounoda.

III

MATHIAS TAILLEFER

10

Zniknąć bez śladu

Uważaj na drobiazgi. One cię zgubią.

Fiodor Dostojewski

1

Środa, 29 grudnia

Wychodząc z dworca, Mathias Taillefer podniósł kołnierz płaszcza. Mimo kaca wstał wcześniej, ogolił się, włożył czystą koszulę i marynarkę. Wsiadł do kolejki podmiejskiej niedaleko domu, na stacji Cité-Universitaire. Przejechanie przez Paryż i dotarcie do Aulnay-sous-Bois zajęło mu ponad pół godziny.

Na placu przed dworcem zapalił papierosa i wpisał na iPhone'ie adres Angélique Charvet, który zdobył dzięki Norze Messaoud. Zaciągnął się nerwowo, jakby tytoń miał mu dodać energii, po czym spojrzął na trasę proponowaną przez nawigację.

Dziesiąta rano. Niebo było kryształowo jasne, ale polarny chłód działał paraliżująco. Na czas ferii świątecznych podparyskie miasteczko opustoszało. W błyszczącym mroźnym słońcu centrum Aulnay-sous-Bois wyglądało raz jak czternasta dzielnica Michela Audiarda, a raz jak przedmieścia Mathieu Kassovitza.

Taillefer powoli rozpoznawał okolicę. Był tu już dziesięć czy piętnaście lat temu, podczas jakiegoś śledztwa. Nic tak naprawdę się nie zmieniło. Przy drodze na Bondy powoli otwierały się azjatyckie sklepy, przed Monoprixem kręcili się ochroniarze, którzy wyszli na papierosa, grupa bezrobotnych podpierała ściany dzielnicowej świetlicy. Na boulevard de Strasbourg zaczynał się dzień targowy.

Mieszkańcy Aulnay tłoczyli się nerwowo przy straganach, żeby zrobić zakupy na sylwestra. Maseczki, środki dezynfekujące, konieczność zachowania odpowiedniego dystansu... Francję zaatakowała nowa odmiana wirusa. Poprzedniego dnia po raz pierwszy liczba zachorowań przekroczyła dwieście tysięcy. Dwa dni przed sylwestrem omikron rozdzielał rodziny, zmuszał do pozostawania w domach, skłócał zwolenników szczepionek z ich przeciwnikami. Coraz większe ograniczenia utrudniały przemieszczanie się.

Zdyszany Taillefer wszedł do apteki kupić tabletki ezomeprazolu i aspirynę z witaminą C. Od rana strasznie bolał go brzuch. Miał ciężką głowę, doskwierały mu ból szyi i zdecydowanie złe samopoczucie. Najdziwniejsze były jednak problemy ze skupieniem się. Myśli mu się rozpierzchały, rozpraszały. Lekko kręciło mu się w głowie, niewyraźnie widział, świat jakby płynął wokół niego. Serce przyspieszało, dręczone pytaniem: a jeśli złapałem tego cholernego wirusa?

Jako pacjent po transplantacji serca był jednym z pierwszych zaszczepionych. Należał do grupy zwiększonego ryzyka, gdyż brał leki immunosupresyjne. Przekonany, że strach przed chorobą czyni większe szkody niż sama choroba, starał się nie przejmować, ale niepokoił go rozwój sytuacji.

Po wyjściu z apteki kupił w budce na targu dwa rogaliki i butelkę wody. Miał ochotę na kawę, ale jego żołądek wyraźnie mówił: „Nawet nie próbuj!”. Gdy łykał lekarstwa, zawibrowała komórka. Louise Collange. Nie odebrał. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było użeranie się z tym dzieciakiem.

Po chwili dotarł do niewielkiego budynku z ziarnistego piaskowca na rogu place du Général-Leclerc i rue Jacques-Chirac. Dwa niezbyt zachęcające piętra, fronton na szczycie udekorowany schodkami, fasada czarna od spalin.

Nie wahał się długo, pchnął skrzypiące drzwi wejściowe i wszedł po schodach na pierwsze piętro, gdzie zobaczył drewniane drzwi ozdobione staromodnymi elementami z kutego żelaza. Dwa dzwonki, przy każdym nazwisko. *Angélique Charvet*, *Beatriz Barros*. Wokół panował spokój, ale Taillefer instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. By odzyskać zimną krew, dotknął sig-sauera schowanego w kieszeni zapiętej na rzep. Zanim jeszcze nacisnął dzwonek, drzwi

się otworzyły i oczom Taillefera ukazała się jakaś pozaziemska istota: prawie dwumetrowy kolos z kręconymi blond włosami. Pod wielką maską ochronną z podwójnym filtrem widać było kawałek opuchniętej twarzy.

– Czego tu szukasz? – spytał wielkolud.

Nosowy, piskliwy głos pasował raczej do bohatera kreskówki niż do tego dobrze zbudowanego faceta. Brzmiał, jakby nawdychał się gazu rozweselającego.

– Mathias Taillefer, brygada kryminalna. Nazwisko?

– József Vigazs, właściciel.

Za nim pojawiła się drobna niska kobieta. Metr czterdzieści, brunetka. Przypominała gburowatą mysz.

– Ma ci pokazać legitymację, József!

– A pani kim jest? – zniecierpliwiał się Taillefer.

– Mónika Vigazs, jestem jego matką.

Taillefer potarł oczy. Czuł, że ta dwójka nie ułatwi mu roboty.

– Szukam Angélique Charvet – poinformował.

– Ona już tu nie mieszka.

– Może wpuszczą mnie państwo do środka, jest bardzo zimno.

He-Man i jego matka nie ruszyli się z miejsca, zdecydowani nie ustąpić ani o centymetr.

Taillefer rozchylił marynarkę na tyle, żeby towarzystwo zauważyło kaburę, w której spoczywał pistolet, i kajdanki przyłączone do paska.

– Jeśli państwo wolą, możemy pójść na komisariat. Niedaleko, na rue du Bastion w Batignolles. Nowy budynek, chętnie państwa oprowadzę.

Groźba zadziałała. Bestie cofnęły się i wpuściły policjanta do mieszkania.

Podłoga była pokryta brezentem, wszędzie stały drabiny, kozły, puszki z farbą. Najwyraźniej trwał remont. Dwa pokoje, kanapa, łóżko i kilka mebli pod plastikową folią.

– To tutaj mieszkała Angélique Charvet? – spytał Taillefer.

József i jego matka wymienili spojrzenia.

– Tak – odparł po chwili mężczyzna.

Zdjął maskę, odsłaniając swoją brzydotę: włosy ostrzyżone na jeża, cielece oczy, spuchnięte, chorobliwie zaczerwienione policzki.

– Wyprowadziła się w połowie września – wpadła mu w słowo Mysz. – Miesiąc później to samo zrobiła lokatorka z góry. Korzystamy z okazji i odnawiamy lokal. Dużo na tym tracimy, ale takie życie.

– Angélique Charvet zostawiła jakiś adres?

– Nie, zupełnie nic. Ta szmata nawet nie zabrała swoich rzeczy! Gwarantuję, że nie zobaczy już kaucji.

Fizycznie kobieta była przeciwieństwem syna: ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilogramów, miała proste włosy, wychudzoną twarz, przenikliwe spojrzenie czarnych jak węgiel oczu i donośny głos. Trudno było uwierzyć, że są spokrewnieni.

– A dlaczego policja się nią interesuje? – spytała.

Taillefer udał, że nie usłyszał, i zadał kolejne pytanie:

– Jakim była typem lokatorki?

– Typem zalegającym z opłatami – odpowiedziała Mysz z pogardliwą ironią. – Musieliśmy się ciągle upominać o swoją należność.

– Mieszkała sama?

– Raczej tak – odpowiedział József. – W każdym razie zawsze, kiedy wpadałem, żeby coś naprawić, była sama.

Taillefer przechadzał się po salonie.

– To jej meble?

– Nie, mieszkanie jest do wynajęcia umeblowane. Tylko książki są jej.

Podszedł do biblioteczki i podniósł plastikową folię. Powieści współczesne, klasyka, eseje, książki o sztuce, medycynie, pisma o modzie. Angélique najwyraźniej dużo czytała i miała szeroki zakres zainteresowań. Na półkach zauważył kilka fotografii w ramkach. Artystyczne selfie pokazujące pięćdziesiąt twarzy Angélique – od blondynki z prostą grzywką po dziewczynę z kasztanowym zmierzwionym bobem. Ewidentna manifestacja ego, współczesny narcyzm. Samotna kobieta, która woli żyć wyobrażeniem samej siebie, zamiast przeglądać się w oczach innych. Potrafi przybierać różne tożsamości. Zmienna jak kameleon. Niebezpieczne...

Podszedłszy do okna w głębi mieszkania, zauważył dziurę po zbitej szybie, prowizorycznie załataną plastikową torbą na śmieci. Nachylił się i zobaczył, że z żaluzji wyrwano dwie listewki.

– Ktoś się tu włamał?

– Chuligani, pełno ich tutaj... – rzuciła Monika Vigazs.

– Kiedy to się stało?

– Myślę, że po wyprawdzie Charvet. Albo sama to zrobiła i nic nie powiedziała.

– Zostawiła jeszcze coś w mieszkaniu? Ubrania? Dokumenty?

– Przede wszystkim zostawiła cholerny burdel, świnia jedna! – jęknęła właścicielka, pociągając nosem. Wytarła się rękawem i pokazała palcem dwa kontenery po drugiej stronie ulicy. – Mieszkanie było nieposprzątane, z kosza na śmieci aż się wysypywało.

Taillefer zmarszczył brwi.

– To znaczy... Dopiero dziś państwo posprzątali?

– Zaczęliśmy przedwczoraj i to jeszcze nie koniec. Ale nie zabierali na razie sortowanych śmieci, dni świąteczne... Wszystkie pudła nadal tam są.

Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Taillefer wyszedł z budynku, przebiegł przez ulicę i otworzył jeden z pojemników. Wyrzucił zawartość na ziemię i zaczął

dokładnie przeglądać. Niewdzięczna praca, ale przyłożył się do niej, bo nie za bardzo wiedział, czego właściwie szuka.

W śmieciach Angélique Charvet nie było niczego wyjątkowego. Nie udawała ekolożki, chętnie zamawiała rzeczy przez internet. Były tam pudełka i kartony modnych marek – Sézane, Rouje – ale też kilka puszek po piwie Corona, plastikowych butelek, baterii, styropianowych opakowań. Po dziesięciu minutach grzebania zrobił przerwę. Lodowate powietrze mroziło mu płuca, dreszcze przeszywały ciało. Dla odmiany czoło paliło go tak, że miał wrażenie, jakby topniał mu mózg. Zaczął wątpić w sens tych poszukiwań, ale potarł ręce, żeby dodać sobie otuchy, i odważnie wrócił do pracy. Dokładnie przejrzał i odłożył na bok wszystkie ważniejsze papiery, a więc pasek wynagrodzenia, pokwitowanie zapłaconego czynszu, rachunki, wyciągi bankowe z Crédit Mutuel. Te ostatnie świadczyły o chwiejnej, ale dość przeciętnej sytuacji finansowej.

Jego uwagę zwrócił podarty list, taki, jakie ludzie wysyłali do siebie, zanim technologia cyfrowa zdominowała ich życie. Wyrzucił niedopałek, ukląkł i zaczął składać podartą kartkę. Był to długa epistoła, którą wymęczył do Angélique niejaki Corentin Lelièvre, najwyraźniej śmiertelnie w niej zakochany. Taillefer przymrużył oczy, rozszyfrowując staranne pismo. Facet musiał bardzo cierpieć. Rozwlekłym stylem opisywał mękę odrzucenia przez tę, którą pokochał. Błagał pielęgniarkę o jeszcze jedną szansę. Z mieszaniną niesmaku i współczucia Taillefer wsunął list do kieszeni. Może się mylił, ale nie wyobrażał sobie Angélique Charvet z tym zagubionym mięczakiem, pisarzyną od siedmiu boleści.

Wstał, otrzepał się z kurzu i wsadził śmieci z powrotem do kontenera. Wiedział, że nic już nie znajdzie. Rano w pociągu sprawdzał aktywność Angélique w internecie, była bardzo ograniczona. Według Nory Messaoud Angélique miała konto na Instagramie, ale najwidoczniej je usunęła.

Ptaszek odleciał.

Taillefer podniósł z ziemi ostatnie pudło. Chciał je wrzucić do kontenera jak piłkę do kosza, ale się nie udało. Pudełko odbiło się od krawędzi i wylądowało na ziemi. Podnosząc je, zobaczył plastikowy pasek. Najpierw pomyślał, że to zużyty

test na covid, ale po chwili zorientował się, że się pomylił. To był test ciążowy. Pozytywny.

Zamyślony, zamknął klapę kontenera. Porządnie zdezynfekował ręce żelem; nie ma teraz czasu na chorowanie. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Pięć lat po zwolnieniu z policji ciekawe śledztwo samo wpada mu w ręce. Na razie trop był niewyraźny, ale znał to uczucie niepewności, gdy niezrozumiałe, splątane obrazy budziły w nim duszę detektywa. Nie bał się, wiedział z doświadczenia, że wcześniej czy później pojawi się to coś, dzięki czemu układanka zacznie nabierać sensu. Ale gdzie szukać brakującego elementu? W mieszkaniu Stelli Petrenko? Z delikatności nie przeszukał go zbyt dokładnie, musi to naprawić.

3

Louise włączyła kierunkowskaz i wjechała w rue de Bellechasse. Pierwszy raz od dawna widziała tyle wolnych miejsc parkingowych. Nigdy jeszcze Paryż nie wydawał się tak pusty: żadnego turysty, miasto było martwe z powodu epidemii. Ulice wokół kościoła Saint-Thomas-d'Aquin, z resztkami dekoracji świątecznych, wyglądały jak opuszczony przez aktorów plan filmowy. Cinecittà bez statystów.

Zaparkowała samochód na rogu rue Las-Cases, weszła do pustego budynku i wjechała windą na piąte piętro. Spędziła prawie bezsenną noc, sfrustrowana, że jej „śledztwo” stanęło w miejscu. Zmęczona błędzeniem we mgle, zdecydowała się stawić czoło duchowi zmarłej matki. Odkrywanie najmniej kolorowej strony jej życia będzie wymagało odwagi. Konkretnie oznacza to konieczność przeczesań całego mieszkania tancerki i zmierzenia się z ewentualnymi „trupami w szafie”, które prawie każdy skrywa.

Zamknęła drzwi wejściowe na klucz i rzuciła plecak na krzesło. Mimo że parkiet błyszczał od słońca, mieszkanie było lodowate. Louise włączyła ogrzewanie i podkręciła kaloryfery na maksymalną moc. Powiesiła z powrotem na ścianie obraz Sabatiniego. Czekając, aż mieszkanie się nagrzej, napełniła wodą

ekspres do kawy i przygotowała sobie przedłużone espresso. Zadzwoiła do Taillefera. Chciała, żeby jej pomógł, ale nie odebrał. Trudno, nie jest głupia, poradzi sobie sama.

Piła kawę małymi łyčzkami. Zapatrzona w nicość, myślała o życiu matki, o jej sukcesach i rozczarowaniach. Od dziecka wiedziała, że matka ma jeden cel: zostać primabaleriną w Operze Paryskiej. Z perspektywy czasu jego realizacja wydała się Louise źródłem wszystkich frustracji, które zatrwały życie tancerki. Poświęcenie wszystkiego i tysiące godzin intensywne ćwiczeń przyniosły więcej cierpienia niż radości. Stella dość szybko zorientowała się, że wśród tancerek nie jest ani najpiękniejsza, ani najdelikatniejsza, ani najzdolniejsza. Tytuł primabaleriny zdobyła z trudem, głównie dzięki wytrwałości. Louise od dzieciństwa słyszała, jak matka mówiła, że każdy swój sukces „wyszarpała pazurami”.

Tragedia Stelli polegała na tym, że nie chciała być po prostu lubiana, pragnęła być tą wybraną. Święcie wierzyła, że zasługuje na to bardziej niż inni. Ukraina, porzucone korzenie, Marsylia, dziesięciogodzinne treningi każdego dnia, przemęczone ciało, wypadek, rany... Gdy tańczyła, zawsze coś ją bolało. Jej kariera była drogą przez mękę. I po co to wszystko? Kilka machnięć skrzydłami na firmamencie i już trzeba ustąpić miejsca innym, a potem zgasnąć na zawsze.

Gdy matka przeszła na emeryturę, zaczął się jej powolny upadek. Nie pomogły lekcje tańca, które dawała w Ménagierie de Verre. Inne słynne tancerki, Marie-Agnès Gillot, Aurélie Dupont, Sylvie Guillem czy Marie-Claude Pietragalla, umiały wymyślić sobie na nowo, utrzymać się na szczycie. Stelli Petrenko się to nie udało. Zawsze na granicy załamania fizycznego i emocjonalnego, została oszołomiona nagłą pustką. Jak los mógł tak szybko odebrać jej to, co przez lata próbowała mu wyszarpać?

Louise niepokoiła się o matkę, która nie zbudowała niczego trwałego. Od czasu krótkiego związku z Laurentem Collange'em żaden mężczyzna nie pozostał na dłużej w jej życiu. Podczas odwiedzin Louise widziała ją nieszczęśliwą i pełną żalu, coraz bardziej zgorzkniałą.

Najdziwniejsze, że Stella nawet nie była jej biologiczną matką. Była nią flecistka z orkiestry Radia France. Osoba niestabilna, chaotyczna, wielokrotna pacjentka szpitali psychiatrycznych w Niemczech i Holandii. Na początku lat dwutysięcznych mieszkała z ojcem Louise, Laurentem Collange'em, i zaszła w niechcianą ciążę.

Zwlekała z decyzją o jej przerwaniu, aż w końcu bez entuzjazmu postanowiła urodzić. Ciąża okazała się prawdziwą drogą krzyżową, a narodziny dziecka przyspieszyły katastrofę. Dwa tygodnie po pojawieniu się Louise artystka wyjechała do Berlina, porzucając i dziecko, i męża. Przez jakiś czas mieszkała w squacie z aktywistami z grupy Apokalypse, niemieckiego ruchu obywatelskiego nieposłuszeństwa, który walczył z bezczynnością państwa wobec cierpienia zwierząt i zmian klimatycznych.

Wtedy Laurent Collange na zawsze stracił ją z oczu.

Stella zjawiała się w życiu Louise, gdy dziewczynka miała pół roku. Wychowywała ją jak córkę. Nie ukrywała prawdy, ale ponieważ flecistka nigdy się nie pojawiła, żeby zobaczyć dziecko, przestano o niej myśleć i rozmawiać. Aż do pamiętnego dnia w 2010 roku, gdy Laurent Collange odebrał telefon z Holandii z informacją, że jego była partnerka zmarła na raka piersi w którymś z rotterdamskich szpitali. Smutny koniec szarego życia. Ojciec odczekał, aż Louise skończy piętnaście lat, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Historia, mimo że istniała gdzieś w tle i rzucała się cieniem na dzieciństwo i wczesną młodość dziewczyny, nie zmieniła jej uczuć do Stelli Petrenko. Stella była jej matką, innej nie znała. Louise w zeszłym roku pojechała nawet do Rotterdamu, żeby poznać swoją prawdziwą babcię, ale między nimi nie zaiskrzyło, nie miały sobie nic do powiedzenia, żadnych wspólnych wspomnień. Chłód i obojętność Batawów utwierdziły ją w przekonaniu, że korzenie są ważne, ale kocha Stellę, jedyną matkę, mimo wszystkich jej wad.

Wypłukała filizankę nad zlewem i zabrała się do tego, co miała do zrobienia, czyli do przeszukiwania mieszkania. Podobnie jak w serialach kryminalnych, które oglądała w telewizji: zdemontowała spłuczkę w toalecie, sprawdziła klepki podłogowe, zajrzała do wszystkich szuflad, pod sterty ubrań, przejrzała szafy, papiery w biurku, zajrzała do pieca, do wyciągu nad kuchnią, wykręciła żarówki, zbadła sufit, ściany i ścianki działowe, aż...

Zaintrygował ją głuchy dźwięk za ścianką działową we wnęce kuchennej. Udało jej się poruszyć płytkę z opalizującego szkła i między przepierzeniami ujrzała pustą przestrzeń. Zaświeciła komórką. Dwie koperty.

Nie ma tajemnic, których nie odsłoni czas, pomyślała za Racine'em, wsuwając dłoń w szparę i chwytając koperty kciukiem i palcem wskazującym. Pierwsza – sztywna, z szorstkiej białej tektury – zawierała gruby plik banknotów po pięćdziesiąt euro. Louise wyrzuciła je na granitowy blat i szybko przeliczyła. Dziesięć tysięcy euro. Oszczędności? Przyglądając się z bliska kopercie, zauważyła w jednym z rogów pieczęć. Dwie drukowane splecione litery B. Pamiętała je, to było logo galerii Bernarda Benedicka. Może Stella sprzedała mu jeden z obrazów Marca? Ale w takim razie dlaczego właściciel galerii to przemilczał?

W drugiej, mniejszej, kopercie był pendrive.

Louise wyjęła z plecaka laptopa i usiadła przy biurku w salonie. Z obawą podłączyła urządzenie do komputera. Był tam tylko jeden folder, bez tytułu, zawierający około dziesięciu filmików, z których żaden nie trwał nawet trzech minut. Wybrała losowy i już przy pierwszych scenach zasłoniła usta dłonią. Zobaczyła sfilmowaną z daleka matkę, uprawiającą seks z jakimś obcym facetem. Otworzyła następny plik, potem kolejny...

Wszystkie były w podobnym stylu, zmieniali się tylko partnerzy. Louise zmusiła się, by zachować dystans do tego, co właśnie zobaczyła. Pierwszy wniosek: nie były to obrazy przemocy, Stella nie wyglądała na odurzoną narkotykami. Ale nie była to też kolekcja sekstaśm zbieranych przez lata. Po pierwsze, nagrania były stosunkowo nowe, wszystkie pochodziły z ostatnich miesięcy. Po drugie, akcja zawsze odbywała się w tym samym miejscu, na kanapie

w salonie. I po trzecie... filmy były nagrywane z dużej odległości, z pewnością przez teleobiektyw, który musiał być wycelowany w... pokój, w którym właśnie się znajdowała. Zatrzasnęła laptopa. Podniosła oczy. Słońce znikło za warstwą czarnych chmur. W mieszkaniu zapadł mrok. Cholera, ktoś mnie obserwuje, pomyślała Louise. Facet, który sfilmował sceny z jej matką, mógł to zrobić tylko i wyłącznie z miejsca po drugiej stronie ulicy. Podbiegła do drzwi balkonowych, zaciągnęła zasłony i przeniosła się do kuchni. Cholera! Myślała, że jest sprytna, tymczasem to ktoś inny pociągał za sznurki. Ktoś, kto musiał mieć teraz niezły ubaw, obserwując ją przez okno.

Dłuższy czas siedziała bez ruchu. Kto nakręcił te filmy? A przede wszystkim po co? Żeby szantażować matkę? Dlaczego te obrazy miałyby być kompromitujące? Stella zawsze miała wielu kochanków i się z tym nie kryła. Przedłużającą się ciszę przerwał huk windy, którą wezwano gdzieś z dołu. A co, jeśli autor tych nagrań przyjdzie uregulować rachunek? Nie, to było nielogiczne. Mimo wszystko Louise przykucnęła w kącie i nadstawiła ucha. Winda zatrzymała się na piątym piętrze. Cholera!

Usłyszała zbliżające się ciężkie kroki. Ktoś poruszył klamką. Drzwi zadrżały. Ugryzła się w zwiniętą pięść, żeby nie krzyknąć. Co robić?

Znów zapadła cisza, po czym rozległ się metaliczny dźwięk. Facet starał się wyłamać zamek za pomocą narzędzi ślusarskich. Tym razem niebezpieczeństwo było zbyt blisko.

– Pomocy! Pomocy! – zaczęła wrzeszczeć.

Jej krzyk tylko zmobilizował napastnika do szybszego poradzenia sobie z drzwiami. Teraz starał się je wyłamać. Dwa silne kopnięcia rozchwiały framugę, trzecie wybiło zamek. Louise ukryła się pod blatem w kuchni. Po ostatnim kopniaku drzwi runęły i ukazała się sylwetka mężczyzny.

Mathias Taillefer.

11

Hikikomori

*Jak się nie ma prawdziwego życia, żyje się mirażami. To
zawsze lepsze niż nic.*

Anton Czechow

1

– Kurwa, ale mnie pan przestraszył! – wrzasnęła Louise, wychodząc z ukrycia.

– To ja się przestraszyłem! – odparł Taillefer. – Dlaczego zaczęłaś krzyczeć?

Wszedł do pomieszczenia, spojrzął na wyłamane drzwi i bezskutecznie zaczął je wstawiać na miejsce.

– Co pan tu w ogóle robi? – zapiszczała dziewczyna.

– Uspokój się.

– Dlaczego pan nie odbierał?

– Zobacz, mam rogaliki – powiedział, machając jej przed nosem papierową torebką, którą przytargał z Aulnay.

– Niech pan je sobie wsadzi w dupę! – Louise poszła do łazienki i zatrzasnęła drzwi.

Taillefer westchnął. I pomyśleć, że są ludzie, którzy na co dzień muszą znosić kaprysy nastolatków. Trzeba naprawdę być masochistą. Ogrzał ręce nad kaloryferem. Lekarstwa zaczęły działać. Czuł się dużo lepiej. Bardziej bojowo. Chemiczny cud. Pozwolił sobie nawet na kawę, żeby pozbyć się resztek otępienia. Gdy wkładał kapsułkę do ekspresu, jego wzrok padł na stertę pięćdziesiątek euro

na blacie. Skąd ta gotówka? Zauważył szparę w ścianie, znalazł kopertę z inicjałami BB i od razu skojarzył ją z Bernardem Benedickiem. Mała wyprzedziła go w przeszukiwaniu mieszkania.

– Hej, wracaj! Mam ci coś do powiedzenia! – zawołał.

Cisza. Podłączył komórkę do drukarki wi-fi i wydrukował zdjęcie Angélique Charvet. Czarno-biała fotografia pielęgniarki ściągnięta ze strony LinkedIn. Tylko tyle znalazł w internecie.

Louise zwlekała jeszcze dobre trzy minuty, zanim nadąsana wyszła z łazienki. Żeby ją udobruchać, Taillefer opowiedział ze szczegółami, jak podążając tropem Angélique Charvet, wylądował w Aulnay-sous-Bois.

– Może widziałaś ją kiedyś u matki? – spytał.

Louise pokręciła głową. Taillefer zrozumiał, że dziewczyna nadal jest w szoku.

– Znalazłaś jeszcze coś?

– Pendrive’a.

Przyniosła laptopa i włączyła jeden z filmów.

Taillefera zatkało. Zrozumiał, że miała prawo być roztrzęsiona, gdy się zjawił.

– Inne filmiki są takie same, tylko partnerzy się zmieniają – poinformowała go.

Taillefer wyjął komórkę i odruchowo pstryknął trzy zdjęcia scenom z ekranu. Podrapał się po głowie. Śledztwo przybierało nieoczekiwany obrót. Szantaż... Pachniało obyczajówką. Nie lubił takich spraw. Ale najbardziej nurtował go w tych filmach kąt, pod jakim były nakręcone.

Zerwał się z krzesła i wybiegł na taras. Przyjrzał się odbiciu światła w szybach naprzeciwko. W jednym z okien ktoś właśnie zasunął rolety. W tym samym miejscu, w którym wczoraj po południu tak silnie błysnęło.

– Zostań tu – polecił Louise. – Idę złożyć wizytę naszemu podglądaczowi.

– Nie ma mowy, idę z panem.

– Nie, to może być niebezpieczne. Nie wiadomo, na jakiego szaleńca możemy trafić...

– Przecież pan mnie obroni – przerwała mu, pokazując ruchem brody sig-sauera tkwiącego w kaburze.

Taillefer skrzywił się, ale nie chciał tracić czasu na przekonywanie jej. W końcu coś się dzieje! Czuł się rześko, był gotów do walki. Zbiegł po schodach, przebiegł sprintem przez ulicę i zaczął naciskać wszystkie guziki na domofonie budynku naprzeciwko, powtarzając groźne zakłęcie: „Otwierać, policja!”.

2

W końcu drzwi wejściowe ustąpiły. Z Louise depczącą mu po piętach opuścił windę i pobiegł na piąte piętro, gdzie za uchylonymi drzwiami czekała kobieta, patrząc na nich podejrzliwie.

Taillefer zauważył nazwisko na dzwonku: *Carine Leblan*. Rude farbowane włosy obcięte na kwadratowo, zmęczona pięćdziesięcioletnia kobieta w za ciasnej puchowej kurtce. Na szyi miała zawiązaną chustkę, najwyraźniej szykowałą się do wyjścia.

– Pani Leblan?

Wydawała się przestraszona.

– Przychodzi pan z powodu Romualda, prawda? – spytała drżącym głosem. – Co znów zrobił?

Taillefer chciał wejść do środka.

– Pozwoli pani?

Nie czekając na odpowiedź, wślizgnął się do korytarza, który prowadził do smutnego staromodnego saloniku.

– To pani mieszkanie? – spytał.

– Moje. Czego pan właściwie chce? – Carine Leblan zdjęła chustkę i rozpięła kurtkę.

– Czy to pani zrobiła te zdjęcia? – Podsunął jej niespodziewanie pod nos ekran telefonu.

– Obrzydliwe! Oczywiście, że nie ja!

– Ale przecież to widok z jednego z pani okien. Wie pani, kto je zrobił?

– Pewnie mój syn, Romuald... – powiedziała i westchnęła.

– Pani syn? Ile on ma lat?

– Niecałe dwadzieścia.

– On tu jest?

– Tak, jest w swoim pokoju, ale...

– Chcę z nim natychmiast porozmawiać.

Kobieta znów westchnęła.

– Zanim zacznie pan go przesłuchiwać, musi pan poznać sytuację.

Carine Leblan wyglądała na wyczerpaną. Każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku. Powłokła się do kuchni i włączyła czajnik. Louise i Taillefer poszli za nią. Taillefer już otwierał usta, żeby zadać jakieś pytanie, ale Louise wymownym spojrzeniem nakazała mu milczenie.

– Napiją się państwo herbaty?

– Chętnie – odpowiedziała Louise.

– Pan też?

Taillefer burknął pod nosem coś, co Carine Leblan zinterpretowała jako „tak”, bo postawiła na stole trzy filiżanki.

– Mój mąż był nauczycielem francuskiego w gimnazjum w Hauts-de-Seine – zaczęła ze wzrokiem wbitym w gotującą się wodę. – Jak wiele osób zatrudnionych w szkolnictwie źle znosił system przydziału stanowisk i obojętność ministerstwa edukacji na losy nauczycieli. Przez ostatnie dziesięć lat nie mógł sobie znaleźć miejsca i był w stanie skrajnego wyczerpania. – Carine Leblan mówiła słabym głosem, miała ściśnięte gardło. – Czuł się jak gówno i ciągle powtarzał: „Jak mogło do tego dojść!”. Kiedyś był działaczem w partii socjalistycznej, teraz zerwał z dawnymi kolegami, oszołomiony ekscesami lewicy. Zagubił się kompletnie,

bardzo przeżywał rozłam w naszym społeczeństwie. Nie rozumiał, czemu ludzie przestali ze sobą rozmawiać, żyć, wspólnie rozwiązywać problemy.

Lampka kontrolna czajnika zgasła. Taillefer zaczął się niecierpliwić. Carine wyjęła z kartonowego pudełka trzy torebki i włożyła je do kubków.

– W styczniu dwa tysiące dwudziestego roku, to był poniedziałek rano, mąż po kłótni z jakimś uczniem podpalił się na podwórku szkolnym. Sprawa się rozniosła, bo te małe szuje wszystko sfilmowały i udostępniły w sieci. To zniszczyło syna. Od śmierci ojca nie opuścił swojego pokoju.

Louise wytrzeszczyła oczy. Taillefer pozostał niewzruszony.

– Syn nigdy nie był specjalnie towarzyski. Od dawna spędza całe dni przed ekranem. Jest zdolny, ale przez tę swoją pasję zrobił wiele głupstw. Zresztą pewnie już pan wie, że jest notowany.

Taillefer przytaknął, ukrywając zaskoczenie.

– W klasie maturalnej zhakował Parcoursup – ciągnęła Carine – internetowy system rekrutacji na wyższe uczelnie. Chciał zaimponować pewnej dziewczynie i ułatwić jej dostanie się tam, gdzie chciała. – Zalała torebki wrzątkiem i mówiła dalej z goryczą: – Wtedy wszystko się posypało. Romuald rzucił studia. Nie ma żadnych znajomych, jest kompletnie sam. Od dwóch lat spędza całe dni zamknięty w pokoju, śpi, ogląda seriale i surfuje po sieci. Czasem przez cały dzień nie odsłania okien. Może nie kąpać się przez tydzień, sika do plastikowej butelki. Oczywiście odmawia pomocy psychologa. Jestem u kresu sił. Boję się, że nigdy nie wróci do normalności.

Louise była zafascynowana tą opowieścią. Taillefer pozostawał sceptyczny. Od lat czytał o hikikomori, współczesnych pustelnikach z Japonii, dobrowolnie izolujących się od społeczeństwa. Za każdym razem myślał to samo: to wina zbyt wyrozumiałych rodziców.

– Dlaczego pani nim porządnie nie potrząśnie? – spytał, dmuchając na gorącą herbatę.

– Przemoc, zawsze... – Carine Leblan westchnęła.

– Niech go pani wyrzuci z domu i odetnie mu środki finansowe. – Taillefer się rozkręcał. – Zobaczy pani, jak szybko się zresocjalizuje. Tak czy inaczej, to, co nam pani powiedziała, nie zwalnia go od przesłuchania.

– Niech go pan przesłuchuje, tylko na spokojnie. A, jeszcze jedno: sami zobaczycie, że Romuald nienawidzi policji.

3

Taillefer pchnął drzwi do kryjówki geeka. Miał wielką ochotę zrobić z nim porządek. Pierwsza niespodzianka: pokój był ogromny. Dzieciak najprawdopodobniej zaanektował największe pomieszczenie w całym mieszkaniu, dwadzieścia pięć metrów kwadratowych z fantastycznym widokiem na dachy Paryża.

Druga niespodzianka: sam Leblan. Taillefer oczekiwał sylwetki napakowanego koszykarza, tymczasem Romuald był drobny i w ogóle nie wyglądał na swoje niemal dwadzieścia lat. W dżinsowej koszuli, spod której widać było T-shirt z nadrukiem grupy Foo Fighters, przypominał gburowatego gimnazjalistę. Pryszczaty nastolatek w okularach, ostrzyżony jak od garnka, czapeczka z daszkiem, chytre spojrzenie okrągłych oczu. Na szczęście chyba niedawno się umył, no i Taillefer nie zauważył nigdzie plastikowej butelki z moczem.

– Cześć, Romualdzie, jestem Louise – przedstawiła się jego towarzyszką.

Leblan potarł oczy. Miał klapki na bosych stopach. Siedział przed trzema wielkimi ekranami ustawionymi wokół MacBooka Pro, całego pokrytego różnymi naklejkami. Musiał słyszeć rozmowę matki z Tailleferem, ale zaskoczył go widok dziewczyny.

– A ja jestem z policji – oznajmił Taillefer.

Młodzi ludzie spoglądali na siebie z zainteresowaniem, a Taillefer skorzystał z okazji, żeby przejść się po pokoju. Na ścianach wisiały plakaty z filmów, które znał: *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*, *Superglina* – i innych, całkowicie mu

obcych: *Prestiż*, *Zombieland*. Półki ugięły się pod książkami: komiksy, manga, powieści fantastycznonaukowe, książki o magii i czarach, o potędze umysłu. Policjant chorobliwie nienawidził nieporządku, więc pokój, mimo że przestronny, zaczął go przytłaczać. Panował w nim niemożliwy bałagan, zbyt wiele rzeczy rzucono byle jak, tu gitarę Gibson Firebird, tam syntezator Roland Juno, po drodze potknął się o wyszczerbioną figurkę Grendizera. Skąd chłopak brał na to wszystko forszę?

– Śmierdzi tu jak w norze! – rzucił Taillefer, otwierając okno.

Do pokoju wpadło lodowate powietrze.

– Hej, zimno! – jęknął Romuald.

– Dobrze ci to zrobi – powiedział Taillefer. – Przewietrzy mózg i poprawi pamięć, zobaczysz!

Podszedł do chłopaka i poprawił mu czapkę.

– W pomieszczeniach zdejmujecie nakrycie głowy, kolego. Nie nauczyli cię tego w szkole?

– Nie, tak mi jest dobrze! – wrzasnął Romuald, jakby właśnie dostał w twarz.

Louise rzuciła Tailleferowi pełne wyrzutu spojrzenie, ale on jakby tego nie widział.

– Sprzątasz tu czasem? – prowokował dalej, pokazując opakowania wysypujące się z kosza na śmieci. Były tam papierki po cukierkach, kubeczki KFC, opakowania po kebabach, puszki po napojach gazowanych. Bez skrupowania zajrzał do szuflad w biurku.

– Hej, nie ma pan prawa grzebać w moich rzeczach osobistych!

– Zamknij się, palancie!

– Po co tu przychodzisz i mnie wkurzasz, cholerny glino?! – wydarł się chłopak.

– A to, co to jest? – zapytał Taillefer, wskazując umieszczoną na statywie lunetę, która stała przy oknie. – Oglądasz gwiazdy? Czy sąsiadki?

– Ja...

– To ty nagrałeś te filmy, gówniarzu?! – ryknął, podtykając mu pod nos telefon.

Romuald Leblan odsunął się od Taillefera i po chwili zastanowienia radykalnie zmienił strategię. Spokojny ton i przyznanie się do winy bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Tak, ja, i co z tego? U siebie w domu mogę robić, co chcę.

– Znałeś ją, Stellę Petrenko?

– No pewnie. Od kiedy tu mieszkamy...

– Dlaczego chowała u siebie pendrive z tymi nagraniami? Szantażowałaś ją?

– Ha, ha, wręcz przeciwnie! – odparł chłopak i roześmiał się szyderczo.

– Wyjaśnij.

– To ona mnie prosiła, żebym ją filmował.

– Kłamca! – wykrzyknęła oburzona Louise.

Taillefer pomyślał, że się przesłyszał.

– O czym ty mówisz?

– To był jej sposób, żeby zarobić trochę forsy. Wybierała żonatych facetów, takich z prowincji albo byłych fanów, sprowadzała ich do siebie i nalegała na seks na kanapie w salonie.

– A ty po drugiej stronie ulicy udawałeś Kubricka...

– O ile wiem, Kubrick nigdy nie nakręcił pornosa, ale to dobre porównanie.

– Potem żądaliście od nich pieniędzy, grożąc wrzuceniem filmu do internetu...

– Wreszcie zrozumiałeś, dziadku. – Romuald odzyskał pewność siebie.

– To obrzydliwe! – stwierdził Taillefer.

– Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę! – dodała Louise.

– Bez przesady, nikomu nic się nie stało.

– Właśnie że się stało. Stella nie żyje.

Romuald wrócił na fotel i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

– Jaki to ma związek? Wypierdoliła się z balkonu.

– A może ktoś ją popchnął? – podsunął Taillefer, wskazując palcem na panoramę miasta za oknem. – Tego wieczoru, gdy to się stało, nie zauważyłeś niczego dziwnego?

– Nie. Zresztą już ktoś mnie o to pytał.

– Kto?

– Jakaś glina, powinien pan to wiedzieć, nie? Chyba Senegalka. Rozmawiała z mieszkańcami następnego dnia po wypadku.

Fatoumata Diop, komisarz z Trzeciego Wydziału Śledczego lewobrzeżnego Paryża.

Taillefer podszedł do okna i zapalił papierosa. Dzieciak go intrygował. Siedział na tym swoim krześle jak pasza na tronie. Dzięki internetowi wcale nie był odcięty od świata. Odizolował się od ludzi dla własnego komfortu. Taillefer pomyślał o swoim dzieciństwie, które było dokładnym przeciwieństwem. Jak na negatywie fotograficznym. Montpellier, dzielnica de la Paillade. Ile śród, ile sobót, ile ferii szkolnych spędził z ojcem na budowach, kiedy nie miał nawet czternastu lat? Całe popołudnia harowania w palącym słońcu dla tych kilkudziesięciu franków, które przynosił do domu. Bolesne wspomnienia, przez które nienawidzi nierobów typu Leblan.

– Któryś z szantażowanych facetów mógłby chcieć się zemścić – powiedziała Louise.

– Nieee, niemożliwe, to byli frajerzy, a my żądaliśmy małych kwot, tysiąc pięćset, dwa tysiące euro... Zawsze płacili.

– Ale wyślesz mi ich listę mailem – zażądał Taillefer i na karteczce samoprzylepnej zapisał swój adres. – Co robiłeś w noc śmierci Stelli?

Romuald westchnął, bawiąc się swoim etui od słuchawek.

– Już to opowiedziałem, człowieku.

– To opowiedz jeszcze raz, matole.

– Oglądałem mecz w telewizji. Belgia kontra Czechi.

– Są ciekawsze mecze.

– Moja matka jest Belgijką. Mam podwójne obywatelstwo. Poza tym Czerwone Diabły są supersilne.

– Mają duży potencjał, ale nigdy nie wygrywają, tak?

Romuald się obruszył.

– Przyszedł pan tu gadać o sporcie?

– O której kończy się mecz? – Taillefer nie ustępował. – Dwudziesta druga trzydzieści... Dwudziesta trzecia... Co robiłeś potem?

– Grałem w internecie, miałem słuchawki na uszach do czasu, aż przyjechały radiowóz i karetka, robiły straszny hałas.

Taillefer zgniótł niedopałek podeszwą i wyrzucił go przez okno. Przebiegły, inteligentny, umie manipulować... czuł, że ten dzieciak jest ważną częścią ich układanki. Jeszcze nie wycisnął z niego wszystkiego.

– Znasz tę dziewczynę? – spytał nagle, wyciągając prawie rozładowany telefon.

– Niezła dupa! – Romuald znów zaczął się popisywać. – Jak się nazywa?

– Angélique Charvet. Znasz ją?

– Była tam, kiedy pogotowie zabierało tego malarza, który zmarł na covid, Marca Pantaniego...

– Sabatiniego – poprawiła Louise.

– No tak. Długo rozmawiała z jednym z sanitariuszy, wyglądał jak kompletny idiota.

Jak zawsze delikatny.

– To ona ich wezwała?

– Możliwe, nie wiem.

– A potem jeszcze ją widziałeś?

– A, tak. To dziwne... Wróciła tam jeszcze tego samego wieczoru.

– Tam, to znaczy gdzie?

– Do mieszkania tego malarza. Rozłożyła się na tarasie, jakby była u siebie.

– Naprawdę? – spytał powątpiewająco Taillefer.

– Naprawdę, widziałem, jak pije wódkę z gwinta.

– Czemu nie powiedziałeś tego śledczym?

– To nie moja sprawa.

– Może ta Charvet była dziewczyną Sabatiniego... – rzuciła Louise.

– Na pewno nie! – Romuald roześmiał się drwiąco.

– Skąd jesteś taki pewny?

– Sabatini był gejem. Sprowadzał czasami facetów, i to nie tylko po to, żeby im pokazywać obrazy. Nigdy nie widziałem tam żadnej dziewczyny. A nie można powiedzieć, że bym go nie obserwował.

Louise i Taillefer spojrzeli na siebie porozumiewawczo: to nie zgadzało się z tym, co powiedział Bernard Benedick. Jego słowa z tej nowej perspektywy stawały się niejasne. Do niego też trzeba będzie wrócić.

– No to jak, dziadku, jestem aresztowany? – spytał Romuald drwiąco.

Taillefer westchnął.

– Nie mam współczucia dla takich małych gnojków jak ty. Twojej matce pęka serce. Powinieneś się wstydzić, że przysparzasz jej cierpienia! Zamiast się nią opiekować, powoli ją zabijasz.

– Okej, boomer! Kobiety już nie chcą, żeby się nimi opiekować. Witaj w dwa tysiące dwudziestym drugim roku!

– Nie rób ze mnie frajera, dupku!

– Bo co?

– Bo rozwalę ci łeb.

– Ha, ha! Wywalą pana jeszcze tego samego dnia.

Taillefer schylił się i prawie dotknął czołem jego czoła.

– Od lat nie jestem gliną, dupku. Tylko tacy frajerzy jak ty dają się nabrać. Połamie ci kości, jeśli tylko będę miał ochotę.

– Buuu, boję się.

Louise postanowiła zainterweniować.

– Chodź, Mathias, wychodzimy!

Ale Taillefer złapał Romualda za koszulę.

– Zombie pierdolony! – krzyknął i rzucił nim jak workiem w drugi kąt pokoju.

12

Place de l'Étoile

Człowiek jest przede wszystkim tym, co ukrywa.

André Malraux

1

Wczesne popołudnie

Trudno było poznać place de l'Étoile, bo od trzech tygodni opakowany w srebrno-błękitne płótno Łuk Triumfalny stał obwiązany czerwonym sznurem jak paczka. Pośmiertna instalacja artystów Christa i Jeanne-Claude budziła wśród paryżan kontrowersje, ale również powszechną ciekawość.

Małe autko Louise wtoczyło się na plac od strony avenue de Friedland. Dziewczyna wcisnęła pedał w podłogę, starając się płynnie włączyć do ruchu wokół Łuku. Plac, na który wjeżdżały samochody z dwunastu szerokich alei, uchodził za najbardziej niebezpieczne rondo we Francji.

– Uważaj! – zawołał Taillefer. – Jakiś kretyn wjeżdża ci w tyłek.

Za każdym razem, kiedy się tu zapuszczała, Louise miała wrażenie, że wchodzi na szafot. Traciła orientację, myliły jej się nazwy alei, nie wiedziała, która to Wagram, która Hoche, Foch, Marceau... Nazwiska symbole odległych napoleońskich czasów zarówno jej, jak i innym paryżanom kojarzyły się obecnie głównie z widokiem Żółtych Kamizelek dewastujących Łuk. Rana była wciąż otwarta, ale dziś pomnik odzyskał rumieńce. Zimowe słońce odbijające się od

powierzchni srebrnej tkaniny sprawiało, że wyglądała jak falujące morze. Owinięty nową szatą monument wydawał się żywą istotą.

– Uważaj na autobus, jedzie jak szalony. Zmień pas. Gdzie mieszka ten Benedick?

– Jego asystentka powiedziała, że przy avenue Kléber pod numerem szesnaście, ale mógł już wyjechać na lotnisko.

– Jedź szybciej!

– Mathias, wciskam gaz do samej dechy!

Taillefer kręcił się nerwowo, nie umiał ukryć zniecierpliwienia. Louise usiłowała się skoncentrować. Na tym rondzie obowiązywały inne zasady. Samochód, który na nie wjechał, musiał ustąpić tym, które chciały dołączyć. Louise po wizycie w mieszkaniu przy rue de Bellechasse poczuła się strasznie zmęczona. Zaczęła mrugać. Zakręciło jej się w głowie. Mnożące się pasy, agresywne trąbienie, źle oznakowana droga...

– Uwaga!

Ni stąd, ni zowąd pojawił się skuter i zajął jej drogę. Prawo dżungli. Louise wpadła w panikę i zrobiła błąd. Wyprzedzała prawą stroną jakąś kolorową furgonetkę, żeby jak najszybciej zjechać z placu, ale malutki samochodzik wpadł w poślizg na śliskiej jezdni i kierowca furgonetki zatrafił wściekle. Taillefer dostał szału, opuścił szybę i zaczął mu wygrażać pięścią.

Louise pomyślała, że to miłe mieć obok siebie kogoś, kto staje w twojej obronie, nawet jeśli nie masz racji. Jeszcze bardziej polubiła Taillefera.

– To on, tam!

– Kto?

Niczym rozbitkowie na zniszczonej tratwie uciekli z burzy panującej na place de l'Étoile. Budynek numer 16 przy avenue Kléber znajdował się dokładnie naprzeciwko ogromnego szklanego zadaszania hotelu Peninsula.

– Tam, w tym aucie, to Bernard Benedick – powtórzyła Louise.

Mathias zmrużył oczy. Faktycznie jakiś facet wsiadł do taksówki Club Affaires, kierowca pakował do bagażnika jego walizkę. Louise przyspieszyła i zahamowała przed mercedesem, blokując mu drogę.

Taillefer wciągnął na ramię starą opaskę z napisem *Policja*, którą odszukał rano wśród swoich rzeczy. To zawsze działało. W gorączkowej akcji pozory liczyły się tak samo jak fakty. Nie musiał nawet pokazywać legitymacji. Wystarczyło wymachiwanie otwartym portfelem i pewny głos:

- Policja, proszę wyłączyć silnik!
- Ale...
- Proszę wysiąść z samochodu, panie Benedick.
- Spóźnię się na samolot!
- Nie spóźni się pan, jeśli szybko odpowie pan na kilka pytań. Wszystko zależy od pana.

2

Siedzieli na tarasie małej pobliskiej kafejki. Bernard Benedick spoglądał niespokojnie na swojego nautilusa. Taillefer i Louise zajęli miejsca naprzeciwko niego i od pięciu minut milczeli, wywierając presję. Taillefer nie chciał rozmawiać przy samochodzie, zmusił Benedicka, żeby usiedli i coś zamówili.

- Dzwonię do adwokata! – rzucił właściciel galerii.
- To najprostsza droga, żeby spóźnić się na samolot – odparł Taillefer. – A nie sądzę, żeby w ciągu dnia było dużo lotów do San José.
- Ten jest jedyny – przyznał Benedick.
- Koniec grudnia to doskonały moment, żeby wybrać się do Kostaryki, prawda? Początek pory suchej...
- Dość tego, niech pan zadaje pytania!

Taillefer zagrał pierwszą kartą. Wyjął z kieszeni kopertę z dziesięcioma tysiącami euro i rzucił ją na stół.

– Może mi pan wyjaśnić, co to za pieniądze? – spytał.

Benedick, złapany na gorącym uczynku, przełknął ślinę. Czuł się podle.

– To... To jest część kwoty, którą wręczyłem narzeczonej Marca Sabatiniego.

– Z jakiej okazji?

– Kupiłem od niej trzy obrazy.

– Dlaczego powiedział pan „część”?

– Przyszła do mnie z trzema ślicznymi małymi obrazami. Zaproponowałem dziesięć tysięcy za każdy.

– Gotówką. Świetny sposób, żeby nie płacić podatków.

– Dobra, jest pan z policji kryminalnej czy gospodarczej?

– Spokojnie, panie Benedick.

Właściciel galerii odwrócił wzrok i spojrzał na oblane słońcem fasady domów naprzeciwko.

– Mam długą listę oczekujących na dzieła Marca – powiedział. – Od kiedy umarł, ich ceny się potroiły. Nie mogłem przegapić takiej okazji.

– Dlaczego jego obrazy mają takie powodzenie?

– Bo kolekcjonerzy są jak owce, idą stadem.

– A poza tym?

– Sabatini maluje wciąż ten sam obraz, ale niewielu malarzom udało się oddać strach tak jak jemu.

– Czego się według pana bał?

Benedick wzruszył ramionami.

– Samotności, śmierci, tego, że Francis Lalanne wróci na scenę... Skąd mam wiedzieć?

– A te oczy bez tęczówek i źrenic, puste, żywe jak srebro?

– To iryd – poprawił Benedick. – Wielu artystów używało sztuczki z pustymi oczami, choćby Modigliani, ale też Sean Lorenz...

– Czy to jest narzeczona Sabatiniego? – spytał Taillefer.

Wyjął telefon, żeby pokazać zdjęcie Angélique Charvet, ale zauważył, że rozładowała się bateria. Wykorzystał więc wydruk zdjęcia z LinkedIn.

– Oczywiście. Dziwna dziewczyna. Nieuchwytna... Trudno jej przyczepić jakąś etykietę.

– Wie pan, gdzie można ją znaleźć?

Benedick otworzył szeroko oczy.

– Skąd miałbym wiedzieć? Widziałem ją raz w życiu.

– Angélique Charvet nigdy nie była narzeczoną Sabatiniego – powiedział Taillefer.

Benedick znów wzruszył ramionami.

– Sabatini był gejem – dobił go Taillefer. – I myślę, że pan o tym wiedział.

– Hej, mamy rok dwa tysiące dwudziesty pierwszy, staruszkule! – zadrwił Benedick. – Bycie gejem to nie grzech.

Dopił szybko swoje espresso. Nagle jakby zorientował się, że Taillefer nic mu nie może zrobić.

– No, muszę złapać samolot. Jeśli pan chce, może pan na mnie nasłać tych urzędasów z wydziału podatkowego, ale coś mi mówi, że pan tego nie zrobi.

3

Louise ścisnęła filiżankę z kawą obiema rękami, żeby się rozgrzać. Zmęczenie znikło. Była spięta jak nigdy. Kilka godzin wystarczyło, żeby sprawa śmierci jej matki ukazała się w zupełnie innym świetle. Jak kolorowe kwadraty w kostce Rubika, rozproszone informacje wskoczyły nagle na swoje miejsca. W trakcie intensywnej dyskusji opracowali z Tailleferem scenariusz ostatnich dni życia Stelli.

Angélique Charvet, pielęgniarka na zastępstwie, która była w ciąży ze swoim pierwszym dzieckiem, przychodziła pod koniec lata, żeby zmieniać Stelli opatrunki. Dwudziestego ósmego sierpnia wezwała pogotowie do Marca Sabatiniego, przechodzącego bardzo ciężko covid. Później wróciła do pracowni, wyniosła trzy obrazy i sprzedała je Benedickowi, podając się za narzeczoną malarza. Część pieniędzy dała Stelli, a potem zniknęła z resztą. A w międzyczasie Stella zginęła.

Historia miała z pewnością duże luki, ale wszystko wskazywało na to, że tajemnicza Angélique była kluczowym elementem tej skomplikowanej łamigłówki.

– Nareszcie złapaliśmy sensowny trop! Musi pan przekonać kolegów, żeby przesłuchali Charvet.

Taillefer nie był tak entuzjastyczny.

– Możemy sami spróbować ją znaleźć – zasugerował.

– Jak? Przecież zniknęła.

– Nie wiesz, jak działa policja. Nawet nie zaczną jej szukać.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Może po świętach wznowią śledztwo, ale to będzie trwało miesiące. Jesteśmy we Francji, to kraj z największą biurokracją na świecie, jak u Kafki.

– Jeśli nie chce pan iść ze mną na policję, pójdę sama – oznajmiła Louise, wstając.

Taillefer westchnął ciężko.

– To strata czasu, ale mogę pójść z tobą, żebyś uniknęła czekania w nieskończoność.

Zostawił na stoliku banknot i wyszedł za Louise.

Słońce migotało między gałęziami platanów. Mathias zatrzymał się i wystawił twarz ku promieniom, jakby jego organizm był baterią działającą na energię słoneczną.

– Chcesz, żebym poprowadził? – zapytał, wskazując na samochód.

– Nie, dam radę.

Wcisnął się na miejsce pasażera, wciąż z tym nieprzyjemnym wrażeniem, że wsiada do dziecięcej zabawki.

– Najlepiej pojechać na komisariat w czternastej dzielnicy – stwierdził po zastanowieniu. – To na avenue du Maine, pod numerem sto czternaście.

– Może pan wprowadzić adres do GPS-u? – poprosiła Louise, przyczepiając komórkę do przedniej szyby.

Taillefer wykonał polecenie. Kiedy samochód podskakiwał na bruku avenue Marceau, powiedział:

– Zadzwoń do Fatoumaty Diop, komisarz z Trzeciego Śledczego, ona prowadziła tę sprawę. Zapisałem jej numer.

Wyjął komórkę.

Taillefer rozmawiał, a Louise zagłębiła się w myślach. Oczy zamykały jej się same, jakby powieki jej się kurczyły. Znow ten nagły spadek energii... Od naleśnika, który zjadła poprzedniego dnia, nie miała nic w ustach, czuła wilczy głód, jak słaby kolarz podczas pokonywania stromej góry. Pożałowała, że nie wzięła od Taillefera rogalików, zostały w kuchni. Wsadziła dłoń do kieszeni kurtki i znalazła herbatnika, który dostała do kawy w kafejce.

Przejechali nad Sekwaną pont de l'Alma. Louise cały czas rozmyślała. Bezskutecznie starała się znaleźć sens w tym, czego ostatnio się dowiedzieli. Zastanawiała się, czy w ogóle warto tak się męczyć w poszukiwaniu prawdy? Czy poczuje się lepiej, jeśli wyjaśni tajemnicę śmierci matki?

Pole Marsowe. Pałac Inwalidów. W ostatnich dniach 2021 roku Paryż wyglądał ponuro. Był to smutny rok, podczas gdy poprzedni, 2020, można było wręcz nazwać *annus horribilis*. Naiwni, którzy wierzyli w bajkę o rzeczywistości po pandemii, zaczęli powoli rozumieć, że świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Przyszłość rysowała się pesymistycznie i niepewnie. Szalony pociąg dopiero się rozpędzał. Czasem na krótko pojawiała się nadzieja, że można go zatrzymać, ale w głębi duszy wszyscy wiedzieli, że impreza się skończyła. Planeta

będzie się coraz mniej nadawała do życia, portale społecznościowe będą podkopywały demokrację, a...

– Mamy szczęście! – wykrzyknął Taillefer, rozłączając się. – Diop nie wyjechała na ferie i w dodatku ma dziś dyżur. Czeka na nas!

Louise miotała się między refleksjami na temat przyszłości i rozmyślaniami o śledztwie. Nie mogła się skupić, ale miała dziwne wrażenie, że to, czego się dowiedzieli, jest tylko zasłoną dymną. Prawda jest wciąż poza ich zasięgiem.

– Jak zwykle nie będzie gdzie zaparkować! – rzucił zrzędliwie Taillefer, gdy dojeżdżali do rogu boulevard Montparnasse i avenue du Maine.

W głowie Louise zapaliła się czerwona lampka. Przeczucie niebezpieczeństwa.

– Skręć tu, w rue Cels. Tam dalej, na prawo, jest ślepa uliczka. Parkują tu wszyscy policjanci z dzielnicy.

Louise włączyła kierunkowskaz, podjechała jeszcze pięćset metrów i skręciła w brukowaną uliczkę z małymi domkami typowymi dla czternastej dzielnicy. Manewrowała, żeby zaparkować, i wtedy uświadomiła sobie, co ją zaalarmowało: przecież komórka Taillefera była rozładowana! Ogarnął ją strach. Policjant nie mógł połączyć się z komisariatem. Okłamał ją.

Dlaczego?

Spojrzeni na siebie. Zrozumiał, że ona wie.

Louise zdała sobie sprawę z tego, że kompletnie nie zna faceta, który siedzi obok niej. Dostała gęsiej skórki na całym ciele.

– Louise, Louise, czemu mnie nie posłuchałaś? – rzucił tymczasem Taillefer. Westchnął, kręcąc głową.

Powinna otworzyć drzwiczki i uciec, ale zamarła, oszołomiona absurdalnością sytuacji. Taillefer odpiął pas.

– Zobacz, w co nas wpakowałaś. Mówiłem ci, żebyś o tym zapomniała i zaczęła żyć na nowo. Żebyś zostawiła mnie w spokoju.

Louise siedziała nieruchomo. Nieznośny ucisk w gardle, w brzuchu ostry ból.

– Mówiłem, że jestem niebezpieczny.

Poczuła na szyi dotyk wielkiej dłoni Taillefera.

Nawet się nie broniła. Chciała umrzeć, tu i teraz.

– Nie dałaś mi wyboru, muszę cię zabić – powiedział ze smutkiem.

13

Porządek i nieporządek

[...] *światu zagraża podwójne niebezpieczeństwo: porządek i nieporządek.*

Paul Valéry

1

Osiemnaście lat wcześniej

Gare du Nord: policjant z brygady kryminalnej ratuje napadniętą kobietę

„Le Parisien” – z AFP
6 października 2003

W piątek około godziny 22.00 oficer policji w cywilu, Mathias Taillefer, interweniował w linii 4 paryskiego metra, ratując kobietę zaatakowaną nożem.

Do wagonu metra jadącego w kierunku Gare de l'Est weszło trzech młodych mężczyzn. Podeszli do siedzącej kobiety i próbowali ją okraść. Przyłożyli jej nóż do gardła i drugi na wysokości krocza. Kapitan brygady kryminalnej, wracający do domu po pracy, podszedł do napastników i rozkazał im rzucić noże. Jeden z chuliganów wymierzył mu cios w klatkę piersiową, a wtedy oficer wyjął legitymację i ujawnił, że jest z policji. To rozsierdziło napastników. Jeden z nich zamachnął się nożem, by ranić kobietę. Oficer zasłonił ją własnym ciałem. Otrzymał kilka brutalnych ciosów nożem w pierś, rękę i ramiona.

Na Gare de l'Est trzech napastnicy szybko opuścili wagon. Mimo odniesionych obrażeń oficer wyciągnął broń i pobiegł za napastnikami, raniąc jednego z nich w kręgosłup. Dwóch pozostałych uciekło.

Mathiasa Taillefera przewieziono do szpitala Saint-Antoine. Wydaje się, że cudem uniknął śmierci. Młodociany przestępca trafiony jego kulą to siedemnastoletni chłopak, znany policji. Jego stan jest poważny, przetransportowano go do szpitala Bichat.

Prefekt policji, który natychmiast udał się na miejsce zdarzenia, odmówił komentarzy, dopóki nie zapozna się z nagraniami z dworcowych kamer oraz z wynikami śledztwa. Napadnięta młoda kobieta, Alice Bakker, złożyła hołd swojemu wybawcy: „Ten oficer uratował mi życie. Nikt inny w wagonie nie zareagował. On mnie zasłonił i przyjął ciosy przeznaczone dla mnie. Będę mu wdzięczna do śmierci i mam nadzieję, że jego obrażenia nie są poważne”.

2

Bójka na linii 4

Policjant postawiony w stan oskarżenia

„Le Parisien” – z AFP

10 października 2003

Mathias Taillefer, kapitan brygady kryminalnej, który uratował życie młodej kobiecie, gdy napadła na nią grupa chuliganów w paryskim metrze (patrz artykuł z 6 października), został oskarżony o „umyślną przemoc z użyciem broni przez osobę sprawującą władzę publiczną”. Zarzuca mu się, że otworzył ogień do siedemnastoletniego Eliasza Abbesa, zamieszkałego w Roissy-en-Brie, który wcześniej ciężko ranił go nożem. Taillefer został aresztowany i odebrano mu prawo wykonywania zawodu, ogłosiła paryska prokuratura.

Poważnie ranny w klatkę piersiową i rękę policjant został przewieziony do szpitala Saint-Antoine i nie mógł wcześniej złożyć zeznań. Obecnie oświadczył, że „strzelił, żeby uniemożliwić dalsze działania osobom wyjątkowo niebezpiecznym dla społeczeństwa”.

Jego adwokat nie chce wypowiadać się na tym etapie śledztwa, natomiast związki zawodowe policji na akt oskarżenia zareagowały oburzeniem. We wspólnym komunikacie Alliance i Unsa-Police podają, że jest to „skandaliczne i nieodpowiedzialne”, oraz uprzedzają, że „hańbiąc policjantów, nie poprawi się bezpieczeństwa obywateli”.

Alice Bakker, młoda kobieta, którą Mathias Taillefer uratował od ciosów nożem, jest oburzona tą decyzją. „Jak tylko było to możliwe, udałam się do szpitala, żeby okazać wsparcie temu funkcjonariuszowi i podziękować mu za uratowanie mi życia. Ten człowiek to bohater. Współczesne odwrócenie wartości przygnębia mnie w najwyższym stopniu”.

Inaczej twierdzi rodzina Eliasa Abbesa, który po postrzeleniu w plecy przebywa w szpitalu w ciężkim stanie. „Elias to dzielny chłopiec, który nigdy nie stanowił zagrożenia. Strzelono do niego jak do zwierzęcia, bez żadnego powodu” – oznajmiła mecenas Julia Carles, adwokat rodziny Eliasa Abbesa, która odmówiła oficjalnego potępienia zamieszek trwających od wielu dni w Roissy-en-Brie. W nadchodzący weekend zorganizowany będzie marsz protestacyjny na placu merostwa, a już teraz można wpłacać pieniądze na pomoc dla rodziny Eliasa Abbesa.

Syndrom złamanego serca

„Zakochałem się...”, tak ważne słowa, tak rzadko doświadczane uczucie [...]. Szaleństwo, które było jednocześnie szczęściem i zagrożeniem.

Patricia Highsmith

1

Biuro podległe prefekturze

2 lutego 2007

Doktor Boisseau: Dzień dobry, kapitanie Taillefer.

Mathias Taillefer: Dzień dobry.

Boisseau: Proszę usiąść. Wie pan, po co tu jestem?

Taillefer (*siadając po drugiej stronie biurka*): No... Jest pan psychiatrą.

Boisseau: Wolę być określany lekarzem psychiatrą. Wie pan, że wciąż toczy się postępowanie w sprawie pana powrotu do pracy. Moim zadaniem jest wydanie opinii, czy jest pan zdolny wrócić na swoje stanowisko w brygadzie kryminalnej. Rozumie pan?

Taillefer: Jeszcze mnie to nie przerasta, rozumiem.

Boisseau: Nie będę pana oszukiwał, że jestem tu wezwany tylko w charakterze doradcy. Nie do mnie należy decyzja.

Mathias spogląda na zegarek; rozpiną skórzaną marynarkę, ale nie zdejmuje jej, gotowy w każdej chwili wyjść, jeśli sprawy potoczą się źle.

Boisseau: Dokładnie zapoznałem się z pana aktami. Od tego wydarzenia minęły już ponad trzy lata. Co pan dziś o tym sądzi?

Taillefer: Co ja o tym sądzę? Dostałem sześć ciosów nożem! Chce pan zobaczyć blizny? Wytrzyma pan ten widok?

Boisseau: Nie musi pan być agresywny. Jestem tu, żeby panu pomóc.

Taillefer: Nie wydaje mi się.

Boisseau (*obracaając w palcach długopis*): Chciałbym się dowiedzieć, co pan dziś sądzi o ofierze?

Taillefer: O ofierze? Ma pan na myśli kobietę, którą napadnięto, Alice Bakker? Nie wiem. Od dawna nie mam o niej wiadomości.

Boisseau: Nie, o tej drugiej ofierze.

Taillefer: Drugą ofiarą jestem ja.

Boisseau (*kręcąc głową*): Myślę o człowieku, którego pan postrzelił.

Taillefer: Chyba pan żartuje.

Boisseau (*z nosem w aktach*): Elias Abbes, wówczas siedemnastoletni...

Taillefer: I już wielokrotnie notowany.

Boisseau: Ten młody człowiek został raniony kulą z pańskiego służbowego pistoletu, która uszkodziła rdzeń kręgowy i spowodowała nieodwracalny paraliż kończyn dolnych. Przez pana ten młody chłopak resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim.

Taillefer (*składając ręce na piersiach*): Pan odwraca role.

Boisseau: Nie za bardzo przejmuję się pan jego losem.

Taillefer: Na pewno mniej niż pan.

Boisseau: Niech pan posłucha, panie kapitanie. Czytałem raport policji i, jak by to powiedzieć, są tam punkty, które dają mi do myślenia...

Taillefer: Na przykład?

Boisseau: Na przykład jak do tego doszło... Jest piątek wieczór. Dla pana koniec tygodnia pracy. Wraca pan do domu, jest już

po dziesiątej. Wsiada pan do wagonu metra i jest pan świadkiem banalnej kradzieży.

Taillefer: Banalnej kradzieży? Kiedy w ruch idą noże?

Boisseau: Kradzieży komórki. Ponad milion komórek rocznie jest kradzionych... Dlaczego zdecydował się pan na interwencję?

Taillefer: To jest mój zawód, do cholery.

Boisseau: Nie był pan już na służbie.

Taillefer: Policjant jest zawsze na służbie. Według pana powinienem pozwolić na to, żeby molestowali tę kobietę?

Boisseau: Gdyby pan się powstrzymał, ten młody człowiek nie byłby dziś na wózku inwalidzkim.

Taillefer (*odsuwając się z krzesłem i wstając*): Wie pan co? Myślę, że skończyliśmy.

Boisseau: A ja uważam, że chciał pan się popisać, odegrać bohatera.

Taillefer: Pan sobie nie zdaje sprawy, co pan mówi. Proszę obejrzeć nagranie z kamer monitoringu.

Boisseau: Właśnie je obejrzałem. Staął pan między tą kobietą a napastnikiem i faktycznie przyjął na siebie ciosy, ale potem...

Taillefer: Potem?

Boisseau: Gdy metro wjechało na stację, tych trzech chłopaków natychmiast wysiadło. Już nie ma niebezpieczeństwa, ale pan z trudem, pomimo obrażeń, wychodzi za nimi i otwiera ogień...

Taillefer: I?

Boisseau: To scena mrożąca krew w żyłach, nie uważa pan? Pan, cały we krwi, ciężko ranny, czołga się po ziemi i jeszcze znajduje siły, żeby strzelić w plecy tym młodym chłopcom...

Taillefer: Nie ma pan wstydu!

Boisseau (*naciskając*): Jest piątek wieczór, pełno ludzi na peronie, a pan strzela. Gare de l'Est, ludzie wyjeżdżają na weekend. Mógł pan trafić w jakiegoś przechodnia. Niewiele brakowało.

Mathias wzdycha, starając się zachować spokój. Wygląda przez okno, szukając wzrokiem fragmentu jasnego nieba, promienia słońca, czegoś, co by odwróciło myśli od tego pokoju.

Boisseau: Powiem panu, co ja o tym sędzę. Mam piętnastoletnią córkę, która w każdy piątkowy wieczór wsiada do metra, żeby wrócić do matki. Mogła tego dnia być na peronie, a ja nie chciałbym, żeby wpadła na kogoś takiego jak pan.

Taillefer: Unieszkodliwiłem napastnika. Nie zabiłem ani nie zraniłem żadnego innego pasażera. Proszę nie liczyć na moje przeprosiny. Gdyby taka sytuacja się powtórzyła, zachowałbym się dokładnie tak samo.

Boisseau (*podnosząc ton i zdradzając lekki południowy akcent*): To skandaliczne, powiedzieć coś takiego!

Taillefer: Elias Abbes, ten, którego pan upiera się nazywać chłopcem...

Boisseau: Był dzieciakiem, do cholery! Miał siedemnaście lat!

Taillefer: To kryminalista. Wiedziałyby pan o tym, gdyby pan przestudiował jego akta. Na szczęście zrobili to inni.

Boisseau: Drobny złodziejaszek nie zasługuje na kulę w plecy.

Taillefer: Abbes nie jest tylko „drobnym złodziejaszkiem”. Sześć miesięcy wcześniej wsadził nóż do waginy młodej kobiety na osiedlu La Renardière w Roissy-en-Brie. Bardzo miły chłopiec.

Boisseau: Ale pan, strzelając do niego, nie wiedział tego wszystkiego...

Taillefer: Wiedziałem jedno: że zaatakował kobietę na moich oczach. Wiedziałem, że jest uzbrojony, ucieka i że jest bardzo niebezpieczny.

Boisseau: I to wystarczyło, żeby zdecydował się pan go zabić?

Taillefer: Pan to robi celowo?

2

Boisseau (*wskazując piórem w kierunku Taillefera*): Ostatni raz zadaję to pytanie i radzę panu odpowiedzieć bez wymądrzania się: dlaczego strzelił pan do Eliasa Abbesa?

Taillefer: Już odpowiedziałem. Czego pan właściwie ode mnie oczekuje?

Boisseau: Żeby pan wyraził żal z powodu tego czynu, to pozwoliliby nam pójść dalej. To pozwoliliby panu pójść dalej.

Taillefer: Pieprz się!

Boisseau: To ja panu powiem, dlaczego pan strzelił do tego nastolatka. Bo zgrzeszył pan pychą. Obwołał się jedynym stróżem prawa. Paryski Charles Bronson, upojony własną mocą. Uznał się pan za Boga, kapitanie Taillefer.

Taillefer: Skończył pan?

Boisseau: Niezupełnie. Chciałbym jeszcze porozmawiać o Alice Bakker. W jednym z artykułów napisano, że mieliście romans.

Taillefer: To artykuł z lewackiego bloga, opublikowany, żeby mnie zdyskredytować. Ten blog jest kontrolowany przez komitet wsparcia Eliasa Abbesa i jego głupią prawniczkę.

Boisseau: Być może, ale to prawda, czyż nie?

Taillefer: Alice Bakker przyszła do mnie do szpitala, żeby mi podziękować. Rzeczywiście, zawiązała się między nami nić porozumienia i połączył nas krótki romans, cztery, może pięć tygodni.

Boisseau: Więc wykorzystał pan swoją pozycję, żeby uwieść ofiarę?

Taillefer: Naprawdę chce pan dostać w pysk? Alice Bakker była równie zagubiona po wypadku jak ja.

Boisseau: A więc był pan zagubiony? To mocne słowo.

Taillefer: Może jest pan psychiatrą, ale nie ma pan pojęcia o tym, co pan robi. Tak, byłem zagubiony: te rany kłute, z którymi przyjechałem, ujawniły istniejący już wcześniej problem...

Boisseau: Jaki?

Taillefer: Kiedy zrobiono mi tomografię komputerową klatki piersiowej, okazało się, że mam przerost mięśnia sercowego. Cierpię na kardiomiopatię, będzie mnie męczyć aż do śmierci.

Boisseau: Czyli gdyby drogi Eliasa Abbesa i pańska się nie przecięły, nigdy nie znaleziono by u pana tej choroby i...

Taillefer: I pan myśli, że jest inteligentny...

Boisseau: To tylko obserwacja. Chcę uprzedzić, że mój raport nie będzie dla pana korzystny.

Taillefer: Nie domyśliłbym się!

Wstaje i idzie do drzwi.

Taillefer: Zapomniałem zapytać: jak ona ma na imię?

Boisseau: Kto?

Taillefer: Pańska córka.

Boisseau: Constance, ale nie widzę...

Taillefer: Myślę, że gdyby to pana córka została napadnięta wtedy w metrze, byłaby szczęśliwa, że znalazł się tam ktoś taki jak ja. Niech pan o tym pomyśli, kiedy będzie pan pisał raport...

3

Gabinet psychiatryczny

Place Henri-Bergson, ósma dzielnica Paryża

6 listopada 2021

Doktor Anne Bartoletti: Dzień dobry, panie Taillefer.

To młoda lekarz psychiatra, nie ma chyba nawet trzydziestu lat.

Mathias Taillefer: Dzień dobry pani.

Bartoletti: Proszę, niech pan siada.

Taillefer opada na krzesło bez sił, jest rozgorączkowany, wyczerpany, ma dzikie spojrzenie. Wygląda, jakby dźwigał na sobie cały ciężar świata.

Bartoletti (spoglądając na ekran komputera): Widzę, że umówił się pan na spotkanie w zeszłym miesiącu... i jeszcze miesiąc wcześniej, i nie przyszedł pan.

Taillefer: To prawda. Przepraszam.

Bartoletti: Więc dlaczego dziś pan przyszedł?

Taillefer: Myślę, że już nie mam wyboru. Albo to, albo śmierć.

Bartoletti: Dlaczego tak długo zwlekał pan ze zwróceniem się o pomoc?

Taillefer: Powiedzmy, że mam złe doświadczenia z psychiatrami.

Bartoletti: Z wieloma miał pan do czynienia?

Taillefer: Z dwoma czy trzema, ale to mi wystarczyło.

Bartoletti: Rozumiem. Niestety, w moim zawodzie jest wielu palantów.

Taillefer: W moim też.

Zapada cisza. Taillefer ukrywa twarz w dłoniach i ciężko oddycha.

Bartoletti: Proszę, niech pan mi powie, co się dzieje.

Taillefer: Boli mnie... Boli mnie od rana do wieczora.

Bartoletti: Co pana boli?

Taillefer: Wszystko. Ja...

Zrywa się z krzesła, podciąga suwak od kurtki.

Taillefer: To nic nie da. Nie mogę po prostu usiąść i zacząć pani opowiadać swojego życia. Nie jestem gotowy.

Bartoletti: Przed chwilą stwierdził pan, że nie ma wyjścia, że albo to, albo śmierć. Więc musi pan być gotowy. Teraz albo nigdy!

Taillefer: Nie, nigdy nie będę gotowy. Po prostu niech mi pani da lekarstwa, coś na sen, żeby zapomnieć, wyłączyć się. Tego właśnie chcę, wyłączyć się. Być nieruchomym, bezwładnym, w ciemności.

Bartoletti: Zaraz panu coś przepiszę, ale czy możemy chwilę porozmawiać?

Taillefer: Nie, nie tutaj, duszę się, ja...

Anne Bartoletti wstaje i podchodzi do okna. Patrzy na skwer Marcel-Pagnol, który po raz pierwszy od dziesięciu dni jest skąpany w słońcu, i wyciąga do Taillefera ramiona.

Bartoletti: Chodźmy na skwer, jest tak pięknie...

Skwer Marcel-Pagnon
Rue de Laborde 12

Z puszką coli zero w dłoni Taillefer przysiada na oparciu jednej z muzealnych ławek Daviouda, które ostały się mimo metodycznej wymiany na nowe przez merostwo. Uspokaja się. Dobrze mu robi świeże powietrze. Cieszy się promieniami słońca przebijającymi się przez gałęzie platanów i kasztanowców. Opowiada:

Mathias Taillefer: To się zdarzyło wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewałem. Tak jak mówiłem, miałem skomplikowane życie. Po tym wypadku w metrze z trudem wróciłem do brygady kryminalnej, ale pięć lat temu miałem ostrą niewydolność serca i tym razem...

Anne Bartoletti: Musiał pan się zdecydować na przeszczep, żeby ratować życie.

Taillefer: Tak. Trudno było znaleźć odpowiedniego dawcę, ale w końcu się udało. Miesiące po transplantacji były straszne. Ze względu na mój stan zdrowia odebrano mi część obowiązków w pracy, więc wolałem odejść, niż pójść w odstawkę. Ta decyzja okazała się trudna do zaakceptowania. Straciłem swoje miejsce na świecie...

Taillefer przerywa i zapala papierosa. Lekarka otwiera usta, żeby go od tego odwieść, ale po chwili rezygnuje.

Taillefer: Moje życie stało się wegetacją. Dni mijały jeden po drugim, nie miałem ochoty na nic, mało czytałem, chodziłem na mecze PSG, korzystałem z oferty kulturalnej Paryża, ale emerytura w wieku czterdziestu dwóch lat to nie dla mnie.

Bartoletti: I wtedy spotkał pan tę kobietę...

Taillefer: Tak, w Grand Palais, na targach FIAC. Nazywała się Lena Haddad. Miała trzydzieści osiem lat. Amerykanka pochodzenia libańskiego, pracowała w jakiejś galerii w San Francisco. Przyjechała właśnie na targi sztuki współczesnej.

Bartoletti: Od razu pan się zakochał?

Taillefer: Tak. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego.

Wszystko było dla mnie nowe, lubiłem siebie takiego, jakim stawałem się przy Lenie. Całe moje ciało odżyło, jakby ktoś dodał mi skrzydeł. Gdy ktoś panią pokocha, życie zmienia smak, błędy popełnione w przeszłości przestają być błędami, goją się rany zadane przez życie.

Bartoletti: Czy to było odwzajemnione uczucie?

Taillefer: Na początku oczywiście tak. Zamieszkaliśmy razem w Paryżu, to trwało trzy miesiące. Od razu mi powiedziała, że była mężatką, ale że to już dawno skończone.

Bartoletti: A potem?

Taillefer: Któregoś dnia oznajmiła, że dłużej tak nie może. To było dwudziestego ósmego grudnia dwa tysiące siedemnastego roku. Obudziła się rano i oznajmiła, że wciąż kocha męża. Że w tej sytuacji nie jest uczciwa ani wobec mnie, ani wobec niego.

Bartoletti: Niczego pan nie zauważył?

Taillefer: Być może jestem naiwny, ale nie. Jeszcze tego samego dnia kupiła bilet na samolot do San Francisco. Oszołomiony odwoziłem ją na Roissy i gdy już szła do samolotu, powiedziała mi coś dziwnego.

Bartoletti (*obgryzając paznokcie*): Co to było?

Taillefer: Wyznaczyła mi spotkanie. Za rok, dokładnie co do dnia, w naszej ulubionej włoskiej restauracji. Do tego czasu żadnych kontaktów, żadnych telefonów, maili, esemesów.

Taillefer milknie. Spogląda na stado kosów: ptaki wyklócają się na trawniku pod srebrzystym klonem.

Taillefer: To rozstanie wpędziło mnie w rozpacz. Utraciłem swoje miejsce, swoje odbicie w jej oczach, w których po raz pierwszy w życiu widziałem siebie takim, jakim chciałem być.

Bartoletti: A to spotkanie?

Taillefer: Poszedłem na pierwsze. Dwudziestego ósmego grudnia dwa tysiące osiemnastego roku Lena czekała przy naszym stoliku. Odzyskałem nadzieję. Spędziliśmy razem dwa dni, ale

potem znowu wyjechała, zapewniając mnie, że aż do śmierci co roku dwudziestego ósmego grudnia będzie wracać do Paryża.

Bartoletti: To trudna sytuacja, ale Lena nie zakończyła definitywnie tej znajomości. Utrzymuje kontakt, chociaż rzadki.

Taillefer: W grudniu dwa tysiące dziewiętnastego roku nie potrafiłem się zmusić, żeby iść do restauracji. Dzień wcześniej napisałem list i zostawiłem go u głównego kelnera. Wyjaśniłem, że nie mogę dłużej znieść takiej sytuacji i że nie będę już przychodził na te spotkania.

Bartoletti: Udało się panu?

Taillefer: W zeszłym roku nie było problemu, bo restauracje były zamknięte z powodu lockdownu.

Bartoletti: A w tym roku?

Taillefer: Nie chcę. Nie mogę, bo nigdy nie odzyskam równowagi. Chciałbym otworzyć sobie czaszkę i wymazać Lenę z mózgu.

Bartoletti: Odradzam, to jest bardzo bolesne.

Taillefer nie może powstrzymać uśmiechu. Pobliski kościół wydzwania szesnastą, zagłuszając przyjemny szum fontanny.

Bartoletti: Niech pan posłucha, Mathiasie. Zakochał się pan, to zdarza się ludziom od wieków. Uczucie daje wszystko, ale może też wszystko odebrać. Zakochując się, człowiek naraża się na takie ryzyko.

Taillefer: I muszę zapłacić pani sto euro za stwierdzenie, że miłość to okrutna gra?

Bartoletti: Nie, dwieście euro, bo powiem panu coś jeszcze.

Taillefer: Co takiego?

Bartoletti: Gryzie pana jeszcze coś innego, o czym nie chce mi pan powiedzieć, a co wyjaśnia stan, w jakim się pan znajduje.

Taillefer: Wie pani co, pani doktor? Chyba na dziś skończymy.

Mężczyzna w czerwonym płaszczu

Wrócił w towarzystwie zamaskowanego mężczyzny w obszernym czerwonym płaszczu. Lord de Winter i trzej muszkietierowie spojrzeli po sobie z konsternacją. Żaden z nich nie wiedział, kim był mężczyzna.

Alexandre Dumas

1

Louise odzyskała przytomność na metalowym krześle w salonie Mathiasa Taillefera, związana od stóp do głów. W nieogrzewanym pomieszczeniu panowało lodowate zimno mimo wpadającego do środka popołudniowego słońca. Dziewczyna potrzebowała dobrych paru minut, żeby jako tako dojść do siebie. Serce waliło jej jak młot. Z tyłu głowy czuła potworny ból, promieniujący do szyi. Głęboko wciśnięty knebel nie pozwalał jej krzyczeć ani normalnie oddychać.

Koszmar.

Nogi w kostkach spięto jej samozaciskową nylonową linką, podobnie ręce z tyłu. Kiedy uświadomiła sobie powagę sytuacji, jej serce zaczęło jeszcze szybciej bić. Trzęsa się, płakała, pulsowało jej w skroniach. Kim jest ten facet? W jakie gówno wdepnęła? Żyła co prawda, ale jak długo jeszcze?

Kolana miała ściśnięte. Próbowwała się odwrócić, ale linka uniemożliwiała jakikolwiek ruch. Nagle usłyszała zbliżające się kroki i ujrzała przed sobą masywną sylwetkę Taillefera. W prawej ręce trzymał pistolet.

Nie wyglądał jak Taillefer, którego znała. Był rozczochrany, miał szkliste oczy i posępną twarz. Starła się złapać jego spojrzenie, ale policjant nagle stał się obcym człowiekiem.

Teraz trzasnął magazynkiem i wycelował w nią pistolet. Louise skamieniała ze strachu, poczuła, że nie może oddychać. Jej mózg nie był w stanie ogarnąć tej sytuacji. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Nie może tu umrzeć! Bez wyjaśnień, nie rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego się tu znalazła...

2

Z palcem na spuście Mathias Taillefer czuł, że traci grunt pod nogami. Kurwa!

Przecież to przeczuwał. Od samego początku, gdy tylko zobaczył tę dziewczynę, wiedział, że będzie dla niego źródłem kłopotów. Wystarczyło, że się odezwała, a już stracił pewność siebie. Poczucie humoru, determinacja, bystre spojrzenie. Jak to się stało, że wbrew wszystkim zasadom ostrożności pozwolił jej wejść do swojego życia?

Dlaczego tak łatwo opuścił gardę?

Może dlatego, że nie zostawiła mi wyboru – pomyślał.

Utkwił w niej wzrok. W jej oczach rozpoznawał panikę, strach, niedowierzanie. Ale co ma teraz zrobić? Znalazł się w punkcie, z którego nie ma powrotu. Nie było już żadnej nadziei, że sytuacja się jakoś ułoży. Każda następna decyzja mogła być tylko zła.

Opuścił broń. Poluzował knebel Louise.

Daj sobie trochę czasu, odsuń tę chwilę...

Rozwiązanie dla tchórzy.

Tak jak się spodziewał, Louise wrzasnęła.

– Śmiało, mała, ulżyj sobie! – zachęcał ją.

Usłyszał długi rozpaczliwy krzyk, który miał odpędzić grożącą jej śmierć.

– Muszę cię uprzedzić, że przez te podwójne szyby nikt cię nie usłyszy.

Zapadła pełna udręki cisza.

– Dla... Dlaczego pan to robi?

– Ile razy ci mówiłem, żebyś zostawiła mnie w spokoju? – warknął.

Milczenie.

– Ile razy ci mówiłem, że nie jestem dobrym człowiekiem?

Zaczął niecierpliwie chodzić tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni przed krzesłem, do którego była przywiązana Louise.

– Nie uprzedzałem, że jeśli ze mną zostaniesz, znajdziesz się w niebezpieczeństwie?

Cisza.

– ODPOWIEDZ! MÓWIŁEM CZY NIE?! – Rąbnął pięścią w stół.

– Mówił pan, ale...

– Nie ma żadnego ale, ostrzegałem.

Nawet bez knebla Louise miała sucho w gardle. Dusiała się. Po szyi i plecach spływały jej strużki potu.

– Chciałam znaleźć zabójcę matki. Mam prawo wiedzieć, dlaczego umarła.

– Zamknij się.

– Kim pan jest, Taillefer? Kim pan naprawdę jest?

Louise czuła, że facet może w każdej chwili dostać szału. Miała bardzo mało czasu i możliwości działania. Trzeba się uspokoić, odzyskać regularny oddech. Musi jakoś utrzymać kontakt i zadawać kolejne pytania.

– Co się stało, Mathiasie? Dlaczego pan mi to robi? Niech mi pan wyjaśni!

– Nie ma czego wyjaśniać.

– To nie jest odpowiedź, dobrze pan wie. Nie zrobiłam niczego, co by zasługiwało na kulkę w łeb.

– Byłaś zbyt ciekawska.

– Chcę poznać prawdę.

– Nie masz prawa stawiać żądań! Jesteś siedemnastoletnim dzieckiem, które powinno siedzieć posłusznie w swoim pokoju u rodziców i uczyć się do egzaminów!

– Mathias, niech mnie pan rozwiąże, proszę!

– Zamknij się!

– Wydaje się panu, że jest pan silny, bo ma pan spluwę?

– Tak, to pomaga.

Louise postanowiła użyć najmocniejszej karty.

– Jeśli mnie pan rozwiąże, powiem panu, czego się dowiedziałam o kobiecie, którą zna pan jako Lenę Haddad.

Lena Haddad?

Cisza.

Początkowo Taillefer pomyślał, że się przesłyszał. Zmarszczył brwi. Tylko tego brakowało. Dlaczego nagle w rozmowie pojawiła się Libanka? Dużo czasu zajął mu powrót do przerwane go wątku.

– Mówiłaś, że nie zjawiała się wtedy w restauracji.

– Mówiłam, ale skłamałam. Pan też mnie okłamywał.

– Myślisz, że nabiorę się na twój tani blef?

– To nie blef. Zresztą Lena Haddad to nawet nie jest jej prawdziwe nazwisko. Nie jest Amerykanką, nie mieszka w San Francisco. Ale to również panu umknęło. Chyba nie był pan takim dobrym detektywem. Nic dziwnego, że wyleciał pan z kryminalnej.

Tailleferowi zaczęło dzwonić w uszach. Żołądek skurczył mu się z bólu.

– Powiedz, czego się dowiedziałas...

– Najpierw niech mnie pan rozwiąże.

Nie lubił, gdy mu rozkazywano. Znów wymierzył w nią pistolet.

– Nie zmuszaj mnie, żebym powtarzał...

Tym razem Louise wytrzymała jego spojrzenie.

– Nie oszukujmy się, przecież mnie pan nie zastrzeli.

Taillefer gotował się ze złości; zaczął głośno oddychać, starając się ze wszystkich sił powstrzymać furie.

– Już by pan to zrobił.

– Powiedz mi, czego się dowiedziałaś! – Uderzył ją w czoło lufą pistoletu.

Louise nie zareagowała, a Taillefer poczuł, że traci resztki energii. Dziewczyna miała rację, nie zabiłby jej. Miał tego wszystkiego dość. Wyczerpany wściekłością, zaczął rozwiązywać Louise, nie patrząc na nią.

– Mów, teraz.

– Najpierw pan. Dlaczego powstrzymywał mnie pan przed pójściem na policję?
– spytała, rozcierając obolałe nadgarstki.

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, dziewczynko.

Louise odgarnęła mokre od potu włosy z czoła.

– Dwie minuty temu chciał mi pan wpakować kulkę w łeb, może być coś gorszego? – rzuciła.

– Może któregoś dnia będziesz błagać, żeby wykończono cię kulką w łeb... – odparł Taillefer zrezygnowany. Poddał się. Chce wiedzieć... No cóż.

Sam jednak nie wiedział, od czego ma zacząć.

3

Zapadał zmierzch. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od woskowanego parkietu, zarzucając na pokój czarowną złocistą szatę. Taillefer opadł na stare krzesło Wishbone, jedyne, na którym nie bolały go plecy, i zaczął odkrywać swój sekret.

– Kilka lat temu, po transplantacji serca, odsunięto mnie w pracy na boczny tor i w końcu zrezygnowałem ze służby. Miałem czterdzieści dwa lata, a fizycznie byłem wrakiem. Z dnia na dzień stałem się niepotrzebny, bez rodziny, bez pracy, bez przyjaciół.

Męczyło go mówienie, ale u ludzi zamkniętych w sobie tak jak on, gdy tama już puści, trudno zatrzymać potok słów. To było wyzwalające.

– Mniej więcej wtedy zacząłem spotykać się z Leną Haddad, ale gdy romans się skończył, wpadłem w rozpacz. Było mi bardzo źle. Nie spodziewałem się, że można wpaść w taką otchłań samotności.

Tytus, uroczy beagle, nieświadomy rozgrywającego się dramatu, zaczął biegać między nimi w poszukiwaniu pieszczot.

– Gdy znalazłem się praktycznie na dnie, skontaktował się ze mną pewien facet, który był moim instruktorem, kiedy odbywałem służbę wojskową w Rochefort. Nazywał się Henri Pheulpin, ale kazał na siebie mówić „człowiek w czerwonym płaszczu”.

– Człowiek w czerwonym płaszczu?

– To nawiązanie do postaci kata w *Trzech muszkieterach*.

– Kiedy byliśmy razem na place de la Concorde, pod diabelskim młynem, widziałam, jak pan rozmawiał z jakimś mężczyzną w czerwonej kurtce! – przypomniała sobie nagle Louise.

– To był on. Henri Pheulpin opuścił armię. Wiedział wszystko o moim życiu zawodowym i prywatnym i uznał mnie za wystarczająco godnego zaufania, żeby opowiedzieć mi historię grupy Iridium.

Louise trzymała w ręce szklanekę z wodą i siedziała przy niskim stoliku, obok rzeźby z brązu, spirali Bernara Veneta.

– Niech nie umknie ci fantastyczny wymiar tej historii – ciągnął Taillefer. – To coś w stylu legendy miejskiej lub bzdur, którymi zwolennicy teorii spiskowych nabijają sobie głowy na forach.

– Mówi pan o grupie Iridium?

– Tak. To grupa około setki wielkich europejskich i amerykańskich rodzin, które w latach dziewięćdziesiątych postanowiły, że gdy tylko nadarzy się okazja, będą same wymierzać sprawiedliwość.

– Dlaczego?

– Niektórzy uważali, że powszechny wymiar sprawiedliwości jest zbyt pobłażliwy, nieskuteczny, zepsuty przez skrajnie lewicową ideologię i kulturę przebaczenia. Inni uważali go za zbyt natrętny i wzbudzający za dużo zainteresowania mediów.

Louise zamrugła. Nic już nie rozumiała. Wyjaśnienia Taillefera były niepokojące i nie miały nic wspólnego ze śledztwem w sprawie śmierci jej mamy.

– Ta secesja od obowiązującego systemu wymierzania sprawiedliwości opierała się na idei sądu honorowego. Coś ci to mówi?

Louise przesunęła palcami po czole, jakby chciała pobudzić pamięć, ale nic z tego nie wyszło.

– Nie – odpowiedziała.

Taillefer wyjął z kieszeni koszuli zapalniczkę i papierosy. Zapalił.

– Sąd honorowy był niezależnym sądem utworzonym we Francji przez Henryka Czwartego na początku siedemnastego wieku. Wtedy chodziło o zlikwidowanie pojedynków, w których ginęło wielu arystokratów.

Taillefer wydmuchał dym, krzywiąc się, jakby tytoń palił go w gardło.

– Sąd honorowy mógł zostać powołany wyłącznie przez ludzi szlacheckiego pochodzenia i wyłącznie w sprawach, w których w grę wchodził honor.

– Kto wydawał wyroki?

– Marszałkowie Francji oraz najwyżsi oficerowie pochodzący w większości z wielkich rodów.

– To ten koncept reaktywowała grupa stu rodzin? – spytała Louise po chwili zastanowienia. – Chce pan powiedzieć, że dziś istnieje taki sąd, do którego ta grupa może się zwrócić, jeśli uznają, że ich honor został splamiony?

– Dobrze zrozumiałaś.

Taillefer zmrużył oczy. Światło późnego popołudnia miało w sobie coś fascynującego. Splątane linie rzeźby z brązu tworzyły tunel hipnotyzującego światła. Studnię pełną złota i miodu.

– Wyroki tego sądu są szybko wydawane i natychmiast wykonywane, nie ma od nich odwołania – dodał.

– Ale kto je wykonuje? Człowiek w czerwonym płaszczu?

– Henri Pheulpin faktycznie jest zbrojnym ramieniem grupy Iridium. Zdarza się, że wykonuje wyroki osobiście, ale najczęściej korzysta z pomocy małej grupki najemników, do których ma całkowite zaufanie.

– I pan do niej należy, Mathiasie? Jest pan płatnym zabójcą?

Skrzywił się na to określenie.

– Faktycznie przyjąłem kilka takich zleceń – powiedział jakby z żalem. – Głównie dlatego, że miałem wszystko gdzieś, a zwłaszcza moralność, ale poza tym to było bardzo dobrze płatne. Za każdym razem sytuacja wygląda tak samo: dostajesz imię, nazwisko i zdjęcie. Potem musisz radzić sobie sama. Masz tydzień na wyeliminowanie celu. Wszystko ustala się ustnie, na jednym spotkaniu. Po staremu: bez śladów, bez telefonu, bez internetu, bez wyjaśnień. Nie znasz przyczyn wydania wyroku i nie masz do czynienia z żadnymi pośrednikami.

– Tamtego dnia na place de la Concorde człowiek w czerwonej kurtce dał panu nowe zlecenie, tak?

Taillefer kiwnął głową.

– I kto to miał być? Ja?

– Nie.

– A więc kto?

– Angélique Charvet.

– Dlaczego?

Skrzywił się lekko.

– Dużo o tym myślałem. Wydaje mi się, że rodzice Sabatiniego należą do tej setki wielkich rodów, a Angélique musiała ich w jakiś sposób oszukać. Twoja mama, która nie przepuszczała żadnej okazji do zarobienia łatwej forsy, pewnie się czegoś domyślała i próbowała ją szantażować. Angélique ją wyeliminowała.

Louise zaniemówiła.

Po raz pierwszy wyobraziła sobie tę straszną scenę, gdy pielęgniarzka wypycha Stellę przez balustradę tarasu. Okrutna, gwałtowna śmierć. To było nie do zniesienia, Louise czuła się, jakby dostała nożem pod żebro.

– Pomogę panu ją odnaleźć – powiedziała.

Cisza.

– Pomogę panu odnaleźć Angélique Charvet. I to ja ją zabiję.

Podniosła się z krzesła energicznym ruchem. Wydawała się pewna siebie, zdecydowana. Taillefer zaczął ją uspokajać.

– Musisz o tym wszystkim zapomnieć. To cię przerasta, zresztą mnie też. Nie jesteś...

Odwrócił głowę, szukając jej wzroku, ale nagle gdzieś znikła. Kiedy zjawiała się z powrotem, trzymała w dłoniach rzeźbę Veneta.

Taillefer zobaczył, jak rzeźba spada mu na twarz z prędkością światła. Nie miał nawet czasu zasłonić się rękami.

Ciemna noc duszy

*Jest towarzysz, którego się nigdy nie opuszcza, to ty sam.
Trzeba uczynić tak, żeby było to miłe towarzystwo. Kto sobą
pogardza, nigdy nie będzie szczęśliwy.*

Jean Giono

1

Kurwa...

Jak nowicjusz...

Dał się podejść jak dziecko. Brązowa rzeźba, którą dostał w pysk, prawie go znokautowała. Przez dłuższy czas nie wiedział, co się dzieje. Ta mała suka wykorzystała sytuację i teraz to on siedział związany na krześle. Zawył z wściekłości. Ale Louise maksymalnie ścisnęła linki i znała się na węzłach.

Powrót do punktu wyjścia.

Wstyd!

Miał pęknięty łuk brwiowy, czuł na twarzy strużki zasychającej krwi... Jak długo był nieprzytomny? Zdążyło się już ściemnić, ale w zimie to nie wystarczało, żeby określić porę dnia. Z oddali usłyszał szczekanie Tytusa. Louise musiała go zamknąć na piętrze, zanim uciekła.

Znów zawył z wściekłości.

Miał ochotę wszystko rozwalić!

Skoncentrował się, żeby ocenić swoje położenie. Co robić? Gdzie może być Louise? Jaki ma plan? Powiadomi policję czy spróbuje sama zlikwidować Angélique Charvet? Taillefer był podwójnym przegranym. Z jego powodu może zostać zdemaskowany sąd honorowy. W najlepszym razie resztę życia spędzi w więzieniu. W najgorszym – zdechnie tu jak pies.

Trzeba działać. Całym swoim ciężarem przewrócił krzesło, upadek zmiażdżył mu ramię. Zacisnął zęby i próbował czołgać się po podłodze, ale nie dotarł daleko. Nie może się poddać! W sytuacjach kryzysowych ludzki umysł działa najskuteczniej. Chyba że...

Zamknął oczy. Myślał o tym, że Lena nie stawiała się na spotkanie. Trudno mu było w to uwierzyć. Może Louise kłamała. Cierpienie, jakie wywoływała w nim ta niespełniona miłość, było ciągłą torturą. Prześladowały go pytania bez odpowiedzi... Miał wrażenie, że przez swoją głupotę stracił coś bardzo ważnego. Nie chciał na próżno rozniecać gasnącego ognia, ale przynajmniej Lena nie zapomniała o nim, nie skreśliła definitywnie ich związku. W tym momencie tylko ta iskra nadziei trzymała go przy życiu.

Bo reszta...

Zrozumiał nagle, czemu mu tak zimno w uda. Zsikał się. Ta upokarzająca sytuacja doprowadziła go do płaczu. Umrze tutaj, we własnym gównie. Co za żaloszny epilog. Wyobrażał sobie nagłówek w „Le Parisien”:

Skwer Montsouris

**Były oficer policji znaleziony we własnym domu martwy, skrępowany
plastikową linką**

Ta krótka wiadomość wywoła może ze trzy szydercze komentarze w mediach społecznościowych. Kurwa... To się nie może tak skończyć.

Wrócił myślami do Stelli Petrenko. Od początku czuł z nią jakiś rodzaj pokrewieństwa. Podobnie pełne zawodów życie, podobnie pokaleczone ciało. Taka sama bezsilność w ratowaniu swojego tonącego okrętu. Kromka, która nigdy nie

łąduje masłem do góry. Los się na nich oboje tak samo wziął, tak samo ich niszczył i stawiał przed nimi trudności nie do pokonania.

Jeszcze przez chwilę litował się nad sobą. Płacz przynosił mu ulgę, zmniejszał lęk i wściekłość. Był stuprocentowo naturalnym lekiem uspokajającym. Czasem i Bogu coś się uda.

Czas znów zaczął się dłużyć. Za oknem widać było nadchodzącą noc; nie wiedział, czy jest dziewiąta wieczorem, czy trzecia nad ranem. Ile czasu tak leżał? Dwadzieścia minut? Godzinę? Dłużej? W pewnej chwili gdzieś za oknem usłyszał szczekanie Tytusa. Ocknął się.

– Dobry pies, dobry... – zaczął mówić najgłośniejszym, jak tylko mógł, żeby pies go usłyszał.

A więc zwierzak jakoś wydostał się z więzienia. Wyczuł pana i rozszczękał się, jakby od tego zależało jego życie. Może któryś z sąsiadów zainteresuje się i przyjdzie sprawdzić, co tu się dzieje.

Ale minuty mijały i nic. Taras i ogród znajdowały się na tyłach domu, naprzeciwko nie było żadnych zabudowań. Nadzieja znikła tak szybko, jak się pojawiła. Czas znów rozpływał się w nieskończoność, myśli się rozmywały, traciły ostrość, a on sam może nawet na chwilę przysnął.

W końcu jednak jakiś odgłos wyrwał go z odrętwienia. Dziwne skrzypienie krzesła na tarasie. Zauważył światło latarki. Ktoś tam był!

– Pomocy! – wrzasnął, mając nadzieję, że ten ktoś go usłyszy.

Światło latarki na chwilę zgasło.

Cholera!

– Na pomoc! – krzyknął znów.

Za szybą pojawił się cień. Jakiś facet w kurtce z futrzanym kapturem, który zakrywał mu twarz. Taillefer zmrużył oczy. Nie mógł dostrzec jego rysów. Latarka omiotła salon, strumień światła zatrzymał się na twarzy Taillefera. Potem cień chwycił krzesło i uderzył nim dwa razy we francuskie okno. Za trzecim razem szyba pękła w drobny mak. Taillefer z lękiem patrzył na zbliżającą się sylwetkę.

Przyjaciół? Wróg?

Nieznajomy ukląkł i wtedy Taillefer go zobaczył.

To był Romuald Leblan.

2

– A teraz wyjaśnij mi, co tu robisz. Lepiej, żebyś mnie przekonał.

Było po drugiej nad ranem. Od chwili, gdy geek uwolnił Taillefera, minęło dziesięć minut. Taillefer przebrał się i obaj siedzieli teraz przy blacie kuchennym. Policjant przygotował kawę. Romuald obmywał mu zranioną brew kawałkiem wacika nasączonego alkoholem.

– Chyba powinien mi pan podziękować, nie?

– Podziękuję ci, gdy dowiem się, o co tu chodzi. Nie mam zaufania do takich jak ty.

– No, ja przynajmniej się nie obsikałem.

– Może nie, chociaż twoja matka mówiła, że sikasz do plastikowej butelki, bo boisz się wyjść z pokoju do łazienki. Raczej nie ma się czym chwalić.

– Bzdura.

– Uważaj, wypalisz mi oko!

Taillefer czuł się coraz lepiej. Kamień spadł mu z serca. Uświadomił sobie, jak bardzo się bał. Ale stary lew jeszcze nie umarł. Wreszcie los się do niego uśmiechnął i dał mu doliczony czas gry. Zanim jednak zacznie się naprawdę cieszyć, musi zrozumieć, skąd się tu wziął ten smarkacz, i odnaleźć Louise Collange.

– No, to jak się tu znalazłeś, chłopcze? Myślałem, że nigdy nie opuszczasz swojego przytulnego gniazdka.

– Po prostu... ta dziewczyna... – Romuald zaczął się jąkać, cały czerwony.

– Jaka dziewczyna?

– Ta blondynka, która przyszła wtedy z panem. Louise, córka Stelli Petrenko.

– Co z nią?

Romuald zakleił grubą brew Taillefera szerokim plastrem.

– Widziałem ją już wcześniej przez okno, kiedy odwiedzała matkę... Jest moim totalnym crushem.

Taillefer westchnął. Nie miał najmniejszego zamiaru bawić się w przyzwoitkę tego pryszczatego nastolatka.

– No i co z tego?! – krzyknął niecierpliwie. – Co to ma wspólnego z tym, że tu przyszedłeś? Podaj powód, kurwa!

– Okej, okej, nie ma potrzeby tak krzyczeć. Dziś rano, zanim wyszliście, wsunąłem jeden z moich AirPodsów do jej plecaka, a drugi do kieszeni kurtki.

– Co to są AirPods?

– Słuchawki bezprzewodowe.

– I po co to zrobiłeś?

– Żeby móc ją zlokalizować.

Taillefer powoli zaczynał rozumieć. W słuchawkach na Bluetooth znajdował się nadajnik, który pozwalał właścicielom je odnaleźć, w razie gdyby się zgubiły.

– Zgłupiałeś? Coś jest nie tak z twoją głową? Nie wolno śledzić ludzi bez ich zgody.

– Ale to dzięki temu znalazłem też pana. Bez mojej pomocy nadal gnąłby pan w swoich sikach.

Taillefer rozważał rozwalenie głowy dzieciaka o blat, ale w ostatniej chwili wybrał bardziej pedagogiczne rozwiązanie.

– To nie jest argument. Powinieneś mieć w życiu jakieś zasady, które szanujesz bez względu na wszystko. Łapiesz?

Ale geek go nie słuchał. Wyjął laptopa z plecaka, podłączył do niego komórkę i otworzył geolokalizację.

– Na początku myślałem, że ona tutaj mieszka – powiedział.

– Nie, ja tutaj mieszkam – poprawił go Taillefer.

– Ale po jakimś czasie słuchawki się rozdzieliły. Jedna została tu, a druga zaczęła się przemieszczać.

Taillefer skrzywił się. Coś tu nie grało. Spojrzał na kanapę i zrozumiał: Louise w pośpiechu wyszła bez kurtki. Podszedł i znalazł słuchawkę w jednej z kieszeni.

– No, to gdzie jest ta druga? – spytał.

– Wydaje mi się, że Louise pojechała na wycieczkę.

– Na wycieczkę?

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, słuchawka była na lotnisku Orly.

– Pokaż mi to.

Lewa słuchawka, najprawdopodobniej wciąż znajdująca się w plecaku Louise, ukazała się na ekranie jako małe kółko w okolicach południowych przedmieść Paryża. Romuald powiększył obraz i na mapie pokazały się cztery terminale Orly, a po ponownym zbliżeniu zobaczyli słuchawkę nieopodal lotniska, dokładnie w hotelu Mercure.

Taillefer uspokoił się. W nocy nie ma prawie żadnych odlotów. Louise z pewnością chciała wyruszyć jak najszybciej, ale przez pandemię znacznie ograniczono loty, zwłaszcza zagraniczne. Jeśli jednak dziewczyna nocowała w hotelu obok lotniska, to znaczy, że kupiła bilet na następny dzień. Pytanie: dokąd?

3

Romuald otrząsnął się z zamyślenia.

– A tak w ogóle... Jak pan ma na imię? – spytał.

– Mathias, ale wszyscy nazywają mnie Taillefer.

– Skąd takie nazwisko?

– To nazwa małego łańcucha górskiego w Alpach, w Isère, stamtąd pochodzi rodzina mojego ojca.

– A więc, Mathias, dlaczego był pan przywiązany do krzesła?

Taillefer popatrzył chwilę na stojącego przed nim dzieciaka, z tą śmieszną fryzurą jak od garnka.

– To nie twoja sprawa. Poza tym długo by mówić.

– Skoro nie jest pan już w policji, to co pan robi?

– Nie mogę ci odpowiedzieć, naraziłbym cię na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– To byłaby niewielka strata.

– Uważaj, nie jestem twoją matką i nie zamierzam się nad tobą litować. Mam dość swoich problemów.

– A nie szuka pan ucznia?

– Ucznia?

– No, kogoś w rodzaju stażysty. Mógłbym panu pomagać. Umiem gotować. Właśnie, nie jest pan głodny? Mogę zrobić omlet z gorącą czekoladą.

– Jestem głodny. Muszę się zastanowić, a nie umiem myśleć z pustym żołądkiem. Ale inaczej rozdzielimy obowiązki. Ja przygotuję żarcie, a ty poszukasz informacji na swoim laptopie, dobra?

Taillefer nie śmiał przyznać, że czuł się bezbronny wobec nowych technologii. Lubił książki, nie ekrany i maszyny. Ale Romuald ostudził jego entuzjazm.

– Ostrzegam, że tylko moja matka myśli, że jestem genialnym hakerem. Prawdę mówiąc, jestem jedynie amatorem, który czasem sam się łudzi.

Szczerłość chłopaka była rozbrajająca, ale Taillefer był pewien, że smarkacz siebie nie docenia. Opowiedział mu w skrócie całą historię. Razem z Louise szukali Angélique Charvet, pielęgniarki, która już na początku wydała się Romualdowi podejrzana. Mieli podstawy sądzić, że zabiła Stellę Petrenko, a może nawet Sabatiniego. Nie przestając mówić, Taillefer rozbił jajka do miski i zaczął je ubijać widelcem.

– Charvet trzy miesiące temu wyjechała z Paryża. Znajdź mi, co tylko możesz, na jej temat.

Wylał ubite jajka na patelnię i położył na nich dwie kromki białego chleba. W międzyczasie wyjął z lodówki butelkę lekkiego piwa.

– Czy ona ma chłopaka? – spytał Romuald znad laptopa.

– Kto? Angélique Charvet? Nie mam pojęcia. Poszukaj, to może być ciekawe.

– Nie, Louise!

– O czym ty znowu mówisz? Skup się na tym, o co cię proszę. Jeśli chcesz ze mną pracować, pokaż mi, że umiesz się skoncentrować dłużej niż przez trzy minuty.

Dodał ser i szynkę i złożył omlet na pół. Czekając, aż się usmaży, otworzył butelkę. Lubił zmrożone piwo, więc zrobił specjalne miejsce w lodówce, gdzie mógł przechowywać je w temperaturze bliskiej zeru. Magia pierwszego łyka zadziałała, ale chwilę potem poczuł zimno i zadrżał. Dotknął czoła: było rozpalone.

O cholera, omlet!

Szybko zdjął patelnię z ognia i zsunął posiłek Romualda na talerz.

– Smacznego! – powiedział, stawiając przed nim gotowe danie i podając mu sztućce.

– Wygląda dobrze, dzięki!

– Jesteś pewien, że chcesz do tego gorącą czekoladę?

– Nie, poproszę piwo, tak jak pan. Pan nie je?

– Jakoś nie jestem głodny. Może potem.

– Nie najlepiej pan wygląda.

– Jestem wykończony, miałem ciężki dzień. No dobra, znalazłeś coś?

– Może... Myślę, że Louise wybiera się do Włoch.

– Tak? Dlaczego?

– Angélique Charvet praktycznie nie istnieje w internecie, ale coś znalazłem. – Romuald odwrócił ekran swojego MacBooka do Taillefera i dodał: – Jestem prawie pewien, że Louise trafiła na tę informację i to skłoniło ją do kupna biletu do Wenecji.

Taillefer pochylił się i przymrużył oczy, żeby odczytać tekst:

Fundacja AcquaAlta – Francuzka Angélique Charvet mianowana specjalnym doradcą

KOMUNIKAT PRASOWY:

Na posiedzeniu, które odbyło się 9 grudnia, zarząd Fundacji AcquaAlta, na wniosek Lisandra i Bianki Sabatinich, powołał na stanowisko specjalnego doradcy prezesa Angélique Charvet.

Charvet zajmie się koncepcją i rozwojem przestrzeni, w której zostanie wystawiona w Wenecji kolekcja dzieł sztuki należących do Sabatinich.

Bianca Sabatini w komunikacie prasowym wyraziła radość z powodu tej decyzji: „Zarząd jest przekonany – powiedziała – że dzięki entuzjazmowi i wrodzonej życzliwości Angélique Charvet doskonale wywiąże się z tego zadania”.

Fundacja AcquaAlta powstała w roku 1984, jest to jedna z ważniejszych fundacji działających w tym regionie. Finansuje projekty związane ze sztuką i edukacją, wspiera także walkę o prawa kobiet. Zarządza jedną z największych kolekcji włoskiej sztuki współczesnej.

Panna Charvet obejmie urząd 3 stycznia. Pierwszą zorganizowaną przez nią wystawą będzie retrospektywa pośmiertna dzieł Marca Sabatiniego, zatytułowana *Młody człowiek i armia umarłych*.

Romuald dał się wciągnąć do gry.

– Znalazłem: Sabatini mają dom w Wenecji, Palazzo Veziano.

Taillefer potarł czoło palcami. Było w tym wszystkim dużo niewiadomych, ale z drugiej strony... Wstał i poszedł po portfel, który zostawił na półce przy wejściu.

– Spróbuj mi zarezerwować bilet do Wenecji z Orly – poprosił, wręczając chłopakowi swoją kartę kredytową. – Im wcześniej, tym lepiej.

Leblan surfował z prędkością światła.

– Jest lot EasyJet o siódmej piętnaście, ale... bilety wyprzedane.

– Następny?

– Są jeszcze miejsca na ten o ósmej trzydzieści pięć.

– Okej, bierz. Weź coś wygodnego.

Zacząli wypełniać w internecie kwestionariusz identyfikacyjny obowiązujący z powodu pandemii. Trzeba było mieć test PCR wykonany w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, ale Romuald oznajmił, że może to łatwo sfałszować.

– Z całym szacunkiem, nie wygląda pan najlepiej.

– Załatw to! – burknął Taillefer.

– Chciałbym jeszcze sprawdzić jedną rzecz: Angélique Charvet ma adres mailowy na serwerze Fundacji AcquaAlta. Spróbuję znaleźć jej hasło, jeśli nie jest zbyt skomplikowane, ale to zajmie trochę czasu.

– Dobra, chłopcze, czuj się jak u siebie w domu. I skoro jesteś moim asystentem, jeśli nie wrócę, przyjdź wyprowadzić Tytusa.

Taillefer napełnił krokietami psią miskę i podczas gdy Romuald siedział przyklejony do komputera, wyciągnął się na chwilę w fotelu, opierając nogi o niski stolik. To nie było zwykłe zmęczenie. Czuł, jak sztywnieją mu mięśnie, chwilę później dostał dreszczy, najpierw w nogach, potem w ramionach i na plecach. Zapowiadały gorączkę. Jeszcze tego brakowało... Gorączka to był jego słaby punkt, mogła go powalić na kilka dni. Dreszcze się zwiększyły. Taillefer zacisnął zęby, żeby nimi nie szczekać, i przykrył się kocem. Czuł przyspieszony puls. Zwykła reakcja układu odpornościowego, ale u niego od małego przybierało to alarmujące rozmiary. Wydawało mu się, że jest rannym żołnierzem umierającym powoli na opustoszałym polu bitwy. Dłonie miał lodowate. Umierał z pragnienia. Wyobraził sobie, że pije zimną wodę z jakiegoś źródła. Woda miała złoty kolor i smakowała jak sok jabłkowy. Cholera, już mającę! Przymknął oczy, postanowił uciąć sobie drzemkę, dziesięć minut, może kwadrans. Potem weźmie coś na grypę i...

Kancelaria notarialna Giuseppe Rossi

Via Magenta 24

10128 Turyn

Włochy

Angélique Charvet
Palazzo Veziano
Calle Tiepolo 1364
30125 Wenecja
Włochy

Turyń, 9 grudnia 2021

Szanowna Pani,

niniejszym potwierdzam, że Pani wniosek o uznanie ojcostwa został przez Sąd Rodzinny w Turynie rozpatrzony pozytywnie.

Ta akceptacja bezspornie ustanawia post mortem, bez konieczności ekspertyzy genetycznej, pokrewieństwo między Pani dzieckiem, które ma się urodzić, a panem Markiem Sabatinim.

Uznanie ojcostwa stwierdzono na podstawie oświadczeń trojga świadków i dokumentów przedstawionych sądowi, stanowiących dowód w rozumieniu artykułu 23-b.

Załączam akt notarialny potwierdzający przyznanie statusu do czasu ewentualnego zgłoszenia sprzeciwu. Akt zostanie dołączony do aktu urodzenia dziecka.

W razie pytań pozostaję do dyspozycji.

Z wyrazami szacunku
Giuseppe Rossi

Lena Khalil

Każdy nosi w sobie swoją prywatną wojnę, którą sam musi stoczyć, bez względu na to, czy ją wygra, czy przegra.

Jerzy Kosiński

1

Czwartek, 30 grudnia

Kiedy alarm w telefonie odezwał się w rytmie szalonej mamby, zupełnie niepasującej do sytuacji, Mathias Taillefer najpierw pomyślał, że to pomyłka. Przecież nie spał. Tymczasem było wpół do siódmej rano. Chciał wstać, ale nie od razu mu się to udało, chwilę siedział; był bardzo słaby. Bolały go zeszywniałe stawy, miał wciąż dreszcze i migrenę.

Lekko kręciło mu się w głowie, ale dotarł do łazienki. Nie wszedł jednak pod prysznic. Spakował podręczną apteczkę. Efferalgan 1000, ezomeprazol na refluks, krople do nosa na katar. No i wszystkie inne leki, które brał jako pacjent po transplantacji. Z wielkim trudem się ubrał, wezwał taksówkę, nawet nie próbował wypić kawy.

Romuald znikł, ale wykonał fantastyczną robotę. Na biurku leżały wydruki biletu samolotowego, testu PCR z wczorajszą datą, a także skopiowanego z konta mailowego Angélique listu od włoskiego notariusza. Taillefer włożył wszystko do skórzanej teczki i usiadł na kanapie w oczekiwaniu na taksówkę. Zamknął oczy, do

czoła przyłożył rękawicę kąpielową wypełnioną kostkami lodu. Pies wskoczył mu na kolana.

Kiedy nadjechała taksówka, Taillefer wyszedł z domu w ciemną noc, w strugach lodowatego deszczu. Wsiadł do samochodu i opadł bezwładnie na siedzenie. Znieruchomiał. Nie ruszał się przez całą drogę, nie mógł nawet myśleć; zaczął się bać, że nic nie wyjdzie z jego wyprawy. Ledwo oddychał, nie miał w ogóle sił. Mimo wszystko zebrał się w sobie – musi choć kilka minut odpocząć, zanim wejdzie w tłum. Trudno, zaczeka, aż lekarstwo zacznie działać. Byle znaleźć się w samolocie.

Orly. Prawie tak samo przygnębiające jak Roissy. Najgorsze z turystycznych lotnisk w wielkich stolicach. Spowoduje, że znienawidzisz Paryż, zanim jeszcze twoja stopa w nim postanie. Teraz covid stał się wymówką dla panującego wszędzie bałaganu: niekończące się kolejki, brak informacji, lekceważący stosunek personelu do podróżnych, agresywni pasażerowie. Za każdym razem to samo wrażenie przebywania wśród stada bydła.

Taillefer starał się zachować spokój, musiał oszczędzać resztki energii. Stracił pół godziny na przejście przez bramki kontrolne, do odprawy dotarł w ostatniej chwili i jako jeden z ostatnich wszedł na pokład samolotu. I tu niespodzianka: pasażerów było niewiele. Zmiany przepisów w związku z kryzysem sanitarnym zaskoczyły wielu podróżnych, którym odmówiono wejścia na pokład bez mnóstwa odpowiednich zaświadczeń. Taillefer doszedł do osiemnastego rzędu i zaproponował jakiejś grubej emerytce swoje miejsce przy korytarzu w zamian za jej niewygodne miejsce pośrodku. Kobieta chętnie się zgodziła i w ten sposób Taillefer wylądował w fotelu obok Louise, która właśnie się obudziła. Gdy go poznała, krzyknęła zaskoczona.

Wyglądała niewiele lepiej od niego. Błada skóra, cienie pod oczami, matowe włosy, niepewny wzrok.

– Nie byłaś dla mnie zbyt miła... – zaczął, pokazując palcem rozciętą brew.

„Jako kierownik obsługi kabiny mam przyjemność powitać państwa w samolocie Airbus trzysta dwadzieścia. Zakończyliśmy wpuszczanie pasażerów na pokład. Za chwilę wystartujemy, lot do Wenecji na lotnisko Marco-Polo...”

– Mimo wszystko nie mam do ciebie pretensji, a nawet wstałem dziś bardzo wcześnie tylko po to, żeby ci przeszkodzić w zrobieniu głupstwa.

„...potrwa godzinę i trzydzieści pięć minut. W kieszeni fotela przed sobą znajdują państwo zasady bezpieczeństwa...”

– Zaczęliśmy ciekawą rozmowę, zanim nam przerwano. Będziemy mieć teraz dużo czasu, żeby ją kontynuować.

2

Samolot wzniósł się ponad warstwę chmur. Zanieczyszczone paryskie powietrze i ołowiane niebo ustąpiły różowej wacie. Zdecydowanie łatwiej się oddychało, gdy zostawiło się ludzką głupotę dziewięć kilometrów poniżej. Powrót naturalnego światła i działanie paracetamolu trochę ożywiły Taillefera. Louise również poczuła się lepiej. Kawa i herbatnik pomogły jej się rozbudzić i zaczęła opowiadać.

– We wtorek wieczorem, tak jak mnie pan poprosił, poszłam do tej włoskiej restauracji niedaleko place de Furstemberg.

– Numéro Six.

– Numéro Six. Dotarłam tam spóźniona, bo przedtem wpadłam do domu przebrać się w coś eleganckiego, żeby nie wzięli mnie za nieletnią. Kiedy się zjawiłam, Leny jeszcze nie było, więc usiadłam przy barze. Przyszła niecałe pięć minut później. Od razu ją poznałam, bo zgadzała się z pana opisem: typ południowy, czterdziestka, czarne włosy, ciemna skóra i jasne oczy.

Taillefer słuchał, mając się na baczności. Spodziewał się wszystkiego... albo niczego.

– Podeszła do baru i powiedziała, że ma rezerwację na nazwisko Lena Khalil. Nie Haddad, Khalil. To nie było nazwisko, które mi pan podał, więc postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej. I nie mówić panu o tym, dopóki nie rozwiążę zagadki. Wiedziałam, że z panem zawsze trzeba się targować, coś za coś, nie spodziewałam się tylko, że do tego stopnia...

– Dobra, konkrety! – przerwał jej Taillefer.

– Usiadła przy barze obok mnie. W ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. Była zdenerwowana, ciągle patrzyła to na drzwi restauracji, to na komórkę. Nie reagowałam przez jakieś dwadzieścia minut, bo nie wiedziałam, co zrobić, a potem ona wstała i poszła do toalety. Wtedy do pana zadzwoniłam.

– I co dalej?

– Wróciła na swoje miejsce i próbowała ściągnąć uwagę barmana, żeby zamówić następne martini. Wtedy skorzystałam z okazji i...

– I?

– Zostawiłam dziesięć euro pod szklanką z wodą i wyszłam, zabierając jej komórkę, którą zostawiła na kontuarze.

– Ukradłaś jej telefon! Dlaczego?

– Żeby zrozumieć, co się dzieje! Nie odeszłam daleko. Weszłam do jakiegoś baru przy rue de Buci, usiadłam przy stoliku. Ekran nie zdążył się jeszcze zablokować. Obejrzałam zdjęcia, przeczytałam maile i notatki. W tym telefonie było prawie całe jej życie. Kilka kliknięć i odtworzyłam prawie całą historię, ale to nie była historia, którą pan mi opowiedział.

– Nie opowiadałem ci żadnej historii.

– To prawda. A więc, powiedzmy, nie była to historia, którą przedstawiła panu Lena.

Louise wyjęła swoją komórkę z torebki i zaczęła przeglądać skradzione zdjęcia, które sobie skopiowała.

– Dwa tysiące dziesiąty, Lena Khalil, weterynarka, trzydzieści lat, mieszka w Bejrucie z mężem, Simonem Vergerem, nauczycielem w liceum francusko-

libańskim. Simon urodził się w Biarritz. Przyszłą żonę spotkał w Libanie, na wymianie studenckiej Erasmusa.

Spięty do granic możliwości Taillefer ścisnął poręcze fotela, jakby chciał je zmiażdżyć.

– Pobrali się w dwa tysiące jedenastym roku. Pierwsze dziecko urodziło się w dwa tysiące trzynastym. Chłopiec o imieniu Baptiste. Drugie, dziewczynka, Anna, w dwa tysiące piętnastym roku. Wtedy wszystko układało się najlepiej na świecie.

Taillefer zmienił okulary i przyglądał się zdjęciom z tych szczęśliwych dni. Widok rozrywał mu wnętrzności. Uraza i gorycz są jak trucizna, ale gdy chodziło o historię jego i Leny, nie umiał okazywać wielkoduszności.

– Tragedia nastąpiła w lecie dwa tysiące szesnastego roku – ciągnęła opowieść Louise. – Simon Verger zginął podczas rodzinnej wycieczki jachtem po wybrzeżu baskijskim. Podczas kąpieli z dziećmi został uderzony przez skuter wodny i zmarł w czasie transportu do szpitala.

Taillefer zmarszczył brwi. Wyobraził sobie horror tej niespodziewanej śmierci. Zrozpaczona Lena, dwójka małych dzieci, które nagle zostają sierotami. Straszna niesprawiedliwość losu, która sprawiła, że straciły ojca, zanim zdążyły go naprawdę poznać. Ale dlaczego Lena nie powiedziała mu o śmierci męża? Dlaczego uczyniła z niego przeszkodę dla ich związku, skoro nie żył?

– Tygodnie i miesiące po tym wypadku były dla niej straszne. Lena Khalil nie potrafiła się z tego otrząsnąć. Wzięła urlop, wróciła do matki, pogрузyła się w depresji.

Taillefer poczuł ból w klatce piersiowej, jakby jego serce całkiem się skurczyło. Nie mógł złapać oddechu, otarł rękawem spływające potem czoło. Zwykła ciekawość ustąpiła teraz lękowi przed tym, czego miał się dowiedzieć. Prawda przestała być celem samym w sobie, stała się ryzykiem, przez które słabe fundamenty jego równowagi w każdej chwili mogły się zawalić.

– W końcu Lena trafiła do szpitala psychiatrycznego, najpierw w Bejrucie, potem do Sainte-Anne w Paryżu...

Taillefer miał okropne wrażenie, że Louise umieściła pod jego krzesłem odbezpieczony granat. Wrażenie, że przegapił jakąś istotną kwestię. Nie pojął czegoś ważnego, ale nie wiedział, co to mogło być.

– Któregoś dnia, surfując po internecie, Lena trafiła na artykuł w „Nice-Matin”. Artykuł o pana przeszczepie.

Coś mu się przypomniało. Po operacji przez trzy tygodnie przebywał w ośrodku dla rekonwalescentów niedaleko Vence. Nie miał motywacji, przez większość czasu strasznie się nudził. Jakaś dziennikarka namówiła go do udziału w akcji promującej dawstwo narządów, prowadzonej co roku przez miejscową gazetę.

Louise wręczyła mu zgniecioną kartkę – wydruk ze strony internetowej tej gazety. Spojrzał na tytuł i lead.

Mathias Taillefer: dzięki przeszczepowi w jego klatce piersiowej bije nowe serce

Zdaję sobie sprawę z tego, jak wielkie mam szczęście – mówi kapitan policji, przebywający w centrum rehabilitacyjnym Maison des Cimes, miesiąc po otrzymaniu nowego serca.

– W tym artykule dziennikarka twierdziła, że czekał pan na ten przeszczep bardzo długo...

Twarz Taillefera napięła się.

– To prawda, ale...

– Wyjaśniła dlaczego: ma pan bardzo rzadką grupę krwi, Vel ujemną. Wiem, o co chodzi, bo miałam to na drugim roku medycyny. Krew Vel ujemna występuje bardzo rzadko. Dziś w całej Francji nie ma nawet czterystu osób z taką grupą. Jeśli osoba z grupą Vel ujemną dostanie krew Vel dodatnią, w organizmie wytworzą się przeciwciała, które zaatakują marker Vel i zniszczą przetoczoną krew.

– No i co z tego? – wyjąkał Taillefer. Poczucił się słabo, jakby nagle zabrakło mu tlenu.

Louise zadała ostatni cios:

– Simon Verger, mąż Leny, miał tak jak pan grupę krwi Vel ujemną. Był jedną z niewielu osób o tej grupie wpisanych na listę dawców. Jeśli się spojrzy na datę jego wypadku i datę pana przeszczepu, praktycznie nie ma wątpliwości, że dostał pan jego serce.

Zaczęło mu się kręcić w głowie, był spocony, nie mógł oddychać. Elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca, odsłaniając nieznośną rzeczywistość: Lena postanowiła odnaleźć pacjenta, który otrzymał serce jej męża. Nagle przypomniał sobie, jak kładła głowę na jego piersi, gdy leżeli razem w łóżku. Mogła tak leżeć całą wieczność, ale to nie jego serca słuchała – słuchała bicia serca męża.

Był wstrząśnięty, upokorzony, miotały nim skrajne uczucia: wściekłość, nienawiść, pragnienie zemsty. Jedyny szczęśliwy okres w jego życiu okazał się oszustwem. Tamte cudowne dni były mistyfikacją. Podstępem.

Zacisnął pięści. Chciał zniszczyć wszystko wokół, a potem się zabić.

To nie jego kochała Lena. Był tylko pośrednikiem w jej spotkaniach z nieżyjącym mężem.

– Myślę, że Lena naprawdę się w panu zakochała – pocieszyła go Louise, chcąc złagodzić narastającą w nim złość. – Nie śmiała powiedzieć panu prawdy, bo bała się, jak pan zareaguje.

Ale Taillefer już jej nie słuchał. Jego mózg zaczął się topić, zmieniać we wrzącą lawę. Z tego chaosu wyłonił się obraz: sztylet przebijający jego serce, żeby po raz drugi zabić Simona Vergera. Zdjął maseczkę, żeby się nie udusić, i wypił łyk wody. W ustach poczuł metaliczny smak żelaza.

Smak krwi.

Dwóch morderców w domu

Jeśli możesz wrócić, tak naprawdę nigdy nie wyjechałeś.

Roger Munier

1

Czwartek, 30 grudnia

Wenecja

Łódka z lakierowanego drewna przybiła do nabrzeża Zattere. Kapitan – ochroniarz rodziny Sabatinich – pomógł Angélique Charvet wysiąść na biegnącą wzdłuż kanału promenadę.

Młoda kobieta była wniebowzięta. Czekał ją wyjątkowy dzień nowego życia: miała udzielić pierwszego wywiadu jako konsultantka Fundacji AcquaAlta i przedstawić przygotowaną przez siebie wystawę obrazów Marca Sabatiniego. Spotkanie z dziennikarką „Vogue’a” zorganizowała osobiście Bianca, miało się odbyć w restauracji dwa kroki od Punta della Dogana. Nazwisko Sabatini działało jak hasło „Sezamie, otwórz się” – wszystko stawało przed nią otworem. Już od trzech miesięcy Angélique doświadczała tego upajającego stanu. Ciuchy, biżuteria, podróże, projekty zawodowe – miała wrażenie, że wszystko, czego tylko zapragnie, może się ziścić.

Idąc brukowanym chodnikiem i mając po prawej ręce Giudeccę, Angélique poczuła się jak bohaterka pocztówki z lat sześćdziesiątych. Kwiaty w oknach,

srebrne refleksy słońca w Canal Grande, przede wszystkim zaś niezwykle spokój panujący w mieście. Covid miał przynajmniej tę zasługę, że oczyścił Wenecję z turystów, których tłumy, przybywające na ogromnych statkach wycieczkowych, bezlitośnie dusiły miasto. W witrynie butiku sprzedającego maski weneckie zobaczyła swoje odbicie. Wyglądała świetnie. Ujrzała beztroską, radosną osobę, z obciętymi i rozjaśnionymi włosami, w czarnej sukience, kremowym kaszmirowym płaszczu, z uroczą torebką Capucines. Léa Seydoux w reklamie Louisa Vuittona.

Wszyscy mówili, że znakomicie wygląda w ciąży. Ostatnie USG bardzo ją poruszyło: odgłos szybko bijącego serca, wyraźny kształt twarzy, rozmiar płodu, który przekroczył już trzydzieści centymetrów. Zbliżało się rozwiązanie. Bianca i Lisandro byli zachwyceni, towarzyszyli jej podczas wizyt u lekarzy, ona zaś jako wspaniałomyślna córka pozwoliła im wybrać imię.

Angélique rozkoszowała się każdą sekundą nowego życia. Wreszcie była tam, gdzie chciała. Przypominała teraz Wenecję: tak jak ona była arystokratyczna, elegancka i delikatna. Jej Wysokość!

W końcu znalazła swoje miejsce, bez niczyjej pomocy. Sama ukształtowała tę nową egzystencję. Dzięki własnym rękom i szarym komórkom, znajdującym się w kilku centymetrach sześciennych jej mózgu. Nieźle jak na dziewczynę, którą zawsze brano za szaloną!

W restauracji przyjęto ją z szacunkiem należnym członkini rodziny Sabatinich. Przez cały czas dziennikarka prawiała jej komplementy. Jak wspaniale pracuje, jak wspaniale wygląda, jakie ma poczucie humoru, jakie ma piękne buty. To było dość zabawne, jak szybko wszyscy zaczęli na nią patrzeć zupełnie inaczej niż przedtem. Upajające, ale i przygnębiające: większość ludzi nie miała własnego zdania, podążali za innymi, płynęli z prądem w obawie, że zostaną wykluczeni. Zmienni, bez charakteru, zawsze chętnie przyklaskujący miernocie.

Gdy dziennikarka wyszła, Angélique przysiadła na tarasie restauracji. Ostatnie ristretto naprzeciw Giudekki. Miejsce było spektakularne, cudowny widok na

południowy skraj Wenecji! Taras ustawiony był na palach w wodzie, krzesła i stoliki wydawały się płynąć. Bliskość, która mogła wywołać chorobę morską.

Angélique przysłoniła oczy dłonią, przyglądając się widocznym w oddali kopule i wieżyczkom kościoła Zbawiciela, które odcinały się ostro od szarego nieba. Niedawno poznała historię tego zabytku, zbudowanego w ostatnim dwudziestoleciu XVI wieku, gdy dzuma dziesiątkowała mieszkańców Wenecji. Bezsilni wobec zarazy senat i doża modlili się do Boga, żeby uwolnił miasto od epidemii. Wzniesienie tego kościoła było zwieńczeniem ofiar dla Opatrzności Bożej.

Angélique odwróciła oczy od świątyni. Mimo że miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, marmurowa biała fasada oślepiła ją. Nagle poczuła się źle. Niedokończona kawa wywołała mdłości. Niezbyt dobrze spała, odezwało się zmęczenie. Dzieciak w jej brzuchu wciąż kopał. Obudziła się o trzeciej nad ranem, sparaliżowana lękiem i niepokojem, że podstawy jej nowej egzystencji nie są być może tak solidne, jak myślała.

Potarła oczy. Bolała ją miednica i miała nieprzyjemne wrażenie, jakby w jej łonie rozkwitał kwiat lotosu. Piersi jej nabrzmiały, jakby dzieciak miał już się urodzić i domagał się karmienia.

Posmutniała nagle i westchnęła. Wyszła z restauracji w towarzystwie ochroniarza i tą samą trasą wróciła do luksusowej motorówki. Przechodząc po raz drugi przed sklepem z maskami, starała się odnaleźć swoje poprzednie odbicie, ale ono jakby znikło. Ujrzała grubą jak wieloryb kobietę, brzydką, niepewną siebie.

Weszła na pokład z ulgą, mając nadzieję, że podróż łodzią do pałacu Sabatinich orzeźwi jej zamroczony umysł. Szybko, szybko odetchnąć świeżym powietrzem! – pomyślała. Schodząc z nabrzeża Zattere, znów popatrzyła na niepokojącą sylwetkę kościoła Zbawiciela. Wróciła myślami do momentu jego powstania. Wezwanie na pomoc tego, który zbawił grzechy świata. Od wieków wszystko kręci się wokół tego samego: pokusy, strachu i żłudnej tęsknoty za odkupieniem.

Atmosfera wokół nie miała już nic wspólnego z uroczym przedpołudniem.

W porywach słonego wiatru miasto stało się przygniatające, prawie wrogie. Opadły na nie gęste, szare chmury, przecinane ognistymi refleksami, nasilającymi się, w miarę jak motorówka przecinała fale Canal Grande. Sirocco, które niosło ze sobą piasek z Sahary, nadawało miastu apokaliptyczny wygląd.

Łódź płynęła pod wiatr i silnie nią kołysało. Skulona na tylnej ławce, opatulona szalem, Angélique czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Poprosiła kapitana, żeby zwolnił.

Dookoła panował gorączkowy ruch; Wenecjanie biegali, instalowali pomosty, unosili zainstalowane już platformy o stopień wyżej, żeby móc się przemieszczać mimo nadchodzącego załamania pogody. Angélique słyszała te prognozy, ale puściła je mimo uszu. Instytut meteorologiczny zajmujący się przyptykami i odpływami morza uprzedzał o ewentualnej wysokiej fali. Jesienią było sporo opadów, wszędzie podniosła się woda. Mieszkańcy niższych regionów otrzymali esemesy, żeby się zorganizować i założyć paratia, metalowe płyty odcinające wodę od drzwi i okien zabudowań. Prawie wszędzie syreny zawyły cztery razy na znak, że woda podniesie się o ponad sto czterdzieści centymetrów.

Angélique w ogóle się tym nie przejęła, dla niej było to częścią weneckiego folkloru. Przecież plac Świętego Marka i przyległe ulice – część miasta leżącą najniżej – regularnie zalewała woda. Właściciele sklepów zrzedzili, dziennikarze wałkowali temat, turyści wkładali kalosze i robili selfie, które wrzucali na Instagram, jakby myśleli, że są kolejnym Albertem Londres'em.

Łódź minęła Palazzo Grassi, Ca' Rezzonico i wyszła na prostą zmierzającą do Rialto. Niecałe trzysta metrów od mostu przybili do prywatnej przystani Palazzo Veziano, rezydencji Sabatinich. Była to szesnastowieczna budowla z fasadą z kolorowego marmuru, zdobioną dwoma skromnymi obeliskami.

Palazzo nie było konkurencją dla innych budynków z tego okresu, ale i tak wyglądało dumnie. Trzy masywne piętra w stylu między gotykiem a renesansem,

duży ganek z kolumnadą, po obu jego stronach podwójne okna, na wyższych piętrach pięć przeszł okiennych oddzielonych turkusowymi pilastrami. Budowla miała świadczyć o rodzinie, której solidność, elegancja i pielęgnowanie tradycji pozwalały tworzyć lepszą przyszłość.

Lisandro kupił palazzo stosunkowo niedawno od weneckiej rodziny arystokratycznej, do której należało od wieków. Dzięki poparciu władz miejskich udało mu się pokonać konkurenta, jednego z najbogatszych singapurskich biznesmenów, a teraz zaczął poważny remont, przerwany przez pandemię.

Angélique zeszła z pokładu i natychmiast zniknęła w drzwiach budynku. Hol był pogrążony w ciemności, jedyne źródło światła stanowiła wielka żeliwna latarnia królująca pośrodku sufitu. Ogromne, zimne miejsce, pomyślała Angélique. Gdzie byli majordomus, guwernantka, służba? Bianca i Lisandro wyjechali przedwczoraj, jutro Angélique miała pojechać do ich domu w Dolomitach, by świętować nadejście Nowego Roku. Ale dlaczego nie wita jej nikt z personelu?

Wciskała przełączniki jeden po drugim, ale żaden nie działał. Chciała zawrócić i poskarżyć się ochroniarzowi, ale przypomniała sobie, że odpłynął zatankować motorówkę. Nie było windy, więc weszła po schodach na najwyższe piętro – z powodu remontu tylko ono nadawało się do zamieszkania. Reszta domu była wyłączona z użytku, meble zakryto białymi prześcieradłami, wszędzie leżały plandeki, stały rusztowania i reflektory.

Z trudem pokonała stopnie monumentalnych schodów. Gdy wreszcie znalazła się w swojej królewskiej komnacie, zamknęła drzwi i szybkim ruchem pozbyła się płaszcz i szpilek. Pokój był typowy dla weneckich pałaców: wysoki sufit pokryty romantycznymi freskami, podłoga z lastrykowych płytek, wielkie lustra, złocenia. Przez półokrągłe okno widać było Canal Grande. Wychyliła się, żeby rzucić okiem na miasto. Z nieba lało się coś, co przypominało błoto. Wenecja za mgłą żółtobrazowego filtra zmieniła się w nierealne, przerażające miejsce.

Angélique rozebrała się, włożyła koszulę nocną i kaszmirowy rozpinany sweter. W pokoju było lodowato. Dlaczego wyłączono kaloryfery? Przekręciła żeliwny kurek, ale został jej w ręku. Miała dreszcze i chyba gorączkę. Może to ten cholerny

wirus? Zakopała się pod grubą, ciężką jak worek cementu kołdrą. Miała wrażenie, że do krwi dostała jej się trucizna, powoli obezwładniająca cały organizm. Leżała półprzytomna, aż wreszcie zasnęła.

Kiedy otworzyła oczy, wciąż była niespokojna i rozedrgana; czuła się, jakby wcale nie spała. Rzut oka na komórkę wyprowadził ją z błędu: była siódma wieczorem. W pokoju panowały egipskie ciemności. Z pewnością zbudził ją podmuch wiatru, który otworzył niedomknięte okno. Takich porywów jeszcze nigdy nie doświadczyła – wiatr wył, dom prawie trząsł się w posadach.

Wstała, żeby zamknąć okiennice, i spojrzała przez szybę mokrą od deszczu. Wenecja była spowita upiorną mżawką. Woda w kanale była czarna jak smoła, ale niepokojący był zwłaszcza jej poziom. Ten potop musiał trwać już od kilku godzin. Wciąż nie było prądu, więc zapałką zapaliła świecę stojącą w srebrnym świeczniku na stoliku nocnym. Gdy drżące światło powoli wydobywało pokój z ciemności, zobaczyła jakiś cień, jakby wielkiego ducha, czarną czeluść ogarniającą pół pomieszczenia. Nosferatu atakujący Ellen. Ogień płonącego Zeusa rażący Semele. Cień diabła, który po nią przyszedł.

Angélique odwróciła się i wrzasnęła, widząc za drzwiami jakiegoś mężczyznę. Ze wszystkich sił rzuciła w niego świecznikiem i zaczęła uciekać. Kiedy biegła, przelatywały jej przez głowę myśli: kto mógł odkryć jej sekret, kto ją zdradził?

3

Nazywała się Angélique Charvet.

Corentin Lelièvre, gdy tylko zobaczył ją w Enfants Terribles, od razu wiedział, że to nie jest dziewczyna taka jak inne. Był wtorkowy wieczór, sierpień. Cały dzień lało i bar przy quai de Jemmapes nie był tak pełny jak zwykle. Angélique miała na sobie marynarkę z zielonego sztruksu, dżinsy, dopasowaną koszulową bluzkę w niebiesko-białe paski i pantofle z kwadratowymi obcasami, wycięte z przodu.

Pomachał do niej, żeby go poznała, i wyraźnie zauważył, jak cofnęła się z niechęcią, gdy tylko go zobaczyła. Wiedział, że jego zdjęcia na Tinderze wprowadzały w błąd. Angélique sposepniała. Przez chwilę myślał, że wyjdzie i go zostawi albo zarzuci mu, że ją oszukał. Ale w końcu została. Zamówiła lemon drop. Dlaczego od samego początku tak go zafascynowała? Miała w sobie coś szczególnego, innego, trudnego do opisanie. Wódka pomogła, trochę się rozchmurzyła. Starał się ją rozśmieszyć, pokazać się z jak najlepszej strony, podkolorować swoją szarą postać. Z początku go słuchała, ale szybko zobojętniała na jego wysiłki. Zamówiła jeszcze jednego drinka, potem kolejnego. Była tam, nie będąc. Podobna do ducha, nieobecna. Myślami gdzie indziej.

Lelièvre doskonale rozumiał, że jej się nie podoba. Że spodziewała się kogoś innego. Mimo wszystko jednak poszła do niego, do mieszkania przy rue Eugène-Varlin. Nie musiał nawet szczególnie nalegać. Trochę wypiła, to fakt, ale nie była pijana. Później, gdy zaczął rozmyślać i analizować to z każdej strony, stwierdził, że nie wykorzystał jej słabości, bo przecież nie była słaba – była w normalnym stanie, zgodziła się. Wyszła od niego wczesnym rankiem, zostawiając po sobie niezrozumiałą dla niego pustkę. Myślał o niej cały dzień. Starał się z nią skontaktować, ale nie odpowiadała na jego esemesy. Upierał się, schował do kieszeni ambicję, napisał nawet prawdziwy list, błagając Angélique o jeszcze jedną szansę.

Raczyła do niego zadzwonić we wrześniu, w którąś niedzielę wieczorem. Poprosiła, by przestał jej się narzucać, bo złoży na niego skargę na policji. Nie chce o nim słyszeć, ma zniknąć z jej życia, bo nie ma w nim miejsca dla takiego frajera jak on. Te jego tanie T-shirty, głupie lewackie przemówienia, mały kutas i przedwczesne łysienie.

Corentin rozłączył się, zraniony. Nigdy nie czuł się tak brzydki i ponizony. Długi czas przyglądał się sobie w lustrze i zobaczył, że włosy, które przeszczepił sobie poprzedniego lata w Stambule, prawie wszystkie wypadły.

Starał się zapomnieć o tej historii, na szczęście nikomu o tym nie wspominał. Nadeszła jesień, udało mu się cały czas trzymać to wspomnienie na dystans. Ale

w grudniu wszystko wróciło. Widział Angélique wciąż w tej samej scenie, jak wchodzi do baru w zielonej dopasowanej marynarce, jej rude loki falowały jak na obrazie Klimta. Nie, nie wyleczył się z niej. Nawet jeśli wmawiał sobie co innego, pielęgniarzka zawładnęła jego umysłem. Co z tego, że go obraziła i upokorzyła... Był zakochany, chorą, wyniszczającą miłością narodzoną z mściwości.

Postanowił użyć informacji wyszukanych o niej wcześniej w sieci. Miał jej adres i pewnego wieczoru wybrał się do Aulnay-sous-Bois. Dom był pusty. Ciekawość skłoniła go do zniszczenia dwóch okiennic i stłuczenia szyby w oknie. Wiedział, że robi głupstwo i kiedyś za to zapłaci, ale był chory, opętany, w amoku. Chciał odkryć tajemnicę Angélique Charvet. Mieszkanie było już w połowie opróżnione, ale przeszukując je, znalazł w koszu test ciążowy, pozytywny, oraz paragon z apteki, który dowodził, że test został kupiony trzy tygodnie po tym, jak się ze sobą przespali.

Od tego momentu – nie będąc w ogóle pewnym, co to odkrycie może znaczyć – Corentin stracił orientację. Czuł się oszukany, niszczyła go wściekłość, przez którą tracił kontrolę. Numer telefonu Angélique należał już do kogoś innego, a ona wykasowała wszystkie swoje profile w sieci i nikt nie wiedział, gdzie teraz mieszka. Dla dziennikarza była to okazja do przeprowadzenia śledztwa. Corentin umiał to robić, a praca freelancera sprawiała, że miał na to czas. Znalazł Angélique we Włoszech, głównie dzięki temu, że dostała się do Fundacji AcquaAlta.

Wszystko to nie trzymało się kupy. Co się stało, że życie Angélique poszło w tak nieoczekiwanym kierunku? Corentin pożyczył od matki trochę forsy i osiemnastego grudnia poleciał samolotem do Wenecji. Zaczął się szwendać wokół miejsc związanych z rodziną Sabatinich. Okazało się, że miał intuicję. W końcu w którymś momencie zauważył Angélique wychodzącą z Palazzo Veziano. Krzyknął w jej kierunku.

Chciał ją zaczepić, ale nie pozwolił mu na to ochroniarz, który poprosił grzecznie, żeby nie narzucał się ciężarnej kobiecie.

To go ostatecznie rozwścieczyło. Podczas przeglądania materiałów z internetu znalazł zamieszczony we włoskim „Vogue’u” artykuł, w którym Bianca Sabatini,

małżonka Ingegnere, polecała czytelnikom najlepsze weneckie adresy. Polecała zwłaszcza lokal Pasticceria Regazzoni, gdzie często wpadała na poranną kawę, gdy przebywała w Wenecji.

Tam właśnie, przy barze, znalazł ją Corentin rankiem dwudziestego grudnia. Jadła ciastko i popijała podwójne espresso. Zaczepił ją, przedstawił się i powiedział, że ma dla niej bardzo ważne informacje.

– Na jaki temat? – spytała sceptycznie.

– Angélique Charvet.

Bianca spojrzała na niego nieufnie, zaintrygowana.

A Corentin wylał swoje żale.

4

Taillefer uchylił się przed srebrnym świecznikiem, odpychając lecący pocisk ramieniem. Ruszył za Angélique, która zbiegała po wielkich schodach. Zjawił się tu bez broni, jak zwykle myśląc, że jakoś da sobie radę. Rozemocjonowany, ale z gorączką, wyczerpany, raczej szedł, niż biegł. Nie wiedział, jakim cudem jeszcze nie padł.

Ale machina ruszyła i nie mógł już się wycofać.

Angélique starała się go zgubić w labiryncie korytarzy drugiego piętra. Minął dawną salę balową, bibliotekę, szereg saloników. Wszędzie freski, żyrandole z Murano, marmurowe posągi, ściany obite jedwabiem, boazerie jeszcze pachnące woskiem. Z powodu trwającego remontu ten przepych ginął pod plandekami z polietylenu. Z sufitów zwisały kable elektryczne, Taillefer potykał się o drabiny i kozły murarskie.

Burza i rwące wody Canal Grande były bardzo blisko, za każdym zakrętem widział przez któreś z okien rozszalałe żywioły. Wszystko zaczęło mu się plątać. Mimo lekarstw zbijających gorączkę czuł, że jego temperatura rośnie. Miał wrażenie, że postacie z fresków ożywają. Amorki, satyry, *medici della peste*

w długiej tunice z woskowanego lnu i w makabrycznej masce z ptasim dziobem... Nie widząc Angélique, Taillefer podążył za nią instynktownie, tropiąc woń strachu jak zwierzę. Na pierwszym piętrze przeszedł przez jakiś mostek nad małym ogrodem do drugiego skrzydła domu, potem kręcone schody wprowadziły go do wnętrza palazzo. Był pewien, że Angélique tędy szła.

Pokonawszy kręcone schody, zagłębił się w ciemność i znalazł się w wielkiej sali o wysokim sklepieniu, w której pachniało kwiatem pomarańczy. Zmrużył oczy. Ujrzał ogromny komin, żeliwną patelnię, płytę z palnikami i komplet starych miedzianych rondli. Zabytkowe kuchnie... Półokrągłe okno puściło i woda wlewała się z impetem do wnętrza, zatapiając płyty z piaskowca. Z nogami w wodzie szedł po omacku do przodu, w ostatniej chwili uniknął drewnianej belki i...

Błyskawica przecięła kamienne ściany i Angélique Charvet pojawiła się przed nim na sekundę niczym przerażający duch białej damy. Z długim kuchennym nożem w dłoni rzuciła się na niego z krzykiem. Wiedział, że jest niebezpieczna, że już zabiła i że nie zawaha się zrobić tego ponownie.

Pierwszy cios trafił go w ramię. Przyjął go jako coś nieuniknionego, zresztą nie miał czasu, żeby się obronić. Ten cios był w jakiś sposób zbawienny, jak oczyszczenie. I następny cios w jego stare, zmęczone ciało, udręczone cierpieniem, które nigdy się nie skończy. Angélique wyciągnęła nóż z rany i znów się zamachnęła. Częściowo już się poddał, prawie szczęśliwy, że ma to za sobą. W gruncie rzeczy czy nie do tego zmierzało to wszystko? Może tak właśnie miało się zakończyć ich śledztwo: weszli do labiryntu, z którego jedynym wyjściem była śmierć.

Tak samo obojętnie przyjął kolejny cios, prosto w brzuch. Poczuł, że oczy mu się zamykają. Od początku na to czekał. Wyjść z labiryntu, żeby się wyzwolić.

Śmierć, w końcu!

Nawet dźwięk ostrza wchodzącego w ciało brzmiał przyjemnie. Poszarpane ciało, ropień, który pęka, ciepła krew wyciekająca z gnijącego organizmu.

Samochód od dawna jechał z pustym bakiem. Taillefer zastanawiał się nawet, jak w ogóle dotrwał do tej chwili. Nikt za nim nie zatęskni. No, może pies.

Mimo ciemności widział wściekłą twarz Angélique, jej potargane włosy, oczy Gorgony. Nie był więcej wart niż ona. Zresztą ich losy były przedziwnie podobne. On też zabił i też musiał z tym żyć.

Podniosła rękę, żeby zadać ostateczny cios.

Ciosy, które spadały jak grad... To była historia jego życia.

Nagle wróciła do niego przeszłość. Zobaczył siebie osiemnaście lat wcześniej w wagonie metra, gdy przyjmował przeznaczone dla Alice Bakker bezlitosne ciosy noża Eliasa Abbesa. Ta scena nałożyła się jak kalka na teraźniejszość. W tym remake'u sprawcę zastąpiła Angélique Charvet, ale sytuacja była identyczna, z tym że teraz nikogo nie bronił. Odtwarzał w myślach to wydarzenie z diaboliczną precyzją. Śmierdzący, duszny wagon metra. Drwiące śmiechy tych trzech dupków, pasażerowie obojętni jak stado baranów. Elias Abbes dźgający go raz po raz i on, jego ciało, ta ostatnia granica chroniąca dziewczynę przed zranieniem lub śmiercią. To była rola, którą umiał grać najlepiej, rola osaczonego, zapędzonego w róg ringu boksera, który zanim odpowie, długo przyjmuje ciosy. Miał wszystkie potrzebne cechy: brakowało mu polotu i gracji, ale był wystarczająco wytrwały i uparty, co w pewnych okolicznościach można uznać za odwagę.

Nóż Angélique ranił go po raz trzeci, ciało Taillefera obróciło się i upadł na podłogę głową do przodu.

Wciąż podnosząca się woda od razu zakryła go prawie całego. Nie ruszał się. Czekał na śmierć. Zanim prąd porwał go w otchłań, do mózgu dotarł ostatni haust tlenu. Jak iskra rozbłysło intrygujące wspomnienie: ta ulotna chwila podczas przyjmowania ciosów, gdy odwrócił się i spojrzał na Alice Bakker. Spotkali się wzrokiem. Mimo niebezpieczeństwa starał się pokazać jej spokojną, opanowaną twarz, żeby zrozumiała, że on ją obroni, że jeszcze kilka sekund i ta męka się skończy.

Doskonale pamiętał Alice Bakker. Jej oczy ze złotymi tęczęwkami, dołek w brodzie i spokojną mimo strachu, słodką twarz.

Doskonale pamiętał Alice Bakker.

Ta twarz, te oczy, ten dołek w brodzie.

Louise Collange.

5

Angélique, gdy tylko ujrzała, że przeciwnik znika w błotnistej wodzie, wypuściła z ręki nóż i rzuciła się do ucieczki. Wbiegła po śliskich schodach. Musi uciec z tego piekła! Miała dreszcze, serce waliło jej jak oszalałe, ale to zwycięstwo dodało jej odwagi, może jeszcze nie wszystko stracone. Spięta, zdecydowana ratować się za wszelką cenę, wróciła do swojego pokoju. Wciągnęła dzinsy, obszerny sweter i trampki, wrzuciła kilka rzeczy do plecaka, sprawdziła w portfelu, czy ma trochę gotówki, nie zapomniała wsunąć do kieszeni paszportu.

Dokąd pójść?

Jeszcze nie wiedziała, ale przede wszystkim musi wyjechać z Włoch. I to szybko!

Zeszła czujnie po schodach, przebiegła przez wielki hol, wciąż pusty, i wyszła z palazzo. Wiedziała, że ucieknie, znów jej się uda, bo umie zachować spokój w czasie próby. Jej gadzi mózg uwielbia niebezpieczeństwo, zagrożenie, walkę.

Na zewnątrz od razu uderzyła ją fala burzy. Miasto trzęsło się w posadach. Żywioł wymknął się spod kontroli. Wichura, deszcz, ciemnożółte chmury piasku. Wszystko drżało. Od południa nadchodził głuchy grzmot, jak kroki potwora w filmie katastroficznym. *Kaijū* gotów wyrwać miasto z ziemi.

Angélique zrobiła kilka kroków w deszczu. Wokół nie było żywej duszy. Wielka motorówka, przycumowana na swoim miejscu, kołysała się na falach wzburzonego kanału. Angélique nie była pewna, czy umiałaby ją poprowadzić, ale

musiała zaryzykować. A raczej chwycić się ostatniej szansy. Stawiając czoło słonym podmuchom, poszła w kierunku łodzi.

Zanurzone we mgle nabrzeże było zalane wodą. Widoczność góra trzy metry, ale Angélique miała nieprzyjemne wrażenie, że towarzyszy jej czyjaś obecność. Ktoś tam był. Ten facet, którego zadźgała i zostawiła na pewną śmierć? Ochroniarz Sabatinich? Podskoczyła i odwróciła się. Barwna fasada Palazzo Veziano znikwała za grubą warstwą błotnistej ulewy.

– Druga szansa... – dobiegł ją głos z gęstej mgły. Może się przesłyszała? – Dlaczego nie dałaś mi drugiej szansy? – Tym razem głos brzmiał o wiele bardziej stanowczo.

Angélique odwróciła się gwałtownie. Z mgły wyłoniła się sylwetka. Facet wciśnięty w przeciwdeszczową wiatrówkę. Zgniłozieloną. Nie wiedziała, kto to jest. Plastikowy kaptur zasłaniał twarz, woda zalała okulary. A potem Angélique ze zdumieniem go rozpoznała. Corentin... Corentin Lelièvre.

Stał przed nią, drżąc z zimna, w całej swojej przeciętności. Dłonie zacisnął na wiosle od gondoli. Długi masywny kawał drewna, z końcem pomalowanym w czerwono-białe paski, spłaszczonym jak łopátka do ciasta.

Śliski facet, zorientowała się od razu, gdy tylko zobaczyła go w tym barze. Ale nawet tak uzbrojonego w ogóle się go nie bała. Do końca myślała, że uda jej się przemówić do rozsądku temu frajerowi, ale jak tylko otworzyła usta, uderzył ją z całej siły wiosłem.

Zachwiała się; muszę uciekać, pomyślała, lecz drugi cios wepchnął ją w wody kanału.

I zapadła się w otchłań ciemności.

IV

FRAGMENTY

Historyczna fala niszczy miasto

Agenzia Nazionale Stampa Associata

31 grudnia 2021

Wyjątkowo wysoka fala, 1,91 m, zalała w czwartek Wenecję. Gwałtowne porywy sirocco pchnęły falę przyływu daleko poza plac Świętego Marka. Zalane zostały również niższe fragmenty miasta. Ucierpiało prawie trzy czwarte Wenecji. Czwartkowy przyływ to drugi największy w Mieście Dożów, po przyływie z 4 listopada 1966 roku (1,94 m).

Zjawisko klimatyczne spowodowało ogromne zniszczenia, zakłócające komunikację i pogrążające miasto w chaosie. Podnosząca się woda zniszczyła tarasy kawiarni i restauracji oraz zalała wejścia do hoteli położonych wzdłuż Canal Grande. Częściowo pod wodą znalazły się krypta i przedsionek bazyliki Świętego Marka, w kilku miejscach w mieście wybuchły pożary, na szczęście opanowane przez strażaków, którzy interweniowali ponad 300 razy.

Niestety, odnotowano co najmniej trzy ofiary śmiertelne. W Dorsoduro prąd poraził 44-letniego piekarza, który starał się za pomocą pompy studziennej odpompować wodę z piekarni. Na wyspie Pellestrina zalało dom starców, gdy przez jeden z otworów na parterze wdarła się do wnętrza fala błota; personel uratował około 20 pensjonariuszy, ale utonąła 83-letnia kobieta.

Trzecią ofiarą jest młoda ciężarna Francuzka Angélique Charvet, 35-letnia pracownica Fundacji Sabatinich. Zginęła w wypadku w pobliżu Palazzo Veziano. Okoliczności nie zostały jeszcze wyjaśnione.

Wysokość strat materialnych sięga kilkuset milionów euro. Przewodniczący rady miasta ogłosił dekret o stanie klęski żywiołowej.

Poziom wody opadł w piątek, ale wciąż setki łodzi i gondoli dryfowało luzem w lagunie i kanałach. Kulminacyjny moment minął, ale Centrum Tide nie wyklucza w najbliższych dniach epizodycznych nawrotów szkwału.

Wśród weneccjan narasta gniew. Miasto Dożów regularnie narażone jest na przyływy, ale zmiany klimatyczne zwiększają ich częstotliwość i intensywność.

Projekt pływających grobli, które mogą uchronić miasto przed wznoszącym się poziomem wody, od ponad 20 lat jest w trakcie realizacji. Mieszkańcy liczą na to, że wkrótce zabezpieczenia zaczną działać.

Po burzy

Piątek, 31 grudnia 2021

*Ospedale SS. Giovanni e Paolo –
państwowy szpital w Wenecji*

Burza minęła wiele godzin temu. Wiatr ucichł, zimowe słońce powoli zniknęło za horyzontem. Gdy widziało się kolor nieba, trudno było wyobrazić sobie ten kataklizm, który dopiero co spustoszył Wenecję. Pod oknami szpitala mrowili się ludzie, słychać było, jak mieszkańcy, właściciele sklepów i restauracji starają się wysuszyć i naprawić to, co jeszcze się dało. Woda powoli opadała. Dużo czasu upłynie, zanim miasto opatrzy rany. Zapowiadały się trudne czasy. Jedynie sprzedawcy kaloszy korzystali z okazji i niczym wojenni spekulanci podstawiali swój towar pod nos rozbawionym turystom, postującym zdjęcia z idiotycznymi hasztagami.

Mathias Taillefer, leżący pod kroplówką, z zabandażowanym obojczykiem i podbrzuszem, otworzył oczy. Właściwie nie wiedział, gdzie się znajduje. Gdzieś w otchłani, między niebem a ziemią, pewnie w czyścicu. W każdym razie widział wokół ładne kolory. Żółte promienie oblewały jego pokój, a u wezgowia stał blond anioł.

Z trudem oddychał. Spojrzał na Louise. Dołek w brodzie, błyszczący wzrok, skupione źrenice, jasny blask, który zawsze od niej bił. Wszystko zaczęło się pięć

dni wcześniej w szpitalu w Paryżu, wszystko kończyło się dziś w szpitalu w Wenecji.

Otworzył usta i powiedział z trudem:

– Nież... Nieżle mnie wyrolowałaś.

Louise nachyliła się nad nim. Spróbował mówić głośniej.

– Oczywiście nieprzypadkowo pojawiłaś się w Pompidou... Od początku wiedziałaś, że...

Louise pokręciła głową.

– Moja biologiczna babka, Margharita Bakker, powiedziała mi prawdę, kiedy w zeszłym roku odwiedziłam ją w Rotterdamie.

– Alice nigdy mi nie powiedziała, że zaszła ze mną w ciążę, przysięgam ci.

– Wiem – odpowiedziała Louise.

– Od dwa tysiące trzeciego roku nie miałem od niej żadnej wiadomości.

– Umarła kilka lat temu. Opowiem panu.

Taillefer przyłożył dłoń do serca.

– Nie wydaje mi się, żebym z tego wyszedł.

– Niech się pan przestanie nad sobą użalać. Świetnie pan wygląda.

– Co? – Prawie się udławił.

– Dwa czy trzy ciosy nożem w brzuch to dla pana codzienność. Chyba już się pan przyzwyczyił?

Sąd honorowy

Czwartek, 23 grudnia 2021

Bianca Sabatini, jak każdego ranka, gdy była w Wenecji, szła na kawę do Pasticcerii Regazzoni. Szef, Gianluigi, zawsze rezerwował dla niej te same dwa miejsca w rogu baru. Bianca siadała i przez godzinę oddawała się myśleniu o wszystkim i o niczym, najczęściej zaś o problemach rodziny i firmy.

Wszyscy myśleli, że to Lisandro był ojcem chrzestnym, głową rodziny, ale to nie była prawda. Szefem była ona. Od zawsze. To ona podejmowała wszystkie ważne decyzje. Zwłaszcza te najtrudniejsze. Nigdy się nie wahała, nigdy nie zadrżała jej ręka.

Tego dnia wszedł do lokalu i dosiadł się do niej mężczyzna w czerwonej kurtce z futrzanym kapturem.

Henri Pheulpin został wezwany o tej wczesnej godzinie, gdyż Bianca chciała skierować pewną sprawę do sądu honorowego. Podsunęła mu teczkę, którą sama skrupulatnie przygotowała i która zawierała podsumowanie zarzutów postawionych Angélique Charvet.

– Nikt nigdy nie zrobił naszej rodzinie czegoś podobnego – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Pheulpin spojrział na akta; nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem na dwie pierwsze strony. Był to protokół sekcji zwłok po ekshumacji Marca Sabatiniego.

Kilka terminów podkreślono na kolorowo: *wstrzyknięcie chlorku wapnia, fibrylacja, bez wątpienia zatrucie.*

– Dla tej dziewczyny nie ma miejsca na ziemi – ciągnęła Bianca. – Jej miejsce jest w dziewiątym kręgu piekła, obok zdrajców i morderców.

– Wyrok zostanie wydany jak najprędzej – zapewnił Pheulpin.

Już miał odejść, ale Bianca przytrzymała go za rękaw.

– Mam do pana jeszcze jedną prośbę... – Wyjęła z torby drugą teczkę. – Nie znoszę zdrajców, ale donosiciele brzydzą mnie jeszcze bardziej – powiedziała, wręczając mężczyźnie w czerwonej kurtce sztywną kopertę.

Pheulpin otworzył ją. W środku było tylko nazwisko i zdjęcie. Przedstawiało łysego trzydziestolatka z rzadką bródką, w T-shircie z napisem, który chyba miał być zabawny: *Musimy ocalić naszą planetę, tylko tutaj istnieje piwo.*

Śmierć dziennikarza w wypadku na elektrycznej hulajnodze

„Le Parisien”

2 stycznia 2022

34-letni dziennikarz Corentin Lelièvre zderzył się z samochodem na quai de Jemmapes (dziesiąta dzielnica) podczas jazdy na elektrycznej hulajnodze.

Po zderzeniu samochód – czarne bmw X4, za którego kierownicą siedział, według zeznań świadków, mężczyzna w czerwonej kurtce – odjechał, nie zatrzymując się.

Gdy przyjechało pogotowie, nasz kolega już nie żył.

Wszczęto śledztwo mające ustalić dokładne okoliczności wypadku.

W ostatnich miesiącach w stolicy zwiększyła się liczba wypadków śmiertelnych z udziałem elektrycznych hulajnóg. Wielu paryżan jest zbulwersowanych nieuprzejmością użytkowników tych pojazdów i pobłażliwością policji, która najwyraźniej zrezygnowała z utrzymywania porządku. Ratusz zrzuca winę na prywatnych operatorów odpowiedzialnych za samoobsługowe hulajnogi. Oskarża się ich o niedokładanie starań, by ograniczyć prędkość i zorganizować bezpieczne parkowanie maszyn.

Syrinks

Paryż

Gare du Nord

Październik 2003

Piątek wieczór. Mnóstwo ludzi na peronie czwartej linii metra w kierunku porte d'Orléans.

Mathias Taillefer, lat dwadzieścia dziewięć, wraca po pracy do domu, do Montrouge. Przez cały wieczór wraz z kolegą sprawdzał na Barbès alibi w sprawie morderstwa w środowisku Malijczyków w Montreuil. Przemyka pomiędzy podróżnymi. Rzuca okiem na zegarek: 21.45. Nie zauważył upływu czasu. Przepadł kolejny wolny wieczór. Jak zwykle jest mu trudno oddzielić pracę od zwykłego życia. Taillefer zawsze nosił w sobie jakąś osobność, melancholię. Tego wieczoru, nie wie dlaczego, to wrażenie samotności ciąży mu bardziej niż zwykle.

Siada na pomarańczowym plastikowym siedzeniu w oczekiwaniu na metro. Wyjmuje z kieszeni kurtki książkę *Miłość w czasach zarazy* Márqueza. Przebiega wzrokiem kilka linijek, ale szybko podnosi głowę, przeszkadza mu gwar tłumu. To jego druga natura: zawsze jest czujny, uważny, dbający o bezpieczeństwo w swoim otoczeniu. Widzi dwóch kieszonkowców – cwaniaki, również czujni, spostrzegają go i się zmywają.

Pociąg wjeżdża na peron. Drzwi się rozsuwają, wyrzucając na zewnątrz morze ludzi. To wieczór, gdy wychodzi się do restauracji, do kina, na spotkania z przyjaciółmi lub wyjeżdża się na weekend.

Mathias waha się między dwoma wagonami. Nie wie, że w tej chwili decyduje się jego przyszłość. Że przeżywa moment, który na zawsze zmieni jego życie.

Nie wie, że w wagonie po lewej są Elias Abbès i dwaj jego kumple, ciosy nożem, lata męki, podróż do piekła. W tym po prawej czeka go zwykła podróż.

Lewy czy prawy?

Nagle na peronie pojawia się blondynka w rdzawej marynarce i białej koszuli. Spieszy się. Przez ramię ma przewieszony flet poprzeczny marki Pearl, z torby wystaje partytura, której tytuł udaje mu się odczytać: *Syrinks* Claude'a Debussy'ego.

Spotykają się wzrokiem. Magnetyzm. Mathias wchodzi za nią do wagonu, który wybrała. To ten po lewej. Z powodu uśmiechu, blasku blond włosów wśród szarości tłumu, zapachu perfum Miss Dior, obietnicy muzyki, błysku inteligencji w oczach, dołączka w brodzie...

Rozbrzmiewa sygnał odjazdu. Drzwi się zasuwiają. Metro rusza.

Na zawsze pieczętując los jego pasażerów.

Alice Bakker

Paryż

Wrzesień 2009

Przyjechała tu tylko po to, żeby ją zobaczyć. Wsiadła w Rotterdamie w poranny pociąg do Paryża i teraz spacerowała niedaleko ogrodu Wielkich Odkrywców, gdzie mieściła się szkoła Louise. Czekala jak inne mamy, choć trochę z tyłu. Też była mamą, ale pod szkołą córeczki znalazła się pierwszy raz.

Alice Bakker nie miała nigdy tak gloryfikowanego w społeczeństwie instynktu macierzyńskiego, lecz kiedy powiedziano jej, że jest nieuleczalnie chora na raka, to o niej pomyślała najpierw – o Louise, swojej pięcioletniej córeczce.

Po dziecko przyszedł do szkoły „tata”, Laurent Collange. Kierunek: Ogród Luksemburski, tam zjedzą podwieczorek. Szła za nimi w pewnej odległości, żeby jej nie zauważyli. Domek dla małych żaglówek, wielkie ośmiokątne jezioro, dziecięce śmiechy, krzesła w kolorze jasnozielonym i pełno gołębi – urok Ogrodu Luksemburskiego wciąż działał. Ale ją hipnotyzowała przede wszystkim ta mała dziewczynka, jej ulotny blask. Nie mogła uwierzyć, że przez dziewięć miesięcy nosiła ją w sobie, zanim oddała ją światu. Zanim jej szalony mózg sprawił, że ją porzuciła.

A więc było coś doskonałego na tym świecie: mała dziewczynka skacząca między promieniami słońca przebijającymi się przez gałęzie kasztanowców. Długie

jasne loki, owalne okulary korekcyjne, okrągły kołnierzyk. Te blond włosy ma po niej. Też była piękną blondynką, zanim stała się starą, chudą, wytatuowaną punkową, niemającą w sobie już nic słonecznego.

Mimo tej zmiany Laurent Collange poznał ją z daleka. Alice nigdy nie powiedziała dawnemu chłopakowi, że Louise nie jest jego biologiczną córką. Laurent z pewnością czegoś się domyślał, ale nie zadał nigdy żadnego głupiego pytania i z radością wszedł w rolę ojca. Teraz spostrzegła na jego twarzy panikę; bał się, że przysła odebrać mu ten skarb. Ale ona nie przyjechała po to. Przyjechała, żeby zobaczyć ją ostatni raz. Żeby zapamiętać obraz jej promiennej buzi – może uspokoi ją, gdy nadejdzie moment skoku w ciemność.

Libańska wiosna

Bejrut

Dzielnica Al-Aszrafijja

Kwiecień 2022

Taillefer przyleciał tu z Paryża wczoraj, ostatnim lotem Middle East Airlines, z trzygodzinnym opóźnieniem. Zatrzymał się w małym hotelu Gemmayzé i od razu zasnął, mimo fatalnego łóżka i upału.

Dopiero rano wyszedł na spacer ulicami stolicy. Był tu w latach dziewięćdziesiątych, kiedy Bejrut nazywano Szwajcarią Bliskiego Wschodu. Wówczas to miasto go urzekło, było szalenie romantyczne, jak z powieści, niepodobne do żadnego innego.

Dziś wszystko radykalnie się zmieniło. W pięknej Krainie Cedrów zapanował chaos, leżała bowiem na skrzyżowaniu wielu dróg i wielu interesów. Podwójna eksplozja w bejruckim porcie przyspieszyła katastrofę. Codziennosc stała się drogą krzyżową: jak się wyżywić, skąd wziąć benzynę, gdzie się leczyć, o wszystko trzeba było walczyć. Mimo to mieszkańcy byli wciąż tak samo serdeczni. Taillefer spędził rano na długich rozmowach z ludźmi w mijanych kafejkach i sklepach.

Trzynasta. Gorąco i wilgoć. Zdołał się zmobilizować i wszedł na Schody Świętego Mikołaja. Sto dwadzieścia pięć wyślizganych stopni prowadzących do prawosławnej dzielnicy Sursock. Najwyższe zewnętrzne schody na całym Bliskim

Wschodzie. Miejsce zostało zdewastowane przez wybuch. Dużo domów i budynków wciąż leczyło rany. Taillefer podszedł do kościoła Świętego Mikołaja, otoczonego wielkim publicznym ogrodem. Usiadł na ławce pod fontanną i czekał. Dowiedział się, że to tam Lena przychodzi zjeść śniadanie, jeśli jest ładna pogoda. Gabinet weterynaryjny, w którym pracowała, znajdował się dwa kroki stąd, przy alei Charles-Malek.

Serce zaczyna mu szybciej bić. To cudze serce. Wiele razy wyobrażał sobie ten moment, ale wciąż się bał. Podczas ostatnich miesięcy dzięki Louise zatroszczył się o siebie i trochę uporządkował swoje życie. Odzyskał ducha, wiarę w siebie, a nawet zaczął nieśmiało planować przyszłość.

To Louise namówiła go na tę podróż. Powiedziała, że muszą wyjaśnić sobie z Leną pewne sprawy. Do tej pory z tym zwlekał. Dziś nadal nie czuł się gotowy, ale wiedział, że nie powinien tego odkładać. Musi wykorzystać siły, które ma. Życie jest nieprzewidywalne, każdego dnia może zdmuchnąć twój domek z kart.

Siedział na ławce od jakichś dziesięciu minut, gdy za strumieniami tryskającej wody zauważył Lenę. Zerwał się z ławki odważnie, był w tym dobry – nikt tak jak on nie rzucał się w ogień, gotów odeprzeć każde niebezpieczeństwo.

Pomyślał o Stelli Petrenko; podobnie jak ona był odporny na przeciwności losu, gdy upadł, od razu wstawał... Nawet ranny, poobijany, zostawiony na pewną śmierć. Pomyślał o Angélique Charvet, której wydawało się, że przechytry los i narzuci mu swoją wolę. Pomyślał o Louise, która zjawiała się w jego życiu nie wiadomo skąd, niespodziewany dar, który uratował go przed piekłem. Przypomniał sobie jej twarz, uspokoił się i nabrał nadziei. I to serce, a nie rozum, przemówiło, gdy podszedł do Leny.

Cmentarz Montparnasse

Paryż

8 października 2022

Mathias, jak ostatnio miał w zwyczaju, wstał wcześnie. Dom jeszcze spał, ale zawieszenie broni skończy się za kilka minut. Dwie iskry, dziewięcioletni Baptiste i siedmioletnia Anna, wkrótce się obudzą i wywrócą wszystko do góry nogami, ze swoimi albumami Panini, budowlami z klocków Lego i figurkami z *Harry'ego Pottera*.

Mathias spieszył się, urzędując przy kuchennym blacie. Masło, miód, konfitura, kromki chleba tostowego, sok pomarańczowy, który wycisnął swoimi dużymi dłońmi.

Lekcje zaczynały się o wpół do dziewiątej. Co rano odprowadzał dwa urwisy do szkoły: dwadzieścia pięć minut marszu z domu na boulevard Edgar-Quinet, potem z powrotem i jeszcze raz to samo po południu.

Ale czuł się wreszcie na swoim miejscu. Był częścią większego, mądrego planu. Życie z Leną i z dziećmi nadało sens jego egzystencji. To była mocna kotwica. Zawsze tego pragnął. Posklejał swoje serce z tysiąca kawałków metodą *kintsugi*, tą starą japońską sztuką, która polegała na zlepianiu potłuczonych ceramicznych przedmiotów za pomocą laki zmieszanej ze złotym pudrem. Blizny wciąż widać, nie są trofeami, nie udają naiwnie, że „co cię nie zabije, to cię

wzmocni”. Są dowodem akceptacji. Ciosy, które otrzymał, zaboląły go, ale nie złamały. Nie odebrały mu nadziei na przyszłość.

Po odprowadzeniu dzieci do szkoły często wracał przez cmentarz. Spacerował między grobami; z czasem polubił towarzystwo zmarłych, rozmawiał z nimi i te rozmowy wprawiały go w dobry nastrój.

Simon Verger, człowieka, którego serce nosił, nie był pochowany tutaj, tylko w Loire-Atlantique. Nie szkodzi. Mathias nie potrzebował aż takiej bliskości, skoro i tak miał w piersiach jego serce. Prawie codziennie opowiadał mu o dzieciach i o Lenie, o nowym życiu w Paryżu i starał się wytłumaczyć, że nie zajął jego miejsca, był tylko jego strażnikiem. I że jeśli kiedyś jego rodzinie groziłoby niebezpieczeństwo, nadstawiliby pierś i przyjął ciosy, rany, kule. To coś, co potrafi.

Mathias Taillefer nie wierzył w Boga, ale mówił sobie, że może gdzieś tam z góry Simon Verger widzi to wszystko i jest mu wdzięczny.

Bibliografia

- Patricia Highsmith, *Les Écrits intimes 1941–1995, journaux et carnets*, Calmann-Lévy, Paryż 2021.
- Georges Simenon, *Portrait souvenir de Georges Simenon: entretien avec Roger Stéphane*, Quai Voltaire, Paryż 1989.
- Gustave Flaubert, *Listy do Luizy*, przeł. Ryszard Engelking, Sic!, Warszawa 2019.
- Haruki Murakami, *Kafka nad morzem*, przeł. Anna Zielińska-Elliott, Muza, Warszawa 2007.
- André Gide, *Immoralista i inne utwory*, przeł. Izabella Rogozińska, Czytelnik, Warszawa 1984.
- Henri Béraud, *Le Martyre de l'obèse*, Albin Michel, Paryż 1922.
- Louis Aragon, *Le Roman inachevé*, Gallimard, Paryż 1956.
- słowa przypisywane Williamowi Shakespeare'owi.
- Wiktor Hugo, *Człowiek śmiechu*, przeł. Hanna Szumańska-Grossowa, PIW, Warszawa 1953.
- Anatole France, *Zbrodnia Sylwestra Bonnard*, przeł. Jan Sten, Książka i Wiedza, Warszawa 1982.
- Georges Simenon, *Maigret ma skrupuły*, przeł. Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak, C&T, Toruń 2018.
- Louis-Ferdinand Céline, *Mea Culpa*, Denoël et Steel, Paryż 1936.
- cytat z filmu *Reguły gry*, reż. Jean Renoir, Francja 1939.

Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, PIW, Warszawa 1977.

Anton Czechow, *Wujaszek Wania. Trzy siostry. Wiśniowy sad*, przeł. Natalia Gałczyńska, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Świat Literacki, Izabelin 1994.

André Malraux, *Antypamiętniki*, przeł. Joanna Guze, Czytelnik, Warszawa 1993.

Paul Valéry, *La Crise de l'esprit*, „La Nouvelle Revue française” 1919.

Patricia Highsmith, *Small G*, Calmann-Lévy, Paryż 2021.

Alexandre Dumas, *Trzej muszkieterowie*, przeł. Joanna Guze, Iskry, Warszawa 1975.

Jean Giono, *La Chasse au bonheur*, Gallimard, Paryż 1988.

Jerzy Kosiński, *Malowany ptak*, przeł. Tomasz Mirkowicz, Albatros, Warszawa 2018.

Roger Munier, *Requiem*, Arfuyen, Paryż 1989.